

# Ludzie z pieczar

Burroughs Edgar Rice

Książka VII z Tarzan



calibre 0.9.43

Edgar Rice Burroughs

## Ludzie z pieczar

**PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LEŚNEGO CZĘŚĆ VII**

tłumaczyła Zofia Lubodziecka

# Rozdział I

## W innym świecie

O północy przez dżunglę cicho jak cień przemykało się wielkie zwierzę o żółtozielonych oczach, muskularnym ogonie i spłaszczonej głowie. Każdy jego mięsień drgał podnieceniem łowieckim. Starannie omijał polany, rozjaśnione blaskiem księżyca. Chociaż przeciskał się przez nieprzebyte gąszcza, przejścia jego nie zdołałoby uchwycić „tępe” ucho ludzkie.

Mniej przezorna od lwa była ścigana zwierzyna, równie cicho mknąca na sto kroków przed płowym drapieżnikiem, gdyż zamiast unikać oblanych księżycem polan, przecinała je na przełaj. Po jej krętym tropie łatwo było odgadnąć, że poszukiwała mniejszymi przeszkodami najeżonych przejść i nie dziw: chodziła na dwu nogach i, za wyjątkiem czarnego czuba na głowie, była bezwłosa. Ramiona miała kształtne i muskularne, ręce mocne i smukłe o długich palcach, wielki palec, sięgający do pierwszego zgięcia palca wskazującego. Nogi jej były również foremne, ale stopy różniły się od stóp wszelkich ras ludzkich, z wyjątkiem chyba niektórych najniższych, gdy wielki palec odstawał pod prostym kątem.

Zatrzymawszy się na chwilę w pełnym świetle wspaniałego księżyca afrykańskiego, istota owa zwróciła baczne ucho na szmer od tyłu dochodzący i podniosła głowę. Rysy twarzy miała ostre i regularne — rysy, które mogłyby zwrócić uwagę swą męską pięknnością nawet w największych stolicach świata. Ale byłże to człowiek? Ktoś, siedzący na drzewie i patrzący na stworzenie, przesuające się po srebrnym szlaku księżyca, z trudnością znalazłby odpowiedź na to pytanie, gdyż spod przepaski czarnego futra, obciskającej jego biodra, zwieszał się długi, bezwłosy biały ogon.

W jednej ręce stworzenie to dzierżyło krzepką maczugę. Z lewego ramienia na rzemieniu zwiślał mu nóż w pochwie, do krzyżującego się zaś drugiego rzemienia przytwierdzona była u prawego biodra torba. Przyciskał te rzemienie i zarazem podtrzymywał przepaskę szeroki pas, błyszczący w poświacie miesięcznej, jak gdyby czystym złotem przetykany, zapięty na brzuchu dużą klamrą o ozdobnym rysunku, która zdawała się połyskiwać drogimi kamieniami.

Coraz bliżej podkradał się Numa do upatrzonej zdobyczy, ta zaś nie była widocznie nieświadoma niebezpieczeństwa, gdyż coraz częściej ucho i oko zwracała w kierunku dążącego jej tropem kota. Nie przyspieszyła bardzo kroku, lecz wyjęła nóż z pochwy i w pogotowiu trzymała maczugę.

Przedzierając się przez ciasny szlak gęstej roślinności dziwna istota wyszła na rozległą przestrzeń, nieomal zupełnie pozbawioną drzew. Wahała się przez chwilę, spojrziała szybko poza siebie i skoczyła na gałęzie wielkiego drzewa, chwiejącego się nad nią. Lecz widocznie coś potężniejszego od strachu lub przezorności wpłynęło na jej postanowienie, gdyż ruszyła poprzez małą równinę, porzucając drzewa, zapewniające jej bezpieczeństwo. Przed nią, w różnej odległości, na polanie pokrytej trawą, stały oddzielne drzewa; przezornie obrała drogę, wiodącą od jednego do drugiego. Gdy minęła drugie drzewo, odległość do następnego okazała się bardzo znaczną. Wówczas to Numa porzucił swą skrytą drogę i przypuszczając, że teraz zwierzyna będzie wobec niego

bezradna, zadarł sztywno ogon i natarł.

\* \* \*

Dwa miesiące — dwa długie, zmudne miesiące głodu, pragnienia, znoju, rozczarowań i dojmującego cierpienia moralnego minęły, odkąd Małpi Tarzan dowiedział się z dziennika zmarłego kapitana niemieckiego, że jego żona żyje. Krótkie badania, w których z całą gotowością dopomagał mu Wydział Wywiadowczy Angielskiej Wschodnio–Afrykańskiej Ekspedycji, wykazały, że były robione próby ukrycia lady Janiny w głębi Afryki, w celach, które mogły być wiadome tylko Niemieckiemu Głównemu Dowództwu.

Pod opieką porucznika Obergatza i oddziału tutejszych wojsk niemieckich odesłano ją poza granicę, do Wolnego Państwa Kongo.

Wybrawszy się sam na poszukiwania, Tarzan zdołał znaleźć wioskę, w której była więziona, po to tylko, by się dowiedzieć, że przed kilku miesiącami uciekła stamtąd i że niemiecki oficer wraz ze swym oddziałem, w towarzystwie miejscowych przewodników, ruszył na jej poszukiwanie. Odtąd opowiadania rozpytywanych wodzów, przewodników i wojowników stawały się niejasne, często sprzeczne. Niektórzy przewodnicy twierdzili, że odesłano ich z powrotem, inni, że sami uciekli i wrócili do swej wioski, gdy zmuszano ich do udania się do odległej dzikiej krainy. Nawet kierunek, obrany przez żołnierzy, mógł Tarzan zaledwie odgadnąć, zestawiając urywki informacji pozbierane z różnych źródeł.

Opuściwszy wioskę skierował się na południowy zachód. Po niewypowiedzianych trudach przekroczył rozległy, bezwodny step, pokryty przeważnie cierniami, i przybył wreszcie w okolice, nigdy jeszcze nie tknięte stopą białego człowieka i znane tylko z legend, krążących wśród pogranicznych szczepów. Były to urwiste góry, dobrze nawodnione płaskowzgórza, obszerne równiny, rozległe bagniste trzęsawiska. Lecz i równiny, i płaskowzgórza, i góry były zarówno niedostępne, dopóki po całych tygodniach usilnych poszukiwań nie znalazł przejścia przez trzęsawiska — okropne moczary, pełne jadowitych węży i innych większych niebezpiecznych płazów. Nieraz dostrzegał w oddali jak gdyby olbrzymie potwory z gatunku gadów; ponieważ były tam jednak w wielkiej obfitości hipopotamy, nosorożce i słonie, nie był pewien, czy kształty owe nie należały do tych właśnie zwierząt. Wreszcie stanął na twardym gruncie.

Wnosząc z obfitości i różnorodności zwierzyny, należało przypuszczać, że wszelkie znane gatunki zwierząt, ptaków i płazów znalazły tu schronienie przed najściem człowieka, który wytrwale rozpościerał się po powierzchni ziemi, wydzierając niższym rodzajom ich tereny łowieckie. Nawet znane Tarzanowi gatunki zdradzały tu albo odrębną linię ewolucyjną, albo niezmienną formę, od wieków bez uchyleń przekazywaną.

Były też liczne okazy mieszańców. Najbardziej zaciekał Tarzana żółto i czarno pręgowany lew, mniejszy od znanych mu gatunków, bardzo wszakże groźny, o zębach kształtu szabli. Tarzan wywnioskował, że niegdyś roiły się w dżunglach afrykańskich tygrysy, prawdopodobnie uzbrojone w odległej epoce w olbrzymie zęby kształtu szabli, i że z ich skrzyżowania z lwami powstały spotykane obecnie straszidła.

Prawdziwe lwy tego nowego dla niego świata mało się różniły od dawniej mu znanych. Co do

wielkości i budowy były prawie identyczne, lecz zamiast zatracać szczenięce plamy lamparcie, zachowywały je przez całe życie tak wyraźnie jak lamparty.

Dwa miesiące wysiłków nie dały żadnych najmniejszych nawet poszlak, że ta, której szukał, weszła do tego pięknego, aczkolwiek odstrasającego kraju. A jednak badania, przeprowadzone w wiosce ludożerców i u innych sąsiednich szczepów, przekonały go, że, o ile lady Janina żyje jeszcze, w tym właśnie kierunku trzeba jej szukać, gdyż tu jedynie mogła się schronić.

Nie mógł odgadnąć, w jaki sposób zdołała przebyć trzęsawiska, coś go jednak utrzymywało w wierze, że je przebyła. Rozległe to było, dzikie, nieprzebyte pustkowia. Ponure, niedostępne góry zagradzały mu drogę, potoki, spadając ze skalistych urwisk, przerywały mu pochód, za każdym załomem musiał wysilać rozum i mięśnie, by zwalczyć wielkich drapieżców i zdobyć pożywienie.

Coraz to Tarzan i Numa tropili tę samą zwierzynę i raz ten, raz drugi zdobywał pierwszeństwo. Rzadko jednak bywał głodny człowiek–małpa, gdyż kraina bogata była w zwierzynę i ptactwo, w mięso, owoce i różne inne, niezliczone postaci rzeczy jadalnych, którymi może się żywić człowiek, wychowany w dżungli.

Po całym dniu poszukiwań udało mu się wreszcie natrafić na przejście przez góry.

Przeszedłszy na drugą ich stronę, znalazł się w okolicy zupełnie takiej samej jak ta, którą opuścił. Łowy były tu dobre. Nad jeziorem, w czeluści wąwozu, wychodzącego na porośłą drzewami równinę, Bara–jelen stał się jego łatwą zdobyczą.

Właśnie zmierzchało. Głosy wielkich, czworonożnych łowców donosiły się z różnych stron, a ponieważ wąwóz nie dawał odpowiedniego schronienia, Tarzan zarzucił na ramię jelenia i ruszył ku równinie. Po drugiej jej stronie rosły wyniosłe drzewa — wielki las, w którym jego doświadczone oczy rozpoznały dżunglę. Tam podążył, lecz w połowie drogi zobaczył samotne drzewo, które wydało mu się zupełnie odpowiednie na nocne schronienie, lekko więc skoczył na jego gałęzie i znalazł wygodne miejsce odpoczynku. Zaspokoiwszy głód mięsem Bary, resztę zdobyczy umieścił po drugiej stronie drzewa, zawieszając je wysoko nad ziemią, po czym powrócił do swego rozwidlenia, ułożył się do snu i po chwili przestały go obchodzić ryki lwów i wycia drobniejszych kotów.

Zwykłe głosy dżungli nie przerywały nigdy snu człowieka–małpy, lecz dźwięk niezwykły, jakkolwiek niedosłyszalny dla ucha człowieka cywilizowanego, docierał zazwyczaj do świadomości Tarzana, pogrążonego nawet w najgłębszym śnie. Gdy księżyc wzeszedł wysoko, szelest kroków po trawie, w sąsiedztwie drzewa, od razu go rozbudził i skłonił do czujności.

Nieomal pod nim zjawilo się w pełnym biegu coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się prawie nagim człowiekiem, Tarzan jednak od razu zauważył długi, biały ogon wystający z tyłu.

Za biegnącą postacią, tak blisko, że zagłada zdawała się niechybną, pędził Numa–lew. Ofiara i napastnik — oboje milczący, robili wrażenie duchów, szybko zmierzających do rozegrania tragedii ponurych wyścigów.

Zaledwie Tarzan otworzył oczy, natychmiast zrobił pół obrotu, gdyż zobaczył białoskórą istotę, do siebie podobną, ściganą przez swego dziedzicznego wroga. Lew był tak blisko za uciekającą postacią, że Tarzan nie miał czasu na staranne obmyślenie ataku. Jak pływak skacze z trampoliny głową na dół, tak Małpi Tarzan skoczył wprost na Numę–lwa, z obnażonym nożem w dłoni.

Ostry pazur zatopił się w jego ciele, zadając mu długą, głęboką ranę, ale już człowiek–małpa siedział na grzbiecie Numy i kłuł nożem raz za razem jego bok. Nieznana istota nie uciekała dalej i nic stała beczynną. Momentalnie spostrzegłszy możliwość wybawienia, odwróciła się i skoczyła z maczugą Tarzanowi na pomoc a lwu na zgubę. Jeden potężny cios po spłaszczony czasce zwierzęcia ogłuszył je zupełnie, gdy zaś Tarzan odszukał swym nożem serce drapieżnika, lew po kilku konwulsyjnych drgnięciach zakończył życie.

Tarzan postawił nogę na trupie i z obliczem zwróconym ku Goro–księżycowi, wydał dziki, zwycięski okrzyk małpiego samca.

Gdy okropny okrzyk wyrwał się z ust człowieka–małpy, nieznana istota cofnęła się szybko, jak gdyby zdjeta nagłą trwogą. Lecz kiedy Tarzan wsunął nóż do pochwy i zwrócił się ku niej, poznała po spokojnej godności jego ruchów, że nie ma powodów do obawy.

Przez chwilę stali oboje, przyglądając się sobie nawzajem, po czym przybysz przemówił. Tarzan wiedział, że stojąca przed nim postać wydaje dźwięki artykułowane, które wyrażały, aczkolwiek w nie znanym mu języku, pojęcia człowieka, obdarzonego — w mniejszym lub większym stopniu — takimi samymi jak on zdolnościami myślenia. Innymi słowy znaczyło to, że chociaż stworzenie miało ogon i wielkie małpie palce u rąk i u nóg, było ono pod innymi względami niechybnie człowiekiem.

Krew, płynąca z boku Tarzana, zwróciła uwagę pitekantropusa\*. Z torby, wiszącej u boku, wyjął mały woreczek i zbliżywszy się do Tarzana, gestami wskazał, aby się położył, gdyż chce opatrzyć jego ranę, po czym rozchyliwszy brzegi cięcia, posypał żywe ciało proszkiem z woreczka. Ból rany niczym był w porównaniu z bólem, wywołanym przez lekarstwo, lecz człowiek–małpa, nawykły do cierpień fizycznych, zniósł go po stoicku. Po kilku minutach nie tylko ustało krwawienie, lecz znikł i ból.

W odpowiedzi na łagodne i bynajmniej nie odrażające dźwięki głosu, Tarzan przemówił kolejno gwarami rozmaitych szczepów afrykańskich, jak również językiem wielkich małp, widocznie jednak przybyły nic nie rozumiał. Widząc, że nie mogą się zrozumieć nawzajem, pitekantropus zbliżył się do Tarzana i umieściwszy lewą dłoń na swym sercu, prawą położył na sercu człowieka–małpy. Ten zrozumiał to jako formę przyjaznego powitania i, nawykły do obyczajów ludów niecywilizowanych, odpowiedział w sposób, jakiego od niego prawdopodobnie oczekiwano. Postępek jego widocznie się podobał i zadowolił nowego znajomego, który zaczął natychmiast mówić i wreszcie, z głową w tył odchyłoną, węszyć w kierunku drzewa nad nimi stojącego, po czym nagle — wskazując na Barę–jelenia — dotknął swego brzucha — obrazowa mowa, zrozumiała dla najlepszego nawet mózgu. Ruchem ręki Tarzan zaprosił gościa na ucztę, ten zaś, lekko jak mała małpka wskoczywszy na gałęzie, ruszył przy pomocy swego długiego, mocnego ogona w kierunku mięsa. Jadł w milczeniu, nożem wykrawając małe kęsy z zadu jeleniego. Siedząc w swym rozwidleniu, Tarzan przypatrywał się towarzyszowi, spostrzegając w nim przewagę cech ludzkich, które kłóciły się z jego wielkimi palcami nóg i rąk, i ogonem.

Ciekaw był, czy ta istota była przedstawicielem jakiejś szczególnej rasy, czy też, co wydawało się prawdopodobniejsze, okazem atawizmu\*. Oba przypuszczenia byłyby zarówno nedorzeczne, gdyby nie miał przed oczyma dowodu w postaci żywej istoty. Oto siedzi tu człowiek ogoniasty, z wyraźnie małpimi rękami i nogami. Jego strój, inkrustowany złotem i wysadzany klejnotami, mógł być wykonany tylko przez wytrawnych rzemieślników; czy był jednak dziełem rąk tego osobnika, czy innych, do niego podobnych, lub też jakiegoś zupełnie odrębnego ludu, tego Tarzan, oczywiście, nie umiał powiedzieć.

Skończywszy jedzenie, gość wytarł palce i usta liśćmi, zerwanymi z pobliskiej gałęzi, spojrzał w górę na Tarzana z miłym uśmiechem, ukazując szereg mocnych, białych zębów, których kły nie były dłuższe od kłów Tarzana, wymówił kilka słów, zapewne wyrażających uprzejme podziękowanie, po czym wyszukał sobie na drzewie wygodne miejsce na nocleg.

Ziemia pogrążona była w mrokach poprzedzających świtanie, gdy Tarzana obudziło gwałtowne wstrząsanie drzewem. Otworzywszy oczy, przekonał się, że jego towarzysz również był rozbudzony. Rozejrzawszy się wokoło, by znaleźć przyczynę zakłócenia spoczynku, zdumiał się na widok tego, co ujrzał.



Tuż obok drzew wznosił się cień olbrzymiej postaci, której tarcie się o gałęzie obudziło go. Że tak straszny stwór zdołał niepostrzeżenie tak blisko podejść, napełniło Tarzana zdumieniem i gniewem. W ciemności w pierwszej chwili wziął intruza za słonia, musiałby to być jednak okaz większy od jakichkolwiek dotychczas znanych. Gdy jednak niejasne zarysy stały się trochę wyraźniejsze, zobaczył na linii swych oczu, a na dwadzieścia stóp od ziemi, mglistą sylwetkę dziwacznie wyzębionych pleców, które robiły wrażenie, jak gdyby na każdym kręgu grzbietowym wyrastał duży, mocny róg. Mógł dojrzeć tylko część pleców, reszta tonęła w gęstych mrokach pod drzewem, skąd teraz dochodził odgłos potężnych szczęk, kruszących mięso i kości. Węchem rozpoznał Tarzan, że jakiś wielki gad pożerał trupa lwa, na początku nocy zabitego.

Tarzan, podniecony ciekawością, wyteżał na próżno wzrok w ciemności, gdy naraz poczuł lekkie dotknięcie na ramieniu i obróciwszy się ujrzał, że pitekantropus usiłuje zwrócić na coś jego uwagę; z palcem na ustach, na znak milczenia, popychając ramię Tarzana, starał się wskazać mu, że powinni się oddalić.

Rozumiejąc, że znajduje się w obcej krainie, rojącej się od stworzeń olbrzymich rozmiarów, których zwyczajów nie znał, człowiek-małpa pozwolił kierować sobą. Z najwyższą ostrożnością pitekantropus zszedł z drzewa po stronie przeciwnej tej, gdzie znajdował się nocny włóczęga, i wraz z Tarzanem ruszył poprzez równinę.

Gdy wschodzące słońce rozproszyło cienie nocy, Tarzan znalazł się ponownie na skraju wielkiego lasu, w który zagłębił się jego przewodnik, skacząc po gałęziach drzew z szybkością długiego nawyku i dziedzicznego instynktu. Mimo że pomagał sobie chwytymi palcami i ogonem, nie przebywał lasu z większą łatwością lub pewnością siebie niż człowiek-małpa.

Podczas tej wędrówki przypomniał sobie Tarzan o ranie, zadanej mu ubiegłej nocy przez lwa i oglądając ją, zadziwił się, że nie tylko stała się bezbolesna, ale że na jej brzegach nie było wcale śladów zapalenia, co należało przypisać proskowi, jakim ją posypał jego dziwny towarzysz.

Po przebyciu około dwu mil, pitekantropus zeskoczył na porośłą trawą pochyłość pod wielkim drzewem, zwieszającym gałęzie nad przejrzystym strumieniem. Tu napili się i Tarzan zauważył, że woda nie tylko była niezwykle czysta i świeża, lecz zimna jak lód, co dowodziło jej gwałtownego spadku z wyniosłych gór.

Odrzuciwszy przepaskę z bioder i uzbrojenie, wszedł do małej sadzawki pod drzewem i wynurzył się po chwili bardzo orzeźwiony i głodny. Spostrzegł zarazem, że towarzysz przygląda mu się z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. Ująwszy człowieka-małpę za ramiona, nowy znajomy obrócił go plecami do siebie, po czym, dotykając wskazującym palcem końca jego grzbietu, zagiął ogon ponad swe ramiona; następnie, obróciwszy Tarzana twarzą do siebie, wskazał najpierw na niego, potem na swój ogon, z wielkim podnieceniem coś szwargocząc w nieznanym języku.

Tarzan zrozumiał, że obcy teraz dopiero odkrył bezogoniastotę nowego znajomego. Chcąc więc dowieść mu, że należeli obaj do odmiennych gatunków, zwrócił jego uwagę na swe wielkie palce u rąk i u nóg.

Ten z powątpiewaniem potrząsnął głową, jak gdyby wcale pojąć nie mógł, dlaczego Tarzan miał się tak bardzo od niego różnić, wreszcie wzruszeniem ramion odrzucając to zagadnienie, zdjął swe uzbrojenie i strój i wszedł do sadzawki.

Wykapawszy i ubrawszy się z powrotem, siadł u stóp drzewa, zachęcił Tarzana do zajęcia miejsca obok niego i otworzył torbę, wiszącą mu u prawego boku. Z torby tej wyjął pokrajane na paski suszone mięso i kilka garści orzechów, w cienkich łupinach — owoców, nie znanych Tarzanowi. Widząc, że tamten rozłupuje je zębami i zjada ich jądro, poszedł za tym przykładem i przekonał się, że potrawa była bardzo smaczna i pożywna. Suszone mięso również mu smakowało,



aczkolwiek widocznie przyrządzone bez soli, która, jak przypuszczał, nie była łatwa do zdobycia w tych stronach.

Podczas jedzenia towarzysz Tarzana wskazywał na orzechy, na suszone mięso i na różne przedmioty, znajdujące się w pobliżu, powtarzając co chwila, jak się Tarzan domyślał, ich nazwy w swym ojczystym języku. Człowiek-małpa nie mógł powstrzymać uśmiechu, obserwując wysiłki znajomego, który chciał wykształcić Tarzana o tyle, żeby pozwoliło to im na wymianę myśli. Władając mnóstwem języków i narzeczy czuł, że z łatwością przyswoi sobie jeszcze jeden, mimo że ten nie miał nic wspólnego z żadnym, dotychczas mu znanym.

Tak byli zajęci śniadaniem i lekcją, że nie zauważyli czarnych jak tarki oczu, spoglądających na nich z góry. Tarzan nie zdawał sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa, dopóki wielkie, włochate cielsko nie skoczyło z gałęzi na jego towarzysza.

# Rozdział II

## Wyprawa do A-luru

Tarzan spostrzegł, że to stworzenie, pod względem wzrostu, budowy, odzienia i uzbrojenia, było odpowiednikiem jego towarzysza, z tą różnicą, że całe ciało pokryte miało włochatym, czarnym futrem, prawie zupełnie zasłaniającym mu twarz. Zanim Tarzan zdołał przeszkodzić, przybyły maczugą wymierzył jego towarzyszowi cios w głowę, powalając go bezprzytomnego na ziemię. Nie zdążył jednak bezbronnej ofierze zadać dalszych ciosów, gdyż Tarzan rzucił się na niego.

Bezwzględnie człowiek-małpa przekonał się, że zwarł się z istotą siły nadludzkiej. Muskularne palce potężnej ręki wyciągnęły się ku jego gardłu, druga zaś ręka uniosła pałkę nad jego głowę. Jeśli jednak wielka była siła włochatego napastnika, nie mniejszą była jego gładkoskórego przeciwnika. Wymierzywszy mu zaciśniętą pięścią potężny cios w podbródek, Tarzan zakołysał napastnikiem, po czym sam zacisnął palcami włochate gardło, drugą zaś ręką chwycił za przegub z maczugą. Jednocześnie prawą nogą objął z tyłu bestię i całym swym ciężarem prac naprzód, obalił ją na ziemię, rzucając się jej na piersi.

Wskutek upadku maczuga wypadła z ręki napastnika, a szyja jego wysuwała się z ręki Tarzana. Natychmiast zwarli się w śmiertelnym uścisku. Dziki zwierz gryzł Tarzana, ten jednak szybko się przekonał, że nie była to bardzo groźna forma napaści czy obrony, gdyż jego kły niewiele więcej były rozwinięte od własnych kłów człowieka-małpy. Przede wszystkim należało się strzec żyłastego ogona, który starał się owinać wokoło gardła Tarzana.

Walcząc i warcząc, tarzali się po murawie pod drzewem, raz jeden, raz drugi pod spodem — lub na wierzchu, każdy jednak bardziej zajęty bronieniem swego gardła przed chwytem drugiego niż agresywną, napastniczą taktyką. Teraz wszakże człowiek-małpa miał chwilę przewagi i — tarzając się — popychał przeciwnika coraz bliżej sadzawki, nad brzegiem której toczyła się walka. Znaleźli się wreszcie nad samą wodą i pozostawało im tylko wpaść do niej.

W tej samej chwili ujrzał Tarzan tuż za bezwładnym ciałem towarzysza skurczona, diabelska postać pręgowatego zwierzęcia o szablasytch zębach, spoglądającego nań złowróbnym wzrokiem.

Prawie jednocześnie kudłaty przeciwnik Tarzana spostrzegł groźnego kota. Bezwzględnie zaniechał nieprzyjacielskich kroków i — mruczając coś — usiłował oswobodzić się z uścisku człowieka-małpy w sposób, który wskazywał, że jeśli chodzi o niego, uważa bitwę za skończoną. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, groźącego nieprzytomnemu towarzyszowi i pragnąc obronić go przed szablastozębym, człowiek-małpa puścił przeciwnika i obaj zerwali się na nogi.

Z wyciągniętym nożem Tarzan z wolna skierował się ku ciału swego towarzysza, spodziewając się, że dotychczasowy napastnik skorzysta ze sposobności i ucieknie. Ze zdziwieniem wszakże spostrzegł, że ten, podniósłszy swą maczugę, ruszył u jego boku.

Wielki kot, leżąc spłaszczony na brzuchu o jakie pięćdziesiąt stóp za pitekantropusem, nie ruszał się, machał tylko ogonem i warczał. Gdy Tarzan przekroczył bezwładne ciało, zobaczył, że powieki

jego zadrgały i uniosły się. Doznał wielkiego uczucia ulgi, przekonywując się zarazem, że w dzikim jego sercu zrodziło się niespodziewane przywiązanie do tego dziwnego, nowego przyjaciela.

Tarzan zbliżał się wciąż do szablastożętego, nie pozostawał też w tyle nowy sprzymierzeniec. Gdy zbliżyli się na dwadzieścia stóp, mieszaniec natarł. Natarcie skierowane było na kudłatego pitekantropusa, który przyjął wyzwanie; zatrzymując się ze wzniesioną do góry maczugą. Tarzan przeciwnie, skoczył naprzód i z szybkością błyskawicy rzucił się nagle na kota. Prawym ramieniem otoczył jego kark, lewym objął lewą przednią nogę. Zwalili się obaj i zaczęli tarzać po ziemi.

Na pozór był to atak nie kierowany ani rozumem, ani zręcznością, lecz bezmyślnym szaleństwem, nic jednak nic mogło być bardziej dalekie prawdy od podobnego przypuszczenia. Każdym muskulem człowieka–małpy kierował podstępny umysł, wyćwiczony długoletnim doświadczeniem. Jego długie, potężne nogi na pozór spętane z tylnymi łapami kota, cudem jak gdyby unikały drapieżnych szponów i wśród tego tarzania się ich zadaniem było dopomóc do wykonania powziętego planu. Właśnie, gdy kot pewien był, że zdobył przewagę nad zręcznością przeciwnika, człowiek–małpa powstał, podrzucając go nagle w górę i zarazem mocno trzymając go za kark tak, że zwierz bezradnie zawisł w powietrzu.

Kudłaty rzucił się naprzód, zatapiając nóż w sercu zwierza.

Tarzan trzymał go jeszcze przez chwilę, gdy jednak ciało obwisło bezsilnie, odrzucił je i teraz ci, którzy przed chwilą toczyli śmiertelny bój, spojrzeli na siebie poprzez ciało wspólnego wroga.

Tarzan czekał, gotów zarówno do zawarcia pokoju, jak i do dalszej wojny. Czarny kudłacz wyciągnął ramiona, lewą rękę położył na sercu, prawą dotknął piersi Tarzana. Była to ta sama formuła przyjaznego powitania, jaką bezwłosy pitekantropus przypieczętował swe przymierze z człowiekiem–małpą, a Tarzan, rad z każdego nowego sprzymierzeńca w tym szczególnym, dzikim świecie, chętnie przyjął ofiarowaną przyjaźń.

Po ukończeniu krótkiego obrzędu, Tarzan spostrzegł, że bezwłosy pitekantropus odzyskał przytomność i siedział na ziemi, uważnie się im przyglądając. Gdy się z wolna podniósł, czarny kudłacz obrócił się do niego i przemówił we wspólnym im widocznie języku. Bezwłosy odpowiedział i obaj zaczęli się powoli do siebie zbliżać. Tarzan z zaciekawieniem oczekiwał wyniku ich spotkania. Zatrzymali się na parę kroków odległości. To jeden, to drugi szybko przemawiali, nie zdradzając wszakże podrażnienia, obaj zaś spoglądali i wskazywali na Tarzana, zdradzając tym, że był on do pewnego stopnia przedmiotem ich rozmowy. Poruszyli się znowu ku sobie, aż się spotkali i znowu powtórzył się obrzęd zawarcia przymierza. Następnie obaj podeszli do Tarzana, poważnie do niego przemawiając, jak gdyby usiłowali udzielić mu jakichś doniosłych wiadomości. Widząc jednak bezowocność tych prób, porzucili je i wracając do języka gestów, zawiadomili człowieka–małpę, że ruszają w drogę we dwóch i zapraszają go do towarzystwa.

Ponieważ wskazywali kierunek, który odpowiadał Tarzanowi, chętnie przyjął ich zaproszenie, gdyż postanowił gruntownie zbadać nieznany kraj, zanim ostatecznie wyrzeknie się poszukiwania w nim lady Janiny.

Długie dni droga wiodła ich przez wzgórza, równoległe do wysokich łańcuchów, wznoszących się; ponad nimi gór. Często zagrażali im dzicy mieszkańcy tych nieznanych okolic i Tarzan dostrzegł w cieniach nocy dziwaczne, tytanicznych rozmiarów kształty.

— Trzeciego dnia doszli do obszernej jaskini w niskiej skale, u stóp której szumiał jeden z licznych górskich potoków, nawadniających leżącą poniżej równinę i zasilających moczary, roztaczające się w dole na rubieży krainy. Tarzan zrobił znacznie większe postępy w nauce języka towarzyszy niż dotychczas podczas pochodu.

W jaskini były ślady, że dawała ona już w przeszłości przytułek istotom podobnym do ludzi.

Były tam pozostałości prostackiego, kamiennego paleniska, ściany i powała pociemniałe były od dymu licznych ognisk. W sadzy, a nawet w twardej skale wydrapane były dziwne hieroglify i zarysy zwierząt, ptaków i gadów, te ostatnie kształtów dziwacznych, przywodzących na myśl zaginione stworzenia z czasów jurajskiej formacji. Niektóre nowsze hieroglify towarzysze Tarzana z ciekawością czytali i komentowali, i końcami swych noży dopełniali odwieczne zapiski na zadymionych ścianach.

Tarzan z zaciekawieniem przyglądał się niezrozumiałym napisom. Jedyne wyjaśnienie, jakie mógł znaleźć dla nich, było, że jest to najpierwotniejszy w świecie spis gości hotelowych. Dało mu to nową wskazówkę co do stopnia rozwoju dziwnych istot, z jakimi los go zetknął. Oto ludzie z ogonami małpimi, jeden z nich obrośnięty sierścią, jak pierwsze lepsze zwierzę, a jednak posiadają język nie tylko mówiony, lecz i pisany. Mowę ich powoli zdobywał, a to nowe świadectwo niespodziewanej cywilizacji u stworzeń, posiadających tyle fizycznych cech zwierzęcych, podniosło jego ciekawość i chęć opanowania ich języka do tego stopnia, że zabrał się do tej roboty z większą jeszcze niż dotąd pilnością. Znał już imiona swych towarzyszy i nazwy okazów fauny i flory, najczęściej spotykanych.

Ta–den, bezwłosy, białoskóry, podjąwszy się roli nauczyciela, wywiązywał się z przyjętych obowiązków z sumiennością, której świadectwem były szybkie postępy ucznia. Om–at, czarny kudłacz, zdawał się również odczuwać, że i na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za edukację Tarzana i w ten sposób, to jeden, to drugi, wbijali w głowę Tarzanowi nową mowę. Wynik był taki, jakiego należało oczekiwać — szybka asymilacja\* nauki, że zanim się spostrzegli, ustne porozumiewanie stało się coraz łatwiejsze.

Tarzan wyjaśnił towarzyszom cel swej misji, żaden jednak nie mógł dać mu najślabszego cienia nadziei ziszczenia się jego pragnień. Nigdy w ich kraju nie było kobiety takiej, jak im opisywał, nigdy też nie widzieli, prócz niego, żadnego bezogoniastego człowieka.

— Odkąd opuściłem A–lur, Bu–księżyc jadł siedem razy — rzekł Ta–den.

— Dużo mogło się zdarzyć w ciągu siedmiu razy po dwadzieścia osiem dni, ale wątpię, by twoja żona zdołała wejść do naszego kraju poprzez okropne moczary, które nawet dla ciebie były nieomal nieprzebyte. Gdyby się to jej udało, czy mogłaby przeżyć niebezpieczeństwa, których doznałeś, nie licząc tych, które ci jeszcze do zaznania pozostają? Nawet nasze kobiety nie wychylają się poza miasta...

A–lur, Gród Światłości, zastanawiał się Tarzan, tłumacząc nazwę na własny język. — A gdzie leży A–lur? Czy to twoje miasto, Ta–denie i Om–acie?

— To moje miasto — odparł bezwłosy — a nie Om–aty, Waz–doni nie mają miast — żyją na drzewach i w jaskiniach górskich. Czy nie tak, czarny człowieku?

— Tak — rzekł Om–at — my, Waz–doni, jesteśmy wolni ludzie. Tylko Ho–doni więżą się po miastach. Nie chciałbym być białym człowiekiem!

Tarzan uśmiechnął się. A więc już i tu było rasowe różnicowanie między białym i czarnym człowiekiem — Ho–donem i Waz–donem.

Nic to nie znaczyło, że równi sobie byli pod względem inteligencji — jeden był czarny, drugi — biały i nie trudno było odgadnąć, że biały uważał się za coś wyższego od czarnego.

— Gdzie leży A–lur? — ponownie zapytał Tarzan. — Wracasz tam?

— Leży za górami — odrzekł Ta–den — nie wracam tam. Jeszcze nie teraz, dopóki żyje Ko–tan.

— Ko–tan? — zapytał Tarzan.

— Ko–tan jest królem — wyjaśnił pitekantropus. — On rządzi tym krajem. Byłem jednym z jego wojowników. Mieszkałem w pałacu Ko–tana i tam spotkałem O–lo–a, jego córkę. Pokochaliśmy się: blaskowi gwiazdopodobna i ja, ale Ko–tan mnie nie chciał. Posłał mnie, bym walczył z ludźmi z

wioski Dak-ata, która odmówiła płacenia królowi daniny, w nadziei, że mnie zabija, gdyż Dak-ata słynie ze swych licznych i mężnych wojowników. Ale nie zabili mnie. Przeciwnie, wróciłem zwycięsko z daniną i Dak-atem, jako jeńcem. Ale Ko-tan nie był zadowolony, bo zobaczył, że O-lo-a kocha mnie jeszcze więcej niż przedtem, gdyż duma z dokonanego przeze mnie dzieła wzmocniła i zwiększyła jej miłość. Potężny jest mój ojciec, Ja-don, Lwi-maż, wódz największego grodu po A-lurze. Ko-tan lękał się go obrazić, musiał więc chwalić mnie za moje czyny, choć robił to z półuśmiechem. Ale ty tego me rozumiesz! W ten sposób nazywamy śmiech, który porusza tylko mięśnie twarzy i nie rozpala blasku w oczach. Oznacza to hipokryzję i przewrotność. Trzeba było chwalić mię i nagrodzić. Jakaż mogłabyć lepsza nagroda nad rękę jego córki, O-lo-a? Ale nie, chowa O-lo-a dla Bu-lo-ta, syna Mo-sary, wodza, którego prapradziad był królem i który mniema, że sam powinien być królem. W ten sposób Ko-tan pragnie uśmierzyć gniew Mo-sary i zdobyć przyjaźń tych, którzy również jak Mo-sara myślą, że on powinien by być królem? Ale jaką nagrodą opłacić wiernego Ta-dena? My wysoce cenimy kapłanów. W świątyniach nawet wodzowie i sam król korzą się przed nimi. Nie mógł Ko-tan większego zaszczytu wyświadczyć swemu poddanemu — temu, który by pragnął zostać kapłanem; ale ja nie pragnąłem. Kapłani muszą stać się eunuchami, gdyż nie wolno im się żenić. O-lo-a we własnej osobie przyniosła mi wiadomość, że jej ojciec wydał rozkazy, które puszcza w ruch machinacje świątyni. Wysłano posła po mnie, bym się stawił przed Ko-tanem. Odmówić kapłaństwa, gdy było ofiarowane przez króla, znaczyłoby uchybić świątyni i Do-gom, znaczyłoby śmierć; lecz jeśli nie stawię się przed obliczem Ko-tana, nie będę musiał niczego odmawiać. O-lo-a i ja postanowiliśmy, że mam się nie stawić. Lepiej było uciec, unosząc w sercu cień nadziei, niż pozostać i wraz z kapłaństwem stracić nadzieję na wieki. Pod cieniami wielkich drzew, które rosną na obszarach pałacowych, przycisnąłem ją do siebie po raz ostatni może, po czym, by jakim złym trafem nie natknąć się na posła, wdrapałem się na wysoki mur strzegący pałacu i przeszedłem przez ciemne miasto. Moje imię i godność dały mi przejście przez bramy miasta. Odtąd przebywam z dala od siedzib Ho-donów, mocne jest jednak moje pragnienie powrotu, choćby tylko żeby spoza murów spojrzeć na miasto, kryjące tę, która jest najdroższa dla mnie, i odwiedzić wioskę mojego urodzenia, by zobaczyć się z ojcem i matką.

— Ale czy ryzyko nie jest zbyt wielkie? — zapytał Tarzan.

— Jest wielkie, ale nie za wielkie — odparł Ta-den. — Muszę tam pójść.

— A ja pójdę z tobą, jeśli pozwolisz — rzekł człowiek-małpa — gdyż muszę zobaczyć ten Gród Światłości, ten twój A-lur i szukać tam mej zaginionej żony, chociaż twierdzisz, że małe są szanse znalezienia jej tam.

— A ty, Om-acie, czy pójdziesz z nami?

— Dlaczego nie? — zapytał kudłacz. — Legowiska mego plemienia leżą wśród skał nad A-lurem. Mimo że Es-sat, nasz wódz, wypędził mnie, chętnie bym powrócił, gdyż jest tam jedna dziewczyna, na którą chciałbym jeszcze raz spojrzeć i która rada by mnie zobaczyć. Es-sat lękał się, bym nie został wodzem, i miał słuszność. Ale Pan-at-lee! Jej pragnę przede wszystkim więcej nawet niż godności wodza.

— A więc udajemy się wszyscy trzej w jedną drogę — rzekł Tarzan.

— I walczyć będziemy razem — dodał Ta-den. Mówiąc to wyciągnął nóż i wznosił go nad głową.

Okrzyk ten powtórzył Om-at, wyciągając broń i naśladowując gest Ta-dena.

— Powiedziano!

— Trzech za jednego! — wykrzyknął Małpi Tarzan. — Na śmierć! — i klinga jego noża zabłysnęła w słońcu.

— Idźmy więc — rzekł Om—at — nóż mój jest suchy i łaknie krwi Es—sata.

Ścieżka, którą ruszyli, z trudnością zasługiwała na tę nazwę i nadawała się raczej dla kozic, małp lub ptaków niż dla ludzi, ale ci trzej nawykli do dróg, których nie ośmieliliby się spróbować zwykły człowiek.

To po dolnych zboczach wiodła ich przez gęste lasy, gdzie ziemia była tak usłana powalonymi drzewami, rozkrzewionym winem i wikliną, że trzeba było wędrować wciąż po gałęziach, kołyszących się nad gąszczem; to znów biegła po krawędzi ziejących przepaści, na śliskich skałach, na których tylko chwilowe oparcie znajdowały bose stopy trzech wędrowców, jak gemzy przeskakujących na inne, równie niepewne oparcie. Zawrotna i przerażająca była droga, obrana poprzez szczyty przez Om—ata, gdy wiódł swych towarzyszy po grzbiecie olbrzymiej skały, wznoszącej się prostopadle na dwa tysiące stóp ponad rwącą rzeką. Gdy wreszcie stanęli na względnie płaskim gruncie, Om—at odwrócił się i uważnie popatrzył na obu towarzyszy, zwłaszcza na Małpiego Tarzana.

— Obaj — jesteście godnymi towarzyszami Om—ata, Waz—dona.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytał Tarzan.

— Poprowadziłem was tą drogą — odparł czarny — aby się przekonać, czy któremu z was brak odwagi, by pójść za Om—atem. Tu przychodzą młodzi wojownicy Es—sata dać świadectwo swej odwadze. A przecież, chociaż rodzimy się i wychowujemy na zboczach skał, nie jest to hańbą przyznać, że Pastar—ul—zed, Ojciec Gór, nas pokonał; niewielu z tych, którzy przechodzą próbę, wychodzą z niej zwycięsko — kości pozostałych leżą u stóp Pa—star—ul—vedu.

Ta—den zaśmiał się.

— Nie chciałbym przebywać często tej drogi — rzekł.

— Nie — odrzekł Om—at — ale skróciła nam podróż co najmniej o dzień. Tym prędzej Tarzan spojrzy na dolinę Jad—ben—Otho! Idźmy! — poprowadził ich po grzbiecie Pastar—ul—vedu. Wreszcie rozpostarł się pod nim widok piękny i tajemniczy — zielona dolina, obramiona skałami marmurowej białości — zielona dolina, upstrzona głębokimi, błękitnymi jeziorami i przerżnięta błękitnym szlakiem wijącej się rzeki. W środku miasto białości marmurowych skał — miasto, które nawet z tak wielkiej odległości zdradzało szczególną, ale artystyczną architekturę. Poza miastem widać było w dolinie rozrzucone grupy budynków — to jeden, to po dwa, trzy lub cztery razem, a wszystkie tej samej, połyskliwej białości i fantastycznych kształtów.

Wśród skał widać było rozpadliny, wąwozy pełne zieleni, robiące wrażenie zielonych rzek, wpadających do głównego morza zieloności.

— Jad Pele ul jad ben othjo — szepnął Tarzan w języku pitekantropusów. — Dolina Wielkiego Boga — jakże jest piękna.

— Tu, w A—lurze, mieszka Ko—tan, król, władca całego Pua—ul—don — rzekł Ta—den.

— A tu w wąwozach żyją Waz—doni — zawołał Om—at — którzy nie uznają Ko—tana za władcę całego Kraju Człowieczego.

Ta—den uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Nie będziemy się kłócili — rzekł do Om—ata — o to, na co wieków nie starczyło dla pogodzenia Ho—donów z Waz—donami, ale pozwól mi szepnąć ci jedną tajemnicę, Om—acie. Ho—doni żyją w większej lub mniejszej zgodzie między sobą pod jednym władcą, gdy więc zagraża im niebezpieczeństwo, stają w obliczu nieprzyjaciela w wielkiej liczbie wojowników, gdyż nie brak wówczas ani jednego, zdolnego do noszenia broni Ho—dona z pal—ul—donu. A jak to jest u was, Waz—donów? Macie tuzin królów, którzy walczą nie tylko z Ho—donami, ale i pomiędzy sobą. Gdy jeden z waszych szczepów wkracza na ścieżkę wojenną, nawet przeciwko Ho—donom, musi pozostawić dostateczną liczbę wojowników dla obrony swych kobiet i

dzieci przed sąsiadami z obu stron. Gdy nam potrzeba eunuchów dla świątyń lub służby do pól i domów, wyruszamy w wielkiej liczbie na jedną z waszych wiosek. Nawet uciec nie możecie, gdyż ze wszystkich stron otoczeni jesteście wrogami i chociaż dzielnie się bijecie, powracamy z jeńcami. Dopóki Waz-doni będą tak głupi, dopóty Ho-doni będą dominowali i ich król będzie królem pal-ul-donu.

— Może masz słuszość — przyznał Om-at. — Pochodzi to stąd, że nasi sąsiedzi to głupcy, z których każdy wyobraża sobie, że jego szczep jest największy i powinien rządzić Waz-donami. Nie chcą się zgodzić na to, że najdzielniejsi są wojownicy mojego szczepu i że najpiękniejsze są nasze kobiety.

Ta-den uśmiechnął się szyderczo. — Każdy z tamtych szczepów przedstawia te same argumenty, co i ty, Om-acie — rzekł — a to, mój przyjacielu, jest najsilniejszą oporą dla Ho-donów.

— Dajcie spokój! — zawołał Tarzan. — Podobne rozprawy prowadzą do kłótni, a my trzej nie powinniśmy się kłócić między sobą. Ja, naturalnie, bardzo radbym się dowiedzieć o stosunkach w waszym kraju, chciałbym też dowiedzieć się o waszej religii, ale nie kosztem rozgoryczenia mych jedynych przyjaciół w pal-ul-donie. Może jednak czcicie tego samego boga?

— W tym różnimy się bardzo — odpowiedział Om-at z pewną goryczą i pewnym podnieceniem w głosie.

— Różnimy się — prawie wrzasnął Ta-den — i dlaczego nie mielibyśmy się różnić! Kto mógłby się zgodzić z zarozumiałymi...

— Dosyć! — zawołał Tarzan. — Otóż i poruszyłem gniazdo os. Nie mówmy więcej o sprawach politycznych, ani religijnych.

— Masz słuszość, Bezogoniasty — rzekł Ta-den. — Om-acie, dbajmy o naszą przyjaźń i o siebie samych.

— A tu w wąwozach żyją Waz-doni! — zawołał Om-at.

— Zgoda — przyznał Ta-den — ale...

— Bez ale, Ta-denie — upomniął go Tarzan. Czarny kudłacz uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Czy mamy zejść na dół, w dolinę? — zapytał. — Wąwóz pod nami jest niezamieszkały; ten na lewo zawiera jaskinie mego ludu. Chciałbym zobaczyć raz jeszcze Pan-at-lee. Ta-den pragnie odwiedzić swego ojca w dolinie, Tarzan zaś chce wejść do A-luru, by poszukiwać swej żony, która oby raczej zmarła, niżby się miała dostać w szpony kapłanów Jad-ben-Otho, bóstwa. Co mamy robić?

— Pozostańmy razem, jak można najdłużej — zaczął nalegać Ta-den.

— Ty, Om-acie, musisz szukać Pan-at-lee nocą i ukradkiem, gdyż we trzech nie możemy liczyć na przewagę nad Es-satem i wszystkimi jego wojownikami. Do wioski, gdzie wodzem jest mój ojciec, możemy pójść o każdej porze dnia i nocy, gdyż Ja-don zawsze rad będzie przyjacielom swego syna. Zupełnie inaczej ma się sprawa z wejściem Tarzana do A-luru, chociaż jest i na to sposób, a Tarzan ma dosyć odwagi, by się nań zdobyć. Słuchajcie, zbliżcie się, gdyż Jad-ben-Otho ma bystry słuch, a nie trzeba by usłyszał. I przyłożywszy usta do uszu towarzyszy, Ta-den, Wyniosłe Drzewo, syn Ja-dona, Lwiego Męża, wyłożył swój zuchwały plan.

W tej samej chwili o sto mil odległości, gibka, naga postać, przybrana tylko w przepaskę biodrową i broń, dążyła z wolna przez cierniami porosły, bezwodny step, wciąż badając ziemię bystrymi oczyma i wrażliwymi nozdrzami.



# Rozdział III

## Pan-at-lee

Noc zapadła nad pal-ul-donem. Białe, wapienne skały kąpały się w blasku wschodzącego księżyca. Czarne cienie kładły się na Kor-ul-ja, Lwi Wąwóz, gdzie mieszkał tego samego imienia szczep Es-sata, wodza. Z otworu pod szczytem wyniosłego urwiska wyłoniła się kudłata postać — najpierw tylko głowa i ramiona — badając oczami skały ze wszystkich stron.

Był to Es-sat, wódz. Spoglądał na prawo, na lewo, w dół, jakby chcąc upewnić się, że nikt go nie widzi. Nikt się nie ukazywał na ścianie urwiska, ani też żadna inna postać nie wychylała się z licznych otworów jaskiń, poczynając od wysoko położonego siedliska wodza, aż do pomieszczeń niższych członków szczepu wykutych u samych stóp urwiska. Ruszył zatem po pustej ścianie wapiennej skały. W półświatle księżyca na nowiu wydawało się, że ciężka, włochata, czarna postać jakimś cudownym sposobem porusza się po prostopadłej ścianie. Przy bliższym jednak przyjrzeniu się można się było przekonać, że z dziur w ścianie sterczały mocne kołki, grubości męskiego przegubu. Cztery ręce Es-sata i jego długi, żylasty ogon pozwalały mu poruszać się swobodnie według upodobania, niby olbrzymi szczur po potężnym murze. Po drodze unikał ostrożnie jaskiń, okrążając je, gdy na nie natrafił.

Zewnętrznie jaskinie te nie różniły się między sobą. W wapiennej skale urwiska wykuty był otwór od ośmiu do dwudziestu stóp długości, tworząc jak gdyby werandę mieszkania, poza którą otwór około trzech stóp szerokości i sześciu wysokości stanowił widocznie odrzwia, wiodące do wnętrza. Po obu stronach tych drzwi, znajdowały się mniejsze otwory, służące za okna, przez które mieszkańcy czerpali światło i powietrze.

Takimi oknami upstrzona była cała ściana urwiska, przypominając plaster pszczelny. Z wielu tych mniejszych otworów sączyły się wąskie strumienie wody, ponad nimi ściana była pocerniała, jak gdyby od dymu. Gdzie ciekła woda, tam ściana była wyżarta na głębokość paru cali aż do całej stopy, nasuwając przypuszczenie, że niejednen z tych cienkich strumieni od wieków całych ściekał na zielony kobierzec roślinności u podnóża skały.

Wielki pitekantropus zatrzymał się wreszcie przed pewnym wejściem, nasłuchując pilnie, po czym tak cicho, jak światło księżycowe zlewające się z kroplami wody, znikł w cieniach bramy.

Znowu nasłuchując, zatrzymał się przed drzwiami, wiodącymi do głębi mieszkania i — spokojnie odsunawszy ciężką skórę, zasłaniającą otwór — wszedł do dużej komnaty, wykutej w skale. Z drugiego końca, przez inne drzwi, sączyło się mdłe światło. Cichaczem zaczął się skradać. Z karku zwisła mu na plecy sękata maczuga, którą teraz odczepił od rzemienia i ujął w lewą dłoń.

Za drugimi drzwiami znajdował się korytarz biegnący równolegle do ściany skały. W korytarzu tym było troje drzwi, jedno po każdej stronie, trzecie zaś prawie na wprost Es-sata. Światło przenikało spoza tych, które były po jego lewej ręce. Pryskający płomień wznosił się i opadał w małym, kamiennym naczyniu, stojącym na stole, czy ławie również kamiennej, ławie monolitycznej,

zrobionej jednocześnie gdy wykuwano komnatę i stanowiącej jej nierozłączną część.

W jednym kącie komnaty poza stołem było wzniesienie kamienne około czterech stóp szerokości i ośmiu długości. Na jaką stopę wznosiły się na nim miękko wyprawne skóry. Na skraju wzniesienia siedziała młoda Waz-donka. W jednej ręce trzymała mały kawałek metalu, wyglądający na kute złoto, z wyźębionymi brzegami, w drugiej — krótki, sztywny kawałek chrustu, którym czesała swe gładkie, lśniące futro, nadzwyczajnie przypominające futro foki. Na łożu leżała obok niej jej przepaska biodrowa z żółto i czarno pręgowanej skóry jato, jak również okrągłe napierśniki z kutego złota, odsłaniając symetryczne linie jej nagiej postaci w całej ich piękności i harmonijności, gdyż, jakkolwiek czarna była jak węgiel i całkowicie pokryta włosom, była jednak niezaprzeczenie piękna.

Że piękna wydawała się Es-satowi, wodzowi, poznać było po pożądlivym wyrazie jego oblicza i po jego przyśpieszonym oddechu.

Szybko wszedł do komnaty. Gdy go ujrzała młoda dziewczyna, oczy jej napełniły się przerażeniem, czym prędzej chwyciła przepaskę i przywdziała ją kilku zręcznymi ruchami. Brała właśnie do rąk napierśniki, gdy Es-sat okrążywszy stół, zbliżył się do niej.

— Czego chcesz — wyszeptała, choć wiedziała aż nadto dobrze.

— Pan-at-lee — odrzekł — wódz przyszedł po ciebie.

— To dlatego wysłałeś mego ojca i braci na przeszpiegi do Kor-ul-lulu? Nie chcę cię. Odejdź z jaskini mych przodków!

Es-sat uśmiechnął się. Był to uśmiech silnego i złego męża, znającego swą moc — bynajmniej nie miły uśmiech.

— Odejdę, Pan-at-lee — rzekł — ale ty pójdziesz ze mną — do jaskini Es-sata, wodza, a wszystkie kobiety w Koru-ul-ja będą a zazdrościły. Pójdź!

— Nigdy! — zawołała Pan-at-lee. — Nienawidzę cię. Pierwej zgodziłabym się zostać żoną Hodona niż twoją, dręczycielu kobiet, morderco dzieci!

Ohydny wyraz wykrzywił twarz wodza.

— Samico jato! — zawołał. — Ja cię poskromię! Ja cię zdruzgocę! Es-sat, wódz, bierze, co chce, a kto ośmiela się zaprzeczać jego prawu lub zwalczać jego najbłahsze zamiary, sam będzie musiał służyć tym zamiarom, po czym zostanie zdruzgotany tak, jak łamię ten oto przedmiot. — I ująwszy ze stołu misę kamienną, skruszył ją w potężnych dłoniach. — Mogłaś być najpierwszą i najbardziej uprzywilejowaną w jaskini przodków Es-sata, a teraz będziesz ostatnią i najniższą i gdy się tobą nasycę, będziesz należała do wszystkich mężczyzn w jaskini Es-sata. Taki los czeka te, które gardzą miłością swego wodza!

Szybko się zbliżył, chcąc ją pochwycić. Gdy położył na nią ciężką dłoń, uderzyła go z całej siły po głowie swymi napierśnikami. Bez jęku padł Es-sat, wódz, na podłogę komnaty. Pan-at-lee nachyliła się nad nim ze swym zaimprovizowanym orężem, wzniesionym do góry, gotowa do zadania ponownego ciosu, gdyby zdradzał oznaki powracającej przytomności. Lśniące jej piersi podnosiły się i opadały pod przyśpieszonym oddechem. Nagle pochyliła się i ujęła nóż Es-sata wraz z pochwą i rzemieniem. Przewiesiwszy go sobie przez ramię, szybko włożyła napierśniki i, z bacznie wlepionym wejrzeniem w powalonego wodza, wycofała się tyłem z komnaty.

W niszy zewnętrznej komnaty, tuż obok drzwi, wiodących na ganek, leżał stos zaokrąglonych kołków, od osiemnastu do dwudziestu cali długości. Wybrawszy pięć sztuk, zrobiła z nich małą wiązkę, wokoło której owinęła koniec swego ogona i niosąc je w ten sposób, ruszyła ku zewnętrznemu skrajowi ganku. Upewniwszy się, że nie ma tam nikogo, kto by mógł ją zobaczyć lub jej przeszkodzić, zaczęła wspinać się po kołkach tkwiących w skale. Z szybkością małpy wdrapała się na najwyższy szereg kołków i poszła po nich w kierunku dolnego końca wąwozu, na wysokości

jakich stu metrów. Tu ponad jej głową znajdował się szereg małych, okrągłych otworów, umieszczonych jeden ponad drugim w trzech równoległych szeregach. Trzymając się tylko palcami nóg, wyjęła z niesionej w ogonie wiązki dwa kołki i wzięwszy po jednym do każdej ręki, wetknęła je do otworów najwyższego szeregu, tak wysoko się nad nią znajdujących, jak tylko zdołała dosięgnąć. Zawiesiwszy się na tych nowych podporach, z trzech pozostałych kołków wzięła po jednym do każdej nogi, piąty pozostawiając w ogonie. Wysunąwszy ogon ponad siebie, wetknęła ten piąty kołek w jeden z otworów środkowego szeregu, po czym, kolejno zawieszając się na ogonie, nogach i rękach, przenosiła kołki coraz wyżej do nowych otworów, niosąc w ten sposób, w miarę wznoszenia się, razem ze sobą swą drabinę.

Na szczycie urwiska sękatę drzewo wysuwało swe przez czas zniszczone korzenie ponad najwyższe otwory, tworząc ostatni stopień, wiodący z urwiska na równą drogę. Była to ostatnia droga ucieczki dla członków szczepu w razie naporu wrogów od dołu. Istniały takie trzy wyjścia z wioski w razie ostateczności, a śmiercią groziło użycie ich, jeśli nie było to spowodowane ostatecznością. Pan-at-lee dobrze o tym wiedziała, wiedziała jednak, że gorsze od śmierci było pozostanie tam, gdzie rozgniewany Es-sat mógł dać odczuć jej swą władzę.

Gdy dosięgła szczytu, ruszyła spieszenie w ciemnościach w kierunku najbliższego wąwozu, przecinającego stok góry, o milę poza Kor-ul-ja. Był to Wąwóz Wodny, Kor-ul-lul, do którego Es-sat posłał jej ojca i braci pod pozorem śledzenia sąsiedniego szczepu. Istniała, słaba zresztą, możliwość, że ich napotka. O ile zaś nie — o wiele mil stąd był Kor-ul-gryf, gdzie mogła ukryć się przed prześladowcą, o ile uniknie przerażających potworów, od których wąwóz wziął swą nazwę i których obecność sprawiła, że jego jaskinie od całych pokoleń były nie zamieszkałe.

Pan-at-lee ostrożnie skradała się po krawędzi Kor-ul-lulu. Nie wiedziała, w którym miejscu mieli być zaczajeni jej ojciec i bracia. Niekiedy szpiedzy zatrzymywali się nad krawędzią, niekiedy zaczajali się na dnie wąwozu. Pan-at-lee nie wiedziała, co robić, dokąd iść. Czuliła się bardzo drobną i bezbronną w nieprzeniknionych mrokach nocy. Nieznane dźwięki docierały do jej uszu. Dochodziły ją z odległych, samotnie piętrzących się nad nią gór, z dalekich, niewidzialnych dolin i z najbliższych wzgórz. Raz usłyszała w oddali coś, co się jej wydawało rykiem samca gryfa. Głos ten doleciał od strony Kor-ul-gryfa. Zadrżała.

Teraz do uszu jej doszedł inny dźwięk. Coś zbliżało się, wzdłuż krawędzi wąwozu. Szło z góry. Zatrzymała się nad słuchując. Może to był jej ojciec lub któryś z braci. Zbliżało się. Wyteżyła wzrok w ciemności. Nie poruszała się — wstrzymała oddech. Nagle, bardzo blisko, w mrokach czarnej nocy zabłyśły dwa żółto-zielone ogniki.

Pan-at-lee była odważna, ale jak dla wszystkich istot pierwotnych, ciemności zawierały dla niej mnóstwo strachów. Nie tylko lęk przed znanym, ale, znacznie gorszy, lęk przed nieznanym. Dużo przeszła tej nocy i nerwy jej były naprężone do najwyższego stopnia. Mocne to były, surowe nerwy, ale w tej chwili gotowe reagować na najbłahszą podniętę.

Nie błaha to jednak była podnięta. Spodziewać się ojca i brata, w zamian ujrzeć śmierć, ziejącą w ciemnościach! Tak, Pan-at-lee była odważna, nie była jednak z żelaza. Z krzykiem, który głośnym echem odbił się o wzgórz, zawróciła i pobięła wzdłuż krawędzi Kor-ul-lulu, a za nią diabłooki lew z gór pal-ul-donu.

Pan-at-lee była zgubiona. Śmierć jej groziła niechybna, nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Ale umrzeć w szponach drapieznika, tego postrachu jej ludu — na to nie mogła się zgodzić. Było inne wyjście. Lew był tuż poza nią — jeszcze chwila a pochwyci ją. Pan-at-lee gwałtownie zawróciła na lewo. Kilka kroków zrobiła w nowym kierunku i znikła poza skrajem Kor-ul-lulu. Zawiedziony lew wrył się nogami w ziemię, zatrzymując się nad krawędzią przepaści.

Błyskając ślepiami w czarne mroki w dole, gniewnie zaryczał.

\* \* \*

Poprzez ciemności na dnie Kor-ul-ja Om-at szedł ku jaskiniom swego ludu. Za nim szli Tarzan i Ta-den. Zatrzymali się pod wielkim drzewem, rosnącym tuż przy skale.

— Najpierw — szepnął Om-at — pójdę do jaskini Pan-at-lee. Potem odwiedzę jaskinię swych przodków, by pomówić z krewnymi. Nie potrwa to długo. Czekać tu. Wkrótce powrócę. Potem pójdziemy razem do rodziny Ta-dena.

Cicho ruszył ku podstawie skały, po której zaczął się wdrapywać, niby wielka mucha po ścianie. W mdłym świetle Tarzan nie mógł dojrzeć kołków, wbitych w powierzchnię skały. Om-at poruszał się ostrożnie. W dolnym szeregu jaskiń powinien być strażnik. Om-at znał dość dobrze swój lud i jego obyczaje, by być pewnym, że strażnik będzie niechybnie spał. Nie omylił się, nie zaniechał jednak środków ostrożności. Cicho i szybko wspinał się ku jaskini Pan-at-lee, z dołu zaś strzegli go Tarzan i Ta-den.

— Jak on to robi? — zapytał Tarzan. — Nie widzę żadnych stopni na tej prostopadłej powierzchni, a jednak wydaje się, jakby wspinał się z największą łatwością.

Ta-den wyjaśnił mu tajemnicę schodów z kołków. — Mógłbyś wdrapać się równie łatwo — rzekł — aczkolwiek ogon bardzo by ci był pomocny.

Patrzyli, dopóki Om-at już niemal wchodził do jaskini Pan-at-lee, gdy nagle obaj jednocześnie ujrzeli jakąś głowę w otworze jednej z najniższych jaskiń. Widoczne było, że właściciel owej głowy zauważył Om-ata, gdyż natychmiast rozpoczął pościg za nim. Bez jednego słowa Tarzan i Ta-den skoczyli do stop skały. Pitekantropus pierwszy dotarł do niej i człowiek-małpa zobaczył, jak podskoczył, aby ręką uchwycić za najbliższy nad sobą kołek. Teraz Tarzan dojrzał inne kołki, rozmieszczone równolegle, w zygzakowatych szeregach na powierzchni skały. Skoczył i chwycił jeden z nich, podciągnął się na jednej ręce i drugą ręką sięgnął do następnego; gdy już wzniósł się tak wysoko, że mógł posiłkować się nogami, przekonał się, iż może szybko posuwać się naprzód, Ta-den prześcignął go jednakże, gdyż nie były dla niego nowością te pierwotne drabiny, a oprócz tego miał nad nim przewagę w postaci ogona.

Dobrze jednak sprawiał się i Tarzan, zmuszony teraz do zdwojenia wysiłków, gdyż Waz-don, znajdujący się nad Ta-denem, spojrzał w dół i dojrzał ścigających go, zanim go Ho-don pochwycił. Niezwłocznie dziki okrzyk rozdarł ciszę wąwozu. Na krzyk ten natychmiast odpowiedziały setki gróźb, gdy wojownik za wojownikiem zaczęli pojawiać się w otworach jaskiń.

Ten, który narobił alarmu, już dosięgał zagłębienia przed jaskinią Pan-at-lee i zatrzymał się tu, by stoczyć bitwę z Ta-denem. Z nastawioną maczugą, która dotychczas zwisała mu z karku na plecy, stanął teraz na równym miejscu w odrzwiach, zatarasowując Ta-denowi dalszą drogę. Ze wszystkich stron nadciągały tłumy wojowników. Tarzan, który doszedł do tego samego miejsca co Ta-den, trochę na lewo od niego, widział, że cud tylko mógłby ich uratować. Na lewo od niego znajdowało się wejście do jaskini, która albo była opuszczona, albo jej mieszkańcy jeszcze nie byli się poruszyli, gdyż zagłębienie było puste. Pomysłowy był Małpi Tarzan i wyćwiczone jego mięśnie szybko dawały posłuch myśli. Chociaż sekundy tylko oddzielały go od najbliższego przeciwnika, już zdążył

wejść do zagłębienia, odwiązać swój długi sznur i wychylając się mocno naprzód, cisnąć pętlicę ku postaci, dzierzżącej ciężką maczugę nad głową Ta–dena. Ręka rzucająca sznur, zamarła na chwilę, gdy pętlica zmierzała ku celowi, gdy zaś ta owinęła się wokoło głowy ofiary, prawa dłoń wykonała szybki ruch, zaciskając ją, po czym chwytając sznur obiema rękami. Tarzan gwałtownie go pociągnął, pochylając w tył całą swą wielką postać.

Z okrzykiem przerażenia Waz–don runął głową na dół z zagłębienia przed Ta–denem. Tarzan wyprężył się, aby nie dać się porwać ciężarowi ciała, gdy będzie spadało. Gdy zaś spadło, wśród ciszy, która zaległa po okrzyku skazańca, rozległ się głuchy trzask łamiących się kości pacierzowych. Nie poruszony przez nagle zatrzymany ciężar na końcu sznura, Tarzan szybko podciągnął ciało ku sobie, aby zdjąć z jego karku pętlicę, gdyż nie mógł sobie pozwolić na utratę tak cennego oręża.

W ciągu kilku sekund, które minęły od chwili, gdy rzucił sznur, wojownicy Waz–dońscy stali bez ruchu, jak gdyby skamieniali ze zdumienia, czy trwogi. Wreszcie jeden z nich odzyskał przytomność i głos i obrzucając dziwnego intruza wymysłami, ruszył ku człowiekowi–małpie, zachęcając towarzyszy do ataku. Człowiek ten znajdował się najbliżej Tarzana. Gdyby nie on, człowiek–małpa mógłby łatwo zbliżyć się do Ta–dena, do czego ten go nakłaniał. Tarzan uniósł nad głowę ciało martwego Waz–dona i wając je przez chwilę, z twarzą wzniesioną ku niebu, wydał straszliwy okrzyk wyzwania małpiego samca ze szczepu Kerczaka, po czym całą siłą swych olbrzymich mięśni cisnął trupa na wdrapującego się wojownika. Siła uderzenia była tak wielka, że nie tylko wytrąciła Waz–dona z jego oparcia, ale złamała u samej podstawy dwa kołki, których się trzymał.

Gdy dwa ciała, jedno martwe, a drugie żywe, stoczyły się w dół do stóp urwiska, rozległ się krzyk wśród Waz–donów.

— Jad–guru–don! Jad–guru–don! — Zabić go! Zabić go! Teraz Tarzan stał w zagłębieniu obok Ta–dena.

— Jad–guru–don! — powtórzył Ta–den, uśmiechając się. — Groźny człowiek! Tarzan Groźny! Mogą cię zabić, ale nie zapomną cię nigdy.

— Nie zabiją. A to co znowu?

Zapewnienie Tarzana o tym, czego mu nie zrobią, przerwał nagły krzyk, gdy dwie postacie, zwarte w śmiertelnym uścisku, wysunęły się z odrzwi jaskini od zewnętrznego przedsienia. Jedną z nich był Om–at, drugą — stworzenie tego samego co on rodzaju, ale z szorstkim futrem, którego włosy zdawały się wyrastać sztywno ze skóry, gdy tymczasem pokrycie Om–ata było gładkie. Warci byli siebie pod względem siły, widoczne też było, że walka ich była na śmierć i życie. Walczyli w milczeniu, czasem rozlegał się tylko głuchy pomruk.

Tarzan, idąc za naturalnym popędem pomagania sprzymierzeńcowi, skoczył, by wziąć udział w utarczce, lecz Om–at chrząknął ostrzeżenie.

— Precz! — rzekł. — To moja walka, moja własna. Człowiek–małpa zrozumiał i usunął się na bok.

— To jest gund–bar — objaśnił Ta–den — walka wodzów. Ten drugi to musi być Es–sat, wódz. Jeśli Om–at zabije go bez niczyjej pomocy, zostanie wodzem.

Tarzan uśmiechnął się. Było to prawo jego dżungli, prawo szczepu Kerczaka, małpiego samca — starożytne prawo pierwotnego człowieka, któremu brakło wyrafinowanego wpływu cywilizacji, by posługiwać się najętym mieczem i czaszą trucizny. Naraz uwagę jego zwrócił zewnętrzny koniec przedsionka. Ukazała się tam kudłata postać jednego z wojowników Es–sata. Tarzan rzucił się, by go zatrzymać, ale Ta–den stał przed nim.

— Precz! — zawołał Ho–don do przybysza. — To gund–bar. Przybyły badawczo popatrzył na walczących, po czym odwrócił twarz w dół ku towarzyszom.

— Precz! — zawołał do nich. — To gund-bar między Es-satem i Om-atem!

Następnie spojrzął na Tarzana i Ta-dena.

— Kto jesteście? — zapytał.

— Przyjaciele Om-ata — odrzekł Tarzan.

Obcy skinął głową.

— Zajmiemy się wami później — powiedział i znikł pod zagłębieniem.

Walka na krawędzi trwała wciąż z niesłabnącym okrucieństwem. Tarzan i Ta-den z trudnością wstrzymywali się od wkroczenia między zapaśników, którzy bili się i szarpali rękami, nogami i smagali ogonami. Es-sat był pozbawiony broni — postarała się o to Pan-at-lee, lecz u boku Om-ata wisiał w pochwie nóż, którego on wcale nie starał się wyciągnąć. Sprzeciwiałoby się to dzikiemu, pierwotnemu prawu, gdyż walka wodzów musi być stoczona przy pomocy przyrodzonej broni.

Czasami rozdzielali się na chwilę, by znów rzucić się na siebie z okrucieństwem i siłą oszalałych samców. Teraz żaden nie mógł upaść sam jeden. — Es-sat, albo jeden z nich, podstawił nogę drugiemu, ale tak byli ze sobą zwarci, że pociągnął za sobą Om-ata i obaj runęli na niższą krawędź. Nawet Tarzan powstrzymał oddech. Tarzali się przez chwilę i stało się to, co było nieuniknione — zwarci w morderczym objęciu, stoczyli się poza brzeg i znikli z oczu człowieka-małpy.

Tarzan wydał stłumione westchnienie, gdyż lubił Om-ata. Wraz z Ta-denem zbliżył się do krawędzi i spojrzął poza nią. Hen w dole, w nikłym świetle nadchodzącego świtu, powinny były leżeć dwa martwe ciała, lecz, ku zdumieniu Tarzana, całkiem inny widok przedstawiał się jego oczom. Wprost przeciwnie, dwie tryskające życiem postacie walczyły nadal o kilka stóp pod nim. Zawieszeni na dwu kołkach — ręką i nogą, i ogonem, czuli się równie swobodnie na prostopadłej ścianie, jak na poziomej powierzchni przedsionka. Zmienili tylko taktykę — każdy z nich zmierzał głównie do tego, by przeciwnika oderwać od jego punktu oparcia i zepchnąć w dół na pewną śmierć.

Wkrótce stało się jasne, że Om-at, młodszy i wytrzymalszy, zdobywał przewagę. Wódz teraz bronił się tylko. Trzymając go za poprzeczny rzemień potężną dłonią, Om-at odrywał przeciwnika od skały, drugą ręką zaś i nogą szybko kruszył jeden po drugim kołki Es-sata, nie zaniebując jednocześnie dotkliwych ciosów w brzuch wroga. Es-sat szybko tracił siły. Jak zwykle bywa w podobnych okolicznościach z tchórzami i brutalami, wraz ze świadomością nieuchronnej śmierci stał się pokost junactwa, tak długo udający odwagę i jednocześnie przestało obowiązywać prawo etyki. Es-sat nie był już więc wodzem Kor-ul-ja — stał się płaczkliwym tchórzem, walczącym o życie. Czepiając się Om-ata, czepiając się najniższych kołków, poszukiwał jakiegokolwiek podpory, która by go uchroniła przed strasznym upadkiem. Podczas tych usiłowań ogon jego sięgał do boku Om-ata i rękojeści jego noża. Ujrzał to Tarzan i w chwili gdy Es-sat wyciągnął nóż z pochwy, skoczył jak kot na kołki obok walczących. Ogon Es-sata cofnął się w tył, gotując się do podłego, zdradzieckiego ciosu. Wielu innych spostrzegło nیکczemny postępek i z dzikich piersi wydarł się okrzyk gniewu i oburzenia. Gdy ostrze mierzyło już w ofiarę, człowiek-małpa chwycił dzierżący je włochaty ogon, w tej samej zaś chwili Om-at odepchnął Es-sata z taką mocą, że nadwątlone kołki złamały się i wódz z krzykiem przerażenia runął w dół.



# Rozdział IV

## Potyczka

Gdy Tarzan i Om-at wdrapali się z powrotem do przedsionka jaskini Pan-at-lee i zajęli stanowisko obok Ta-dena, gotowi na wszelkie możliwe następstwa śmierci Es-sata, słońce, które wzniosło się nad wschodnie wzgórza, musnęło jednocześnie śpiącą postać na dalekim, cierniami porośłym stepie, budząc ją do dalszego, niezmordowanego tropienia po mało znacznym i szybko znikającym śladzie.

Czas jakiś milczenie panowało w Kor-ul-ja. Mężczyźni plemienia czekali, spoglądając to na martwą rzecz, która była ich wodzem, to po sobie, to na Om-ata i dwóch ludzi, obok niego stojących. Teraz przemówił zwycięzca.

— Jam jest Om-at! — zawołał. — Kto ośmieli się powiedzieć, że Om-at nie jest gundem Kor-ul-ja?

Czekał, czy kto podejmie wyzwanie. Jeden lub dwa młode, wielkie samce poruszyły się niespokojnie i spojrzały na niego, ale nie było odpowiedzi.

— Więc Om-at jest gundem — rzekł wreszcie. — Teraz powiedźcie mi, gdzie jest Pan-at-lee, jej ojciec i bracia?

Przemówił stary wojownik.

— Pan-at-lee powinna być w swej jaskini. Któż może wiedzieć lepiej od ciebie, który tam teraz jesteś? Jej ojciec i bracia zostali wysłani na przeszpiegi do Kor-ul-lulu. Ale żadna z tych spraw nas nie obchodzi. Jest za to inna! Czy Om-at może być wodzem Kor-ul-ja i jednocześnie stać przeciwko własnemu ludowi z Ho-donem i tym straszliwym człowiekiem, który nie posiada ogona? Wydaj obcych swemu ludowi, aby ich zabił, jak to jest w zwyczaju Waz-donów, a wówczas niechaj Om-at będzie gundem.

Ani Tarzan, ani Ta-den nie odezwali się słowem. Stali, śledząc Om-ata i czekając jego postanowienia, człowiek-małpa z cieniem uśmiechu na wargach. Ta-den wiedział, że stary wojownik rzekł prawdę — Waz-doni nie trzymają u siebie niewolnika z wrogich szczepów.

Om-at przemówił:

— Wciąż zachodzą zmiany — rzekł. — Nawet stare wzgórza pal-ul-donna nigdy nie wyglądają jednakowo: słońce błyszczące, przelatująca chmura, księżyc, mgła, zmieniające się pory roku, ostra jasność po burzy — wszystko to przynosi inny wygląd naszym wzgórzom. Od urodzenia do śmierci, dzień po dniu, zachodzi w każdym z nas ciągła zmiana. Zmiana więc jest jednym z praw Jad-ben-Otho.

— A teraz ja, Om-at, wasz gund, przynoszę nową zmianę. Obcy, którzy są dzielnymi ludźmi i dobrymi przyjaciółmi, nie będą zabijani przez Waz-donów z Kor-ul-ja.

Rozległy się pomruki i szemrania i niespokojne poruszenie powstało pośród wojowników. Jedni spoglądali na drugich, czekając, kto podejmie inicjatywę przeciwko Om-atowi, kacerzowi.

— Zaprzeście szemrań — upomniał ich nowy gund. — Jestem waszym wodzem. Moje słowo jest waszym prawem. Nie wy zrobiliście mnie wodzem. Niektórzy spośród was dopomogli byli Es-satowi do wygnania mnie z jaskini mych przodków, pozostali pozwolili na to. Nic wam nie zawdzięczam. Ci dwaj tylko, których chcielibyście, bym zabił, byli mi wierni. Jestem gund — a jeśli jest ktoś, kto o tym wątpi niechaj przemówi.

Tarzan był zachwycony. Oto człowiek według jego upodobania. Podziwiał nieustraszonosc wyzwania Om-ata, a dosyć dobrze znał ludzi, żeby wiedzieć, iż to, co słyszał, nie było pustą przechwałką. Om-at, w razie potrzeby, śmiercią przypieczętuje swe słowa. Nie stanąłby jednak sam jeden do walki. Widocznie większość doszła do tego samego przekonania.

— Będę dla was dobrym gundem — rzekł Om-at widząc, że nikt nie zdawał się skłonny do zaprzeczenia jego praw. — Wasze żony i córki będą żyły bezpiecznie — nie żyły one bezpiecznie za rządów Es-sata. Idźcie teraz do swych żniw i łowów. Odchodzę, by szukać Pan-at-lee. Ab-on będzie gundem podczas mojej nieobecności. On będzie wami kierował, a gdy powrócę, zda mi sprawę. Niechaj uśmiech Jad-ben-Otho będzie z wami.

Zwrócił się do Tarzana i Ho-dona. — Wy, moi przyjaciele, możecie swobodnie chodzić wśród mego ludu. Jaskinia mych przodków jest do waszego rozporządzenia; róbcie, co chcecie.

— Ja — rzekł Tarzan — pójdę z Om-atem poszukiwać Pan-at-lee.

— I ja także — powiedział Ta-den. Om-at uśmiechnął się.

— Dobrze! — zawołał. — A gdy ją znajdziemy, pójdziemy razem w sprawie Tarzana i Ta-dena.

Gdzie najpierw zaczniemy jej szukać?

Zwrócił się do swych wojowników.

— Kto wie, gdzie ona może być?

Nikt nic nie wiedział ponad to, że Pan-at-lee poprzedniego wieczora poszła wraz z innymi do swej jaskini — nie było żadnej poszlaki, żadnego domysłu co do miejsca jej pobytu.

— Wskaż mi, gdzie ona sypia — rzekł Tarzan — pokaż mi cokolwiek, co do niej należy — część jej stroju — wówczas, niewątpliwie, będę mógł ci pomóc.

Dwaj młodzi wojownicy wspięli się na występ, na którym stał Om-at. Byli to In-sad i O-dan. Przemówił ostatni.

— Gundzie Kor-ul-ja — rzekł — chcieliśmy pójść z tobą na poszukiwanie Pan-at-lee.

— O-dan i In-sad pójdą z nami — oświadczył Om-at — więcej nikogo nie potrzebujemy. Tarzanie, pójdź, pokażę ci, gdzie sypia Pan-at-lee, chociaż nie rozumiem, na co ci to potrzebne — wszak nie ma jej tam. Sam już patrzyłem.

Weszli we dwóch do jaskini i Om-at poprowadził do komnaty, w której Es-sat poprzedniej nocy zaskoczył Pan-at-lee.

— Wszystko co tu jest, należy do niej — rzekł Om-at — prócz maczugi wojennej, leżącej na podłodze — była to własność Es-sata.

Milcząc obszedł człowiek-małpa komnatę. Jego towarzysz nie zauważył drgania jego wrażliwych nozdrzy i dziwił się, na co to wszystko, sarkając z powodu zwłoki.

— Chodź! — rzekł człowiek-małpa i ruszył ku zewnętrznemu zagłębieniu.

Tu czekali na nich trzej pozostali towarzysze. Tarzan przeszedł na lewa stronę niszy i zbadał kołki, których można było łatwo dosięgnąć. Jeszcze bystrzejszy od jego bystrego wzroku był ten zdumiewający zmysł powonienia, rozwinięty w dzieciństwie pod opieką matki mlecznej, Kali, samicy małpiej, a później w surowej dżungli wyćwiczony przez mistrza nad mistrze — instynkt samozachowawczy.

Z lewej strony niszy zwrócił się ku prawej. Om-at zaczynał się niecierpliwić.

— Idźmy już. Musimy szukać Pan-at-lee, jeśli chcemy ją znaleźć.

— Gdzie mamy jej szukać? — zapytał Tarzan.

Om-at poskrobał się po głowie.

— Gdzie? — powtórzył. — No, w całym pa-ul-donie, jeśli znajdzie potrzeba.

— Ciężkie zadanie — odparł Tarzan. — Chodźcie — dodał — ona szła tędy — i chwycił za kołki, wiodące w górę, ku szczytowi urwiska. Tu z łatwością szedł za śladem, gdyż od ucieczki Pan-at-lee nikt nie przechodził tamtędy. W miejscu, gdzie porzuciła stałe kołki i uciekła się do niesionych ze sobą, Tarzan zatrzymał się nagle. — Szła tędy ku szczytowi — zawołał do Om-ata, idącego wprost za nim — ale tu nie ma więcej kołków.

— Nie wiem, skąd wiesz, że szła tędy — rzekł Om-at — ale dostaniemy kołki. In-sadzie, wróc i przynieś kołki dla pięciu.

Młody wojownik wkrótce był z powrotem i kołki zostały rozdane. Om-at wręczył pięć sztuk Tarzanowi, wyjaśniając sposób ich użycia. Tarzan zwrócił mu jeden. — Dla mnie wystarczą cztery — rzekł.

Om-at uśmiechnął się. — Jakimże cudownym byłbyś stworzeniem, gdybyś nie był zniekształcony — powiedział.

— Przyznaję wam wyższość nad sobą — odparł Tarzan. — Idźcie naprzód i pozostawcie dla mnie kołki, umieszczone w otworach. Obawiam się, że inaczej szłoby to zbyt wolno, gdyż nie mogę, tak jak wy, trzymać kołków w palcach u nóg.

— Dobrze — zgodził się Om-at. — Ta-den, In-sad i ja pójdziemy naprzód, ty za nami, O-dan zaś zamknie szereg i pozbiera kołki — me możemy zostawić ich tu dla wrogów.

— Czy wasi wrogowie nie mogą przynieść ze sobą kołków? — zapytał Tarzan.

— Mogą, ale to ich opóźnia i ułatwia naszą obronę — oni nie wiedzą, które otwory są dość głębokie, by wetknąć w nie kołki. Niektóre dziury są porobione w celu wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela i są zbyt płytkie, by kołek się w nich utrzymał.

Na szczycie skały obok sękatego drzewa Tarzan podjął znowu trop. Zapach był tu tak silny jak na kołkach i człowiek-małpa szybko podążył w kierunku Kor-ul-lulu.

Naraz zatrzymał się i zwrócił do Om-ata. — Tu ruszyła szybko, biegnąc z najwyższym pośpiechem i, Om-acie, gonił ją lew.

— Umiesz czytać w trawie? — zapytał Om-at, gdy pozostali skupili się wokół człowieka-małpy.

Tarzan skinął głową twierdząco. — Nie sądzę, by ją lew pochwycił — dodał.

— Gdzież więc może być? — zapytał Om-at.

— Możemy iść za śladem dopóty, dopóki jest świeży — odpowiedział człowiek-małpa i podejmując na nowo przerwane tropienie, powiodł ich w dół krawędzi. Za gwałtownym zakrętem tropu na lewo odprowadził ich do skraju urwiska, spadającego do Kor-ul-lulu. Przez chwilę badał ziemię z prawej i lewej strony, po czym wyprostował się i patrząc na Om-ata, wskazał na wąwóz. Waz-don popatrzył przez chwilę na zieloną szczelinę, na której skalistym dnie pienila się rwąca rzeka, po czym zamknął oczy, jak gdyby w nagłym porywie bólu, i odwrócił się.

— Czy sądzisz, że skoczyła? — zapytał.

— Aby nie wpaść w szpony lwa — odpowiedział Tarzan. — Był tuż za nią — patrz, możesz dojrzeć ślady czterech łap na ziemi, gdy ścigał swą ofiarę aż do samego skraju przepaści.

— Czy jest jakaś nadzieja — zaczął Om-at i nagle urwał na ostrzegawczy znak Tarzana.

— Z dołu — szepnął człowiek-małpa — nadchodzi dużo ludzi. Biegną — z dołu na szczyt. — Rozpłaszczył się na brzuchu na trawie, inni poszli za jego przykładem.

Czekali tak kilka minut; pozostali także usłyszeli odgłos biegnących stóp, a następnie chrapliwy okrzyk, powtórzony przez liczne głosy.

— To okrzyk wojenny Kor-ul-lula — szepnął Om-at — myśliwski okrzyk ludzi, polujących na ludzi. Zaraz ich zobaczymy i jeśli Jad-ben-Otho nam sprzyja, nie powinni znacznie przewyższać nas ilościowo.

— Jest ich dużo — rzekł Tarzan — czterdziestu lub pięćdziesięciu, powiedziałbym; ilu jednak jest ścigających, a ilu ściganych — nie możemy zgadnąć; pierwszych musi być znacznie więcej niż drugich, inaczej nie biegliby tak spieszenie.

— Oto są — rzekł Ta-den.

— To An-un, ojciec Pan-at-lee, i jego dwaj synowie! — zawołał O-dan.

— Jeśli nie pospieszymy, miną nie widząc nas — dodał, spoglądając na Om-ata, wodza, w oczekiwaniu hasła.

— Chodźmy! — zawołał Om-at, zrywając się na nogi i biegnąc szybko na spotkanie uciekających. Reszta podążyła za nim.

— Pięciu przyjaciół! — huknął Om-at, gdy An-un i jego synowie ich spostrzegli.

— Adenen yo! — powtórzyli O-dan i In-sad.

Uciekający prawie się nie zatrzymali na widok tych niespodziewanych posiłków, ze zdumieniem jednak spojrzeli na Ta-dena i Tarzana.

— Kor-ul-lulanie są liczni — odkrzyknął An-un. Chciałbym, abyśmy mogli się zatrzymać i stoczyć z nimi bitwę; ale najpierw musimy ostrzec Es-sata i nasz lud.

— Tak — rzekł Om-at — musimy ostrzec mój lud.

— Es-sat nie żyje — rzekł In-sad.

— Kto jest wodzem? — zapytał jeden z synów An-una.

— Om-at — odparł O-dan.

— To dobrze — zawołał An-un — Pan-at-lee mówiła, że przyjdiesz i zabijesz Es-sata.

Teraz ukazał się nieprzyjaciel poza nimi.

— Pójdźcie — zawołał Tarzan — obróćmy się i natrzyjmy na nich z wielkim krzykiem. Ścigali tylko trzech, gdy zaś zobaczą ośmiu ludzi, stawiających im czoło, pomyślą, że dużo ludzi zebrało się na bitwę. Uwierzą, że jest nas więcej, jeden z nas zaś, szybko nogi, zdąży tymczasem dobiec do wąwozu i ostrzec wasz lud.

— Dobra rada — rzekł Om-at. — I-danie, tyś szybko biegacz — zanieś wieść wojownikom Kor-ul-ja, że walczymy z Kor-ul-lulanami na szczycie i żeby Ab-on przysłał stu ludzi.

I-dan, syn An-una, popędził ku skalnym mieszkaniom Kor-ul-jan, gdy tymczasem pozostali natarli na zbliżających się Kor-ul-lulan. Wojenny okrzyk obu szczepów wznosił się i opadał nie bez pewnej dzikiej harmonii. Na widok posiłków, przywódcy Kor-ul-lulan zatrzymali się, czekając widocznie na pozostałych w tyle, zapewne także, by sprawdzić, jak wielkie przeciwstawiają się im siły.

Przywódcy, lepsi może biegacze od swych towarzyszy, wysunęli się mocno naprzód, podczas gdy reszta nie wyłoniła się jeszcze z zarośli.

Gdy Om-at i jego towarzysze rzucili się na nich z rozmachem, cofnęli się wstecz tak, że gdy wreszcie ukazali się ich towarzysze, wydawało się, że są w pełnym odwrocie. Naturalnym następstwem tego było, że i tamci także zawrócili i zaczęli uciekać.

Zachęcony tym pierwszym powodzeniem, Om-at, ze swą małą kompanią po bokach, pognął za nimi aż do zarośli, wydając przerażające dzikie okrzyki. Zarośla nie tak gęste, by przeszkadzać w pościgu, były dość wysokie i zasłaniały nawzajem przed sobą członków małej wyprawy, gdy choćby

na łokieć się od siebie oddalili. Wynikło stąd, że Tarzan, zawsze gotów do walki, wysunął się daleko naprzód — brak ostrożności, który stał się przyczyną jego zguby.

Wojownicy Kor-ul-lulu, niewątpliwie równie dzielni, jak ich nieprzyjaciele, cofnęli się w zarośla jedynie ze względów strategicznych. Wkrótce też odgadli, że przeciwnik był od nich mniej liczny. Zatrzymali się w najgęstszym miejscu — była to zasadzka i w tę zasadzkę wpadł Małpi Tarzan. Wystrychnęli go na dudka. Przykro to powiedzieć, ale istotnie wystrychnęli na dudka chytrego pana dżungli. Ale wszak walczyli oni na swym własnym terenie, którego każdą piędź znali, trzymali się też własnej taktyki, obcej Tarzanowi.

Człowiekowi-małpie ukazał się jeden jedyny wojownik maruder, wlokący się na tyłach cofającego się wroga, i pociągnął go za sobą. Wreszcie łukiem nawrócił i stanął wprost przed nim z wzniesioną maczugą i wyciągniętym nożem, gdy zaś Tarzan rzucił się na niego, dwudziestu roślących Waz-donów wyskoczyło z otaczających zarośli. Wielki Tarmangani za późno zrozumiał niebezpieczeństwo. Zamajaczyła przed nim wizja jego zaginionej żony. Żal wielki i dotkliwy wzbudził się w nim, gdy pomyślał, że jeśli ona jeszcze żyje, wszelka nadzieja dla niej stracona, bo chociażby nie dowiedziała się nigdy o stracie męża, jego śmierć będzie przypieczeniem jej losu.

Myśl ta napełniła go ślepym szałem nienawiści do istot, które śmiały krzyżować jego plany i zagrażać szczęściu jego żony. Z dzikim pomrukiem rzucił się na stojącego przed nim wojownika, wyrwał mu z ręki maczugę, jak gdyby ten był małym dzieckiem, a lewicą wymierzył z całej siły potężny cios w twarz Waz-dona, krusząc mu kości i obalając go na ziemię. Z maczugą powalonego w dłoni skoczył na innych, rozdzielając na prawo i na lewo niemiłosierne razy, pod którymi broń wypadła im z ręki, dopóki oręż, którym sam władał, nie popękał i nie pokruszył się. Z obu stron przeciwnicy padali pod jego pałką. Tak szybkie były jego ciosy, tak kocie jego ruchy, że przez kilka pierwszych chwil walki wydawało się, że się go cudze razy nie imają.

Nie mogło to jednak długo trwać — miał dwudziestu przeciw sobie. Ciśnięta weń maczuga uderzyła go w tył głowy. Stał przez chwilę, chwiejąc się, wreszcie runął na ziemię, jak wielka sosna pod siekierą drwala.

Pozostali Kor-ul-lulanie ruszyli ku reszcie wyprawy Om-ata.

Słychać było jak walczyli w niewielkiej odległości i widoczne było, że Kor-lu-jani cofali się z wolna. Podczas cofania się Om-at przywoływał nieobecnego: „Tarzan Groźny! Tarzan Groźny!”

— Jad-gur, istotnie — powtórzył jeden z Kor-ul-lulan, podnosząc się z ziemi, gdzie go był cisnął Tarzan. — Tarzan, Jad-guru!

# Rozdział V

## Tarzan Groźny

Gdy Tarzan padł wśród nieprzyjaciół, hen daleko, o dużo mil odległości, jakiś człowiek zatrzymał się na rubieży trzęsawiska, otaczającego pal-ul-don. Był on nagi; miał na sobie tylko przepaskę biodrową i trzy pasy z ładownicami. Na plecach przewieszony miał na rzemieniu „Enfield”\*, miał też długi nóż, łuk i kołczan ze strzałami.

Daleko zawędrował, minął dzikie, nieznane krainy, zagrażały mu okrutne zwierzęta i okrutniejsi jeszcze ludzie, jednakże w amunicji, napęlniającej jego pasy, nie brakło ani jednej kuli z tych, którymi napęlnił je, wyruszając w drogę.

Zdrowo i cało wiodły go łuk i strzały, i długi nóż nawet w obliczu wielkich niebezpieczeństw, które mogły być sprowadzone do zera jednym wystrzałem dobrze utrzymanego karabinu, wiszącego mu na plecach. W jakim celu przechowywał tę cenną amunicję?

W jakim celu narażał życie, by donieść błyszczące pociski do nieznanej mety? Dlaczego, dla kogo zachowywał te śmiercionośne kawałki metalu? Nikt w całym świecie, prócz niego, tego nie wiedział.

\* \* \*

Gdy Pan-at-lee przekroczyła kraj urwiska nad Kor-ul-lulem, pewna była, że roztrzaska się o skały w dole sterczące, wołała to jednak od szponów lwa. Los zrządził, że zdecydowała się na rozpaczliwy skok w miejscu, gdzie rwąca rzeka przepływała pod zwisającą skałą i zwalniając bieg, wlewała się w głębokie jezioro, wykute przez nią w ciągu stuleci, by następnie, w szalonym znów pędzie, tworząc pieniające się wodospady, rozbijać się z hukiem grzmotu o skały.

Do tego to lodowatego jeziora wskoczyła dziewczyna i zanurzyła się pod powierzchnią wody, póki na wpół uduszona, dzielnie jednak walcząc, nie wydobyła się na powietrze. Przepłynęła na przeciwległą stronę i wygramoliwszy się na brzeg, padła zadyszana i wyczerpana na ziemię. Dopiero zbliżający się świt skłonił ją do poszukania jakiegoś ukrycia, znajdowała się bowiem w kraju nieprzyjacielskim.

Podniosła się więc i ukryła wśród bujnej roślinności, tak obficie pieniającej się w dobrze nawodnionych k'kor\* pal-ul-donu.

Zasłonięta przed wzrokiem przechodniów, którzy mogli znaleźć się na dobrze wydeptanej ścieżce nad brzegiem rzeki, Pan-at-lee poszukała sobie spoczynku i pożywienia. Było tu pod dostatkiem owoców, jagód i soczystych korzeni, które wykopywała z ziemi nożem zmarłego Es-sata.

Ach, gdybyż wiedziała, że on nie żyje! Iluż uniknęłaby przygód i trwóg!

Sądziła jednak, że on wciąż jeszcze żyje i dlatego nie odważała się powrócić do Kor-ul-ja, przynajmniej zaraz, dopóki jego wściekłość nie wygasła.

Może później, gdy wrócą do swej jaskini jej ojciec i bracia, ale nie teraz, nie teraz. Nie mogła też długo pozostać i tutaj, w sąsiedztwie wrogich Kor-ul-lulan. Musi znaleźć, zanim noc nadejdzie, jakieś bezpieczne schronisko przed dzikimi zwierzętami.

Gdy tak, siedząc na pniu powalonego drzewa, poszukiwała rozwiązania zagadnienia swego bytu, doszły do jej uszu z wąwozu głosy ludzkie — aż nazbyt dobrze znany jej dźwięk. Był to okrzyk wojenny Kor-ul-lulan, zbliżających się do jej kryjówki.

Wtem poprzez zasłonę z liści dostrzegła trzy uciekające postacie. Za nimi coraz głośniejsz rozlegał się okrzyk prześladowców. Znowu dostrzegła uciekających, gdy przeprawiali się przez rzekę poniżej wodospadu, po czym zniknęli jej z oczu. Teraz ujrzała ścigających — wojowników Kor-ul-lulu, srogich, nieubłaganych.

Było ich czterdziestu, może pięćdziesięciu. Czekala z zapartym tchem; nie zboczyli jednak ze szlaku i przebiegli, nie podejrzewając, że ona, ich wróg, znajdowała się o parę łokci od nich.

Jeszcze raz dojrzała ściganych — trzech wojowników waz-dońskich, wspinających się na powierzchnię skały w miejscu, gdzie oderwały się kawały wierzchołka, tworząc strome urwisko, dostępne tylko dla takich jak oni wspinaczy. Nagle ci trzej przykuli jej uwagę. Czy to możliwe? O Jad-ben-Otho!

Gdybyż była wiedziała przed chwilą! Gdy ją mijali, mogła była przyłączyć się do nich — wszak to byli jej ojciec i bracia! Teraz już za późno. Z bijącym sercem i naprężonymi mięśniami śledziła wyścigi. Czy osiągną szczytu?



Czy Kor-ul-lulanie ich dogonią? Wdrapywali się dobrze, ale jakże powoli! Oto jeden stracił oparcie w rozluźnionym żwirze i ześlizgnął się z powrotem.

Kor-ul-lulanie wdrapywali się — jeden z nich cisnął maczugą w najbliższego uciekającego. Wielki Bóg łaskaw był dla brata Pan-at-lee, pozwolił bowiem, by maczuga padła tuż obok celu i tocząc się i podskakując uderzyła swego właściciela, zwalając go z nóg i spychając na dno wąwozu.

Pan-at-lee podniosła się i z rękoma przyciśniętymi do złotych napierśników, śledziła te wyscigi na śmierć i życie. Teraz jej starszy brat, dosięgnąwszy szczytu i trzymając się czegoś, czego nie mogła dojrzeć, nachylił ciało i ogon ku ojcu, przed nim się znajdującemu. Ojciec, pochwyciwszy podporę, podał ogon drugiemu synowi, temu który był się ześliznął, i tak, po tej żywej drabinie z własnych ciał, wydostali się wszyscy trzej na szczyt i znikli, zanim Kor-ul-lulanie ich dosięgli. Ostatni nie dali jednak za wygraną. Biegli dalej i wreszcie Pan-at-lee straciła ich z oczu. Tylko słabe okrzyki zdradzały, że gonitwa trwa nadal.

Dziewczyna zrozumiała, że trzeba stąd odejść. Każdej chwili mogła nadejść wyprawa myśliwska na drobniejsze zwierzęta, które się tu pasły lub miały legowiska.

Za nią był Es-sat i powracający Kor-ul-lulanie, którzy ścigali jej rodzinę. Przed nią, poza najbliższym wierzchołkiem, znajdował się Kor-ul-gryf, matecznik przerażających potworów, dreszcz grozy budzących we wszystkich mieszkańcach pal-ul-donu. Pod nią, w dolinie, leżała kraina Ho-donów, gdzie czekała ją śmierć lub niewola. Tu byli Kor-ul-lulanie, odwieczni wrogowie jej ludu, wszędzie zaś dzikie bestie, pożeracze ludzi.

Chwilkę tylko rozmyślała, po czym, zwróciwszy się twarzą ku południowemu wschodowi, ruszyła poprzez wąwóz w kierunku Kor-ul-gryfu — tam przynajmniej nie było ludzi.

Idąc ostrożnie, doszła do stóp skały daleko od Kor-ul-lulu i tu, koło południa, znalazła względnie łatwe przejście. Przeszedłszy wierzchołek, znalazła się wreszcie na krawędzi Kor-ul-gryfu — miejsca postrachu swej rasy.

W dole znajdowała się ciemna, tajemnicza roślinność, olbrzymie drzewa chwiały swe wierzchołki prawie na równym poziomie ze szczytem urwiska. Ponad wszystkim czała się złowroga cisza.

Pan-at-lee położyła się na brzuchu i wysunąwszy się poza krawędź, zaczęła przyglądać się powierzchni urwiska. Dojrzała jaskinię i kołki kamienne, starannie obrobione ręcznie przez dawnych mieszkańców.

Słyszała o nich w dzieciństwie w opowiadaniach, powtarzanych przy świetle ogniska i o tym, jak z trzęsawisk za górami przyszły gryfy i jak wreszcie ludzie, gdy wielu z nich pożarły okropne stwory, uciekli, pozostawiając opustoszałe jaskinie. Kiedy się to stało, żaden z żyjących ludzi nie wiedział. Niektórzy mówili, że Jad-ben-Otho, który żył wieczyście, był wówczas małym chłopięciem. Dreszcz wstrząsnął Pan-at-lee. Ale były tam jaskinie, w nich będzie bezpieczną nawet przed gryfami.

Znalazła miejsce, w którym kamienne kołki dochodziły aż do szczytu urwiska, pozostawione tam niechybnie podczas ostatecznego odwrotu mieszkańców, gdy już zbyteczne się stało zabezpieczenie przed inwazją nieprzyjacielską opustoszałych jaskiń. Pan-at-lee z wolna opuściła się ku najwyższej jaskini. Znalazła takie same zagłębienie przed drzwiami, jak u swego własnego plemienia. Podłoga usłana była tak wysoko gałęziami, starymi gniazdami i ptasim nawozem, że jaskinia była do połowy zapełniona. Ruszyła ku drugiemu wgłębieniu, potem ku następnemu, wszystkie jednak były jednakowo zanieczyszczone. Oczywiście było, że nie ma co szukać dalej. Pierwsza jaskinia wydawała się dużą i wygodną. Zabrała się przy pomocy noża do oczyszczenia jej, po prostu wyrzucając śmieci na dół, wciąż spoglądając ku cichej krawędzi wąwozu, gdzie czały się potwory Pal-ul-dońskie.

Były tam inne oczy, oczy, których nie widziała, ale które ją widziały i coraz usilniej śledziły —

oczy srogie, chciwe, oczy chytne, okrutne. Śledziły ją, a czerwony język oblizywał miękkie, obwisłe wargi. Śledziły ją, a na wpół ludzki mózg pracowicie obmyślał nikczemne plany.

Jak w jej rodzinnym Kor-ul-ja, naturalne źródła w skałach zostały przez dawno zmarłych budowniczych jaskiń umiejętnie rozszerzone, tryskała więc i teraz świeża, czysta woda jak przed wiekami, przed wejściem do jaskini. Mogła tu żyć do nieskończoności. Doznała teraz pewnego uczucia bezpieczeństwa dzięki temu zapewne, że w tym wysoko umieszczonym schronieniu nie groziły jej dzikie zwierzęta ani też ludzie, gdyż znajdowała się w przeklętym Kor-ul-gryfie.

Postanowiła zbadać wnętrze swego nowego mieszkania. Słońce oświeciło pierwszą komnatę. Podobna była do znanych jej dotychczas — te same zwierzęta i ludzie w ten sam pierwotny sposób wyryte na ścianach — widoczny był mały postęp wśród rasy waz-dońskiej w ciągu pokoleń, które minęły, odkąd Kor-ul-gryf został opuszczony przez ludzi. Naturalnie takie myśli nie przychodziły do głowy Pan-at-lee, dla niej bowiem i jej rodu nie istniało pojęcie ewolucji i postępu. Wszystko było tak, jak było zawsze i będzie zawsze, jak jest obecnie.

Trudno wątpić, że dziwne stworzenia istniały przez niezliczone wieki, tak wyraźne są w ich mieszkaniach ślady starożytności — głębokie bruzdy wydeptane przez nagie stopy w skale; zagłębienia w węgarze kamiennych drzwi, o który ocierały się nieprzebrane ramiona przechodzących ludzi; mnóstwo wrytych rysunków, pokrywających nieraz całą powierzchnię wielkiej skały i wszystkie ściany i powały wszystkich jaskiń, a każdy inną ręką wykonany, gdy każdy jest, można by rzec, herbem dorosłego samca, który go wykonał.

Pan-at-lee wydała się ta jaskinia znajoma i przytulna. Mniej było śmiecia wewnątrz niż w zewnętrznej części, a to, co się tu znajdowało, był to przeważnie nagromadzony kurz. Obok wejścia znajdowała się niszka, w której trzymano niegdyś drzewo i krzesiwo, obecnie jednak pozostało tylko próchno. Pan-at-lee zachowała spośród szczątków z przedsienia wiązkę gałęzi i wkrótce rozpałała ognisko i z zapaloną gałęzią w ręku poszła badać dalsze komnaty. Nic tam nie znalazła nowego lub obcego sobie, żadnych też innych pozostałości po byłych właścicielach, prócz kilku potłuczonych kamiennych mis. Szukała czegoś miękkiego do spania, ale czekało ją rozczarowanie. Dawni właściciele widocznie nie uciekali spiesznie i zabrali ze sobą cały swój dobytek. W dole, w wąwozie, były liście i trawa, i miękkie gałązki, ale Pan-at-lee nie miała odwagi zejść do tej straszliwej przepaści dla zdobycia odrobiny wygody — mogła ją tam popchnąć tylko konieczność poszukiwania pożywienia.

Gdy cienie się wydłużyły i noc nadeszła, przygotowała sobie łoże, jak mogła najwygodniejsze, zebrawszy odwieczny pył i usypawszy go między swym miękkim ciałem a twardą podłogą — było to trochę więcej niż nic. Ale Pan-at-lee była bardzo znużona. Już dwie noce nie spała i doznała przez ten czas wielu niebezpieczeństw i niewygód. Cóż dziwnego, że mimo twardego łoża zasnęła, zaledwie ułożywszy się na spoczynek.

Spała, a księżyc rzucał swój srebrny blask na białą powierzchnię skały i zmniejszał ponurość czarnego lasu i złowróbnego wąwozu. W dali zaryczał lew. Nastąpiła długa cisza. W dalszej połaci wąwozu rozległ się głęboki ryk, niski i złowrogi. Z dołu opuszczonej wioski odezwała się odpowiedź. Coś zeskoczyło z drzewa wprost pod jaskinią, w której spała Pan-at-lee, i spadło na ziemię wśród gęstych cieni. Teraz poruszyło się ostrożnie. Ruszyło ku podstawie skały, nabierając kształtów w poświacie księżycowej. Szło jak twór złego snu — z wolna, ociężale. Mógł to być wielki leniwiec — mógł to być człowiek — tak dziwnym pędzlem maluje księżyc.

Poruszało się niespiesznie po powierzchni skały, niby wielki żuk; malarz — księżyc znowu go dotknął swym pędzlem — okazało się, że to coś miało ręce i nogi i trzymało się przy ich pomocy kamiennych kołków, i mozolnie wznosiło się ku jaskini, w której spała Pan-at-lee. Z dolnej połaci

wąwozu znowu rozległ się ryk, a z góry nad wioską odezwała się odpowiedź.

\* \* \*

Małpi Tarzan otworzył oczy. Odczuwał ból w głowie i z początku nic nie wiedział,—co się z nim stało. Po chwili dojrzał dziwaczne cienie, wznoszące się i opadające. Spostrzegł, że znajduje się w jakiejś jaskini. Dwunastu Waz-donów przykucniętych rozmawiało. Grubej roboty latarnia kamienna, napełniona olejem, oświetlała wnętrze. Gdy płomień wznosił się i opadał, cienie wojowników tańczyły po ścianach.

— Przeprowadziliśmy ci go żywcem, gundzie — mówił jeden — gdyż nigdy jeszcze dotychczas nie widziano podobnego Ho-dona. Nie ma ogona — urodził się bez niego, gdyż nie znać żadnej blizny, świadczącej, że mu go obcięto. Wielkie palce u jego rąk i nóg także nie są podobne do palców pal-ul-donów. Silniejszy od wielu ludzi razem wziętych i rzuca się do walki z nieustraszoną ja. Przeprowadziliśmy go żywcem, abyś mógł go zobaczyć, zanim go zabijemy.

Wódz powstał i zbliżył się do człowieka-małpy, który zamknął oczy i udał nieprzytomnego. Tarzan poczuł włochatą rękę na sobie, bynajmniej nie łagodnie go obracającą. Gund obejrzał go od stóp do głowy, robiąc uwagi o jego wielkich palcach u rąk i u nóg.

— Z takimi palcami i bez ogona — rzekł — on nie może się wspinać.

— Nie — przyznał jeden z wojowników — niechybnie spadłby nawet z kołków skalnych.

— Nigdy nic podobnego nie widziałem — rzekł wódz. — Ani to Waz-don, ani Ho-don. Ciekaw jestem, skąd to przyszło i jak się nazywa.

— Kor-ul-janie wołali głośno: Tarzan-jad-guru! i myśleliśmy, że może jego tak nazywają — rzekł wojownik. — Czy zabijemy go teraz?

— Nie — odparł wódz — poczekamy, aż wróci mu życie do głowy, abym mógł go wypytać. Zostań tu, In-tanie, i pilnuj go. Gdy będzie mógł słyszeć i mówić, zawołaj mnie.

Wyszedł z jaskini, inni, prócz In-tana, poszli za nim. Gdy go mijali, Tarzan podchwycił urywki ich rozmowy, z których dowiedział się, że liczne posiłki Kor-ul-jan napadły na ich niewielki oddział i odepchnęły go. Widocznie szybkie nogi I-dana uratowały wojowników Om-ata. Człowiek-małpa uśmiechnął się i na wpół otworzył jedno oko, rzucając nim spojrzenie na In-tana. Wojownik stał na progu jaskini i wyglądał na zewnątrz, plecami odwrócony do jeńca. Tarzan pomacał więzy, którymi spętano mu ręce. Nie były zbyt mocne, przy tym związane mu ręce z przodu! Dowód, że Waz-doni mało brali jeńców, albo i wcale.

Ostrożnie podniósł ręce, aby przyjrzeć się węzłom. Uśmiech rozjaśnił mu oblicze. Zabrał się zaraz zębami do roboty, z baczny okiem wciąż zwróconym na In-tana. Rozluźnił ostatni węzeł i uwolnił ręce, gdy In-tan obrócił się, obrzucając spojrzeniem jeńca. Zauważył, że zmienił on położenie — nie leżał już na plecach, jak poprzednio, ale na boku i ręce trzymał przy twarzy. In-tan podszedł bliżej i nachylił się. Więzy na rękach wydały mu się bardzo rozluźnione. Wyciągnął dłoń, chcąc je zbadać, lecz bezzwłocznie jedna ręka chwyciła go za palce, druga za gardło.

Napaść była tak nieoczekiwana, że In-tan nie zdążył nawet krzyknąć, zanim uciszyły go stalowe palce. Dziwne stworzenie pchnęło go nagle, stracił równowagę i runął na ziemię z Tarzanem na piersiach. In-tan usiłował się uwolnić, próbował wyciągnąć nóż, ale Tarzan znalazł go wcześniej.

Ogon Waz–dona zarzucił się na szyję przeciwnika — mógł także dusić, ale własny jego nóż w rękach wroga odciął mu u samej nasady ulubiony członek.

Wysiłki Waz–dona stawały się coraz słabsze, mgła zasłaniała mu oczy. Wiedział, że umiera i nie mylił się. Po chwili skonał. Tarzan podniósł się i postawił nogę na piersiach przeciwnika. Jakże pragnął wydać okrzyk zwycięski swego ludu! Nie ważył się jednak. Przekonał się, że nie zajęto mu sznura z ramion i że włożono mu jego nóż do pochwy. Oparty o ścianę stał łuk i kołczan ze strzałami.

Tarzan skierował się ku wyjściu jaskini i wyrżał. Noc właśnie zapadła. Słyszał głosy z najbliższych jaskiń i czuł woń gotującego się jadła. Spojrzał w dół i doznał uczucia ulgi. Jaskinia, w której go trzymano, znajdowała się w najniższym szeregu — zaledwie na trzydzieści stóp od podstawy skał. Miał właśnie spróbować zejść, gdy przyszła mu do głowy myśl, zrodzona z nadanej mu przez Waz–donów nazwy — Tarzan–jad–guru — Tarzan Groźny i ze wspomnień owych dni, gdy dręczył murzynów w swej rodzinnej dżungli.

Wrócił do jaskini do ciała martwego In–tana. Odciął mu głowę, zaniósł ją na skraj komnaty i cisnął w dół, po czym cicho i zwinnie zszedł po drabinie z kołków w sposób, który zadziwiłby Kor–ul–lulan, tak pewnych, że on nie potrafi się wspinać.

Znalazłszy się na dnie, podniósł głowę In–tana i znikł wśród cieni drzew, trzymając za kudłate włosy ponury łup.

Minawszy wioskę. Tarzan powrócił do stóp skały, szukając sposobu wydostania się na krawędź i powrócenia do wioski Om–ata. Doszedł wreszcie do miejsca, gdzie rzeka płynęła tak blisko skalistej ściany, że musiał przepłynąć na drugą stronę i tam jego czujne nozdrza wykryły znany trop. Był to zapach Pan–at–lee w miejscu, w którym wydostała się z jeziora i ukryła w dżungli.

Człowiek–małpa zmienił natychmiast projekty. Pan–at–lee żyła, lub żyła przynajmniej po skoku ze szczytu urwiska. Wyruszył na poszukiwanie jej dla swego przyjaciela Om–ata i dla Om–ata pójdzie dalej śladem, przypadkowo znalezionym. Powiódł go trop do dżungli i poprzez wąwóz, a wreszcie do miejsca, w którym Pan–at–lee zaczęła się wdrapywać na urwisko po stronie przeciwnej. Tu Tarzan porzucił głowę In–tana, przywiązując ją do gałęzi drzewa, gdyż przeszkadzałaby mu przy wspinaniu się na strome urwisko. Wdrapał się po małpiemu, idąc za tropem Pan–at–lee, który wyraźnie, jakby wypisany, wiódł go do szczytu i po krawędzi.

Tarzan nic nie wiedział o Kor–ul–gryfie. W cieniach nocy widział dziwne, potworne kształty, a Ta–den i Om–at wspominali mu o wielkich stworzeniach, postrachu ludzi. Nie dziwił się jednak niczemu i niczego nie bał, poszedł więc w ciemną noc spokojnie, niczego się nie lękając.

Trop Pan–at–lee znowu się kończył na krawędzi urwiska. Nic jednak teraz nie wskazywało, by miała skoczyć w dół. Po chwili poszukiwań Tarzan odkrył kamienne kołki, po których zesła. Gdy leżał na brzuchu, wychylony poza skraj urwiska, badając kołki, zauważył coś u stóp skały. Nie mógł tego dobrze rozpoznać, widział jednak, że się to poruszało i z wolna wchodziło do góry, niechybnie przy pomocy takich samych kołków, jakie widział pod sobą. Śledził uważnie, gdy to coś wznosiło się coraz wyżej, aż wreszcie mógł wyraźnie rozpoznać jego kształt. Było to podobniejsze do małpy niż do innych zwierząt. Miało ogon, skądinąd jednak nie wydawało się prawdziwą małpą.

Wspinało się to powoli ku najwyższym szeregom jaskiń i znikło w jednej z nich. Tarzan znowu ruszył tropem Pan–at–lee. Szedł nim po kamiennych kołkach do najbliższej jaskini, potem dalej wzdłuż najwyższego szeregu. Zmarszczył brwi, przekonawszy się, w jakim kierunku szedł trop, i przyspieszył kroku. Już nieomal dosięgał trzeciej jaskini, gdy o ścianę Kor–ul–gryfu obilo się echo krzyku przerażenia.

# Rozdział VI

## Groźne spotkanie

Pan-at-lee spała niespokojnym snem fizycznego i nerwowego wyczerpania, pełnym okropnych widziadeł. Śniło się jej, że spała u stóp wielkiego drzewa na dnie Kor-ul-gryfu i że wpełzało na nią jakieś straszliwe zwierzę, nie mogła jednak ani otworzyć oczu, ani się poruszyć. Chciała krzyknąć, lecz żadnego dźwięku nie mogła dobyć z piersi. Czowała, jak zwierzę sapie. Z nadludzkim wysiłkiem otworzyła oczy. Pewna była, że to był tylko sen i że senna zjawa szybko zniknie — nieraz już tak bywało. Nie zniknęła jednakże. W bladym świetle, przesączającym się do ciemnej komnaty, dojrzała jakiś kształt obok siebie, poczuła włochate palce na sobie i włochatą pierś, do której ją przyciągano. Jad-ben-Otho! To nie był sen. Wówczas to krzyknęła i zaczęła odpychać napastnicze stworzenie. Na krzyk jej odpowiedział pomruk, druga włochata ręka chwyciła ją za włosy na głowie. Zwierzę podniósł się na tylne nogi i wyciągnął ją z jaskini do przedsienia oblanego księżycową poświatą. W tej właśnie chwili ujrzała postać jak gdyby Ho-dona na progu niszy.

Zwierzę ujrzało ją również i złowrogo zamruczało, nie puściło jednak zdobyczy. Przykucnęło w oczekiwaniu natarcia, coraz głośniejsze i groźniejsze tylko pomrukiując, aż wreszcie straszliwe dźwięki głośniejszym echem rozległy się w wąwozie, przygłuszając nawet głębokie porykiwania potworów, które na nowo zaczęły wydawać grzmiące odgłosy. Zwierzę, trzymając Pan-at-lee, przykucnęło, przybysz również przykucnęło i tak samo groźnie pomrukiwało. Pan-at-lee drżała z przerażenia. To nie był Ho-don. Bała się wprawdzie Ho-donów, tego stworzenia wszakże, po kocjemu przyczajonego i jak zwierzę warczącego, bała się jeszcze więcej. Była zgubiona — tego była pewna. Ci dwaj mogli walczyć o nią, ale którykolwiek zwycięży — zguba jej jest niechybna. Może w czasie walki, jeśli do tego dojdzie, zdoła skoczyć w głąb Kor-ul-gryfu.

W stworzeniu, które ją trzymało, poznała teraz Tor-o-dona, ale tego drugiego nie mogła określić, chociaż wyraźnie je widziała w świetle księżyca. Nie miało ogona. Widziała jego ręce i nogi — nie były to ręce i nogi rasy Pal-ul-dońskiej. Zbliżało się z wolna do Tor-o-dona, trzymając w jednej ręce błyszczący nóż. Naraz przemówiło, wprowadzając Pan-at-lee w zdumienie.

— Gdy on cię puści — rzekło — co będzie musiał uczynić, by się bronić, pobiegnij prędko poza mnie, Pan-at-lee, i zejdź do jaskini najbliższej kołków, po których schodziłaś ze szczytu urwiska. Stamtąd śledź przebieg walki. Jeśli zostanę pokonany, zdążysz uciec przed tym powolnym stworzeniem; jeśli zwyciężę, przyjdę tam do ciebie. Jestem przyjacielem Om-ata i twoim.

Trwoga opuściła Pan-at-lee, gdy usłyszała ostatnie słowa, choć niczego nie rozumiała. Skąd ta dziwna istota znała jej imię? Skąd wiedziała, że zeszła po kołkach przy pewnej określonej jaskini? Czyżby była tu wówczas, gdy ona przyszła? Pan-at-lee była zdumiona.

— Kto jesteś? — zapytała — i skąd przybywasz?

— Jestem Tarzan — odpowiedział — a przychodzę od Om-ata, który jest gundem Kor-ul-ja, w poszukiwaniu ciebie.

Om—at, gund Kor—ul—ja! Cóż to za dziwaczna wiadomość? Chciała pytać go dalej, ale już zbliżał się do Tor—o—dona. Ten ryczał i warczał tak głośno, że zagłuszył dźwięk jej głosu. Zrobił też to, co przepowiedziała dziwna istota — puścił ją, przygotowując się do natarcia. Natarł i zwarli się w śmiertelnym uścisku, każdy sięgając do gardła drugiego. Pan—at—lee nie skorzystała z możliwości ucieczki. Patrzyła i czekała, gdyż postanowiła zostać wierną tej niezwyklej istocie, która trafiła do jej serca słowami: „Jestem przyjacielem Om—ata”. Z wyciągniętym nożem czekała sposobności przyczynienia się do porażki Tor—o—dona. Wiedziała, że nowo przybyły sam nie zdoła tego dokazać, znała bowiem waleczność człowieka podobnego do zwierzęcia, z którym walczył. Niewielu ich było w pal—ul—donie, lecz tych niewielu było postrachem kobiet waz—dońskich i ho—dońskich, gdyż stare samce Tor—o—donów włóczyły się po górach i dolinach pal—ul—donu i biada kobietom, które znalazły się na ich drodze.

Tor—o—don schwycił ogonem nogę Tarzana poniżej golenia. Obaj ciężko runęli, lecz tak zręcznym był człowiek—małpa, tak zwinne były jego potężne mięśnie, że nawet padając, wydobył się na wierzch. Teraz ogon, który był uwikłał jego nogę, sięgał po gardło. Gdy padali, Tarzan, by obrócić swego przeciwnika, musiał użyć obu rąk, trzeba więc było wypuścić nóż z dłoni i broń leżała teraz daleko od niego, na samym skraju przedsienia. Obie ręce miał zajęte broniением się przed chwytnymi palcami i ochranianiem gardła przed potężnymi szponami wroga. Pan—at—lee, z zapartym tchem, krążyła z nadstawionym nożem, ale zapaśnicy tak szybko zmienili położenie, że nie mogła uderzyć bez obawy uszkodzenia Tarzana. Tarzan czuł, jak ogon z wolna, ale wytrwale zmierza ku jego karkowi, chociaż wsunął głowę w ramiona, by uchronić się przed niebezpiecznym chwytem. Czuł, że zwycięstwo przechyla się na stronę przeciwnika, którego ciężar i siła godne były Bolgani, goryla. Świadom tego, zdobył się na wysiłek nadludzki, rozłożył potężne ręce i z błyskawiczną szybkością zatopił kły w szyi Tor—o—dona. Jednocześnie ogon Tor—o—dona owinął się wokoło jego piersi. Rozpoczęła się królewska walka dwu ciał, usiłujących wyrwać się ze straszliwych wzajemnych objęć. Ale ruchami człowieka—małpy kierował ludzki mózg, dlatego zmagające się ciała tarzały się w kierunku takim, jakiego Tarzan pragnął — ku krawędzi przedsienia.

Zaciśnięty na piersiach ogon zamknął dostęp powietrza do jego płuc. Czuł, że usta mu się otwierają i język wywala się z gardła, czuł jak krew zalewa mu mózg i wzrok zaćmiewa, przedtem jednak dosięgnął celu — wyciągnął rękę po blisko teraz leżący nóż.

Resztkami sił zadawał cios po ciosie ostrym narzędziem. Wciąż w szponach Tor—o—dona zaczął spadać w dół i stracił przytomność.

Szczęściem dla Tarzana, Pan—at—lee nie posłuchała jego rady i nie uciekła podczas walki, jej bowiem zawdzięczał życie. Nie odstępując na krok walczących, zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego Tarzanowi. W chwili gdy zobaczyła zapaśników, staczających się z krawędzi, schwyciła człowieka—małpę za kostkę u nogi, rzucając się jednocześnie na płask na kamienną podłogę. Tor—o—don po ostatnim pchnięciu nożem wydał śmiertelne tchnienie i wypuściwszy z objęć Tarzana, zwałił się na dno wąwozu.

Pan—at—lee z nadzwyczajną trudnością powstrzymała swego obrońcę od runięcia w przepaść, dzierżąc go z całej siły za nogę. Próbowwała wciągnąć z wolna do niszy bezwładne ciało, przechodziło to jednak jej siły. Trzymała je więc tylko z całej mocy w nadziei, że zabłyśnie jej jakiś pomysł, zanim ją siły opuszczą. Ciekawa była, czy jej obrońca umarł — nie chciała dopuścić tej myśli — jeśli zaś żył, kiedy odzyska przytomność. Jeśli nie odzyska; jej rychło, to już nie nastąpi to nigdy, gdyż czuła, jak jej palce drętwieją i zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Wtem Tarzan oprzytomniał. Nie wiedział, jaka moc go trzyma, czuł jednak, że rozluźniają się palce, obejmujące go za kostkę. Nie opodal jego rąk widniały w skale dwa kołki i tych się chwycił właśnie w chwili, gdy



puściły go zdętwiałe palce Pan-at-lee. Gdyby me jego niezwykła siła, byłby spadł w przepaść. Zawisł na rękach i znalazł pod nogami inne kołki. Pierwsza jego myśl była o wrogu. Gdzie był? Czy oczekiwał na górze, by go ostatecznie pokonać? Tarzan spojrział w górę i zobaczył strwożoną twarz Pan-at-lee, wychylającą się za próg przedsienia.

— Żyjesz?! — zawołała.

— Tak — odpowiedział Tarzan. — Gdzie jest kudłacz? — Pan-at-lee wskazała na dół. — Tam — odparła — martwy.

— Dobrze! — zawołał i wdrapał się ku niej. — Nic ci nie zrobił złego? — zapytał.

— Przyszedłeś w sam czas — odrzekła Pan-at-lee. — Ale kto ty jesteś i skąd wiedziałeś o tym, że jestem tutaj, i co wiesz o Om-acie i skąd przybywasz, i co znaczy, że nazwałeś Om-ata gundem?

— Zaczekaj, zaczekaj — zawołał Tarzan — odpowiem ci po kolei. Wszystkie jesteście jednakowe — samice szczepu Kerchal, angielskie damy i ich siostry Pal-ul-dońskie. Trochę cierpliwości a powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Czterech nas ruszyło wraz z Om-atem z Kor-ul-ja, aby ciebie szukać. Kor-ul-lulanie napadli nas i rozdzielili. Wzięli mnie do niewoli, ale uciekłem. Natrafiłem na twój ślad i poszedłem za nim na szczyt skały, właśnie w chwili gdy włochaty wdrapywał się po niej do ciebie. Szedłem, by zbadać tę sprawę, gdy usłyszałem twój okrzyk — resztę wiesz.

— Ale nazwałeś Om-ata gundem — nalegała. — Es-sat jest gundem.

— Es-sat nie żyje — wyjaśnił człowiek-małpa. — Om-at go zabił i teraz Om-at jest gundem. Om-at wrócił, by ciebie zobaczyć. Zastał w twej jaskini Es-sata i zamordował go.

— Tak — rzekła dziewczyna — Es-sat wszedł do mojej jaskini, a ja powaliłam go swymi złotymi napierśnikami i uciekłam.

— I lew cię gonił — dokończył Tarzan — a ty skoczyłaś ze skały do Kor-ul-lulu, nic pojmując wszakże, dlaczego się nie zabiłaś.

— Czy jest coś, czego ty nie pojmujesz? — zawołała Pan-at-lee. — Jak to być może, że wiesz, że lew mnie ścigał i że skoczyłam ze skały, a nie wiesz, że uratowało mnie głębokie jezioro?

— Dowiedziałbym się i tego, gdyby nie nadbiegli Kor-ul-lulanie i nie przeszkodzili mi w tropieniu ciebie. Teraz jednak ja chciałbym zadać ci pytanie — jak nazywacie to stworzenie, z którym stoczyłem tylko co walkę?

— To był Tor-o-don — odpowiedziała. — Jednego tylko widziałam dawniej. To straszne istoty o chytrności ludzkiej a okrucieństwie zwierzęcym. Wielki musi być wojownik, który potrafi zabić jednorękiego.

Spojrzała na niego z nie ukrywanym podziwem.

— Teraz — rzekł Tarzan — musisz się przespać, bo jutro rano wrócimy do Kor-ul-ja i do Om-ata, wątpię zaś, czy dużo wypoczywałaś w ciągu ostatnich dwu nocy.

Pan-at-lee, ukołyszana poczuciem bezpieczeństwa, spała spokojnie aż do rana. Tarzan wyciągnął się na twardej podłodze przedsienia przed jej jaskinią.

Słońce było wysoko na niebie, gdy się obudził. Patrzyło ono od dwu już godzin na inną bohaterską postać o wiele mil dalej — na bogom podobną postać człowieka, przebijającego się przez okropne trzęsawiska, broniące dostępu do pal-ul-donu. To brnąc po pas w lepkim szlamie, to napastowany przez obmierzłe gady; człowiek ten posuwał się naprzód tylko dzięki herkulesowym wysiłkom, mozolnie krok za krokiem postępując po niepewnej ścieżce. Pośrodku trzęsawiska była przestrzeń, zalana wodą — mulistą, zieloną wodą. Dobił się do niej wreszcie po dwu godzinach wysiłków, których nie przeżyłby zwykły człowiek. Jego gładka brązowa skóra oblepiona była mułem i błotem, mułem i błotem oblepiony był ukochany Enfield, który tak pięknie lśnił w pierwszych

brzaskach wschodzącego słońca.

Zatrzymał się nad brzegiem wody, po czym skoczył do niej. Płynął spokojnymi, potężnymi rzutami. Był już w połowie drogi, rad, że tak łatwe napotkał zadanie, gdy wprost przed nim wynurzył się z głębin odrażający gad, który z szeroko rozwartą paszczą, przeraźliwie sycząc, rzucił się na niego.

W tym czasie Tarzan podniósł się, wyprostował grzbiet i głębokimi haustami pił świeże ranne powietrze. Byстрым wzrokiem objął niezwykle piękno krajobrazu. Wprost przed nim leżał Kor-ul-gryf, pełen ciemnej zieleni łagodnie chwiejących się szczytów drzew. Dla Tarzana nie był to widok ani ponury, ani odstręczający — była to dżungla, ukochana dżungla. Czy istniała na świecie dżungla, która by nie nakarmiła Tarzana? Uśmiechnął się i zaczął schodzić do wąwozu.

Doszedłszy do stóp urwiska, pobiegł do dżungli i zatrzymał się, wzrokiem, słuchem i powonieniem poszukując zwierzyny. Bez szelestu ruszył głębiej w las, z łukiem i strzałami w pogotowiu. Nagle wyraźnie pochwycił ostry, słodkawy zapach Bary-jelenia. Spiesznie, choć ostrożnie, ruszył naprzód — zdobycz, była niedaleko. Myśliwy, zbliżywszy się do niej, po cichutku wdrapał się na drzewo i zaczął wędrówkę, po gałęziach. W ten sposób zaszedł Barę, pojącego się w jeziorze. Jeleń był zbyt daleko od drzewa by można było rzucić się na niego, musiał więc człowiek-małpa polegać na trafności pierwszej strzały, bo gdyby chybił, przepadłyby i jeleń i strzała. Naciągnął cięciwę, strzała pomknęła ze świstem i Baro, skoczywszy w powietrze, padł na ziemię, ugodzony w samo serce. Tarzan zeskoczył z drzewa i pobiegł do swego łupu. Gdy nachylił się, by zarzucić go sobie na ramiona, posłyszał grzmiący ryk, który zdawał się wychodzić nieomal spod jego prawego łokcia. Spojrzał w tym kierunku i ujrzał stworzenie, o jakim paleontolodzy przypuszczają, że może istniało w najodleglejszym zaraniu istnienia ziemi — olbrzymie stworzenie, które z wściekłością na niego natarło.

Gdy Pan-at-lee się obudziła, wyrzała do niszy, szukając Tarzana. Nie było go tam. Wskoczyła z jaskini, spojrzała w głąb Kol-ul-gryfu, domyślając się, że poszedł na polowanie i dostrzegła go, znikającego w lesie. Ogarnęło ją przerażenie. Wiedziała, że był obcym w pal-ul-donie i że dlatego mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, co mu groziło w tym wąwozie. Dlaczego nie zawołała, by powrócił? Zbyt dobrze znała zwyczaje gryfów, ich słaby wzrok a bystry słuch i wiedziała, że zjawiają się na dźwięk ludzkiego głosu. Nie zawołała więc Tarzana, lecz aczkolwiek pełna trwogi, zeszła do wąwozu, by go dogonić i szeptem ostrzec przed niebezpieczeństwem. Był to męzny postępek, gdyż narażała się na spotkanie z istotami, które budziły w niej dziedziczną od prawików trwogę.

Pan-at-lee, potomek długiej linii łowców, wiedziała, że Tarzan będzie szedł pod wiatr i w tym kierunku szukała jego tropu. Łatwo go znalazła, gdyż człowiek-małpa nie starał się ukrywać. Szybko biegła aż do miejsca, w którym Tarzan obrał drogę drzewną. Wiedziała dobrze, co się stało, gdyż jej lud również tą drogą się posługiwał, nie mogła jednak tropić go po drzewach, nie miała bowiem tak jak on rozwiniętego zmysłu powonienia. Spodziewała się, że szedł nadal pod wiatr i ruszyła w tym kierunku z sercem, tłukącym się ze strachu, rzucając oczyma na wszystkie strony. Gdy doszła do skraju polanki, spostrzegła Tarzana nachylonego nad martwym jeleniem i jednocześnie posłyszała ogłuszający ryk, rozbrzmiewający tuż prawie obok niej. Trudno opisać jej przerażenie, nie straciła jednak głowy. Skoczyła na sąsiednie drzewo, na najwyższą gałąź, jaka mogła wytrzymać jej ciężar, i spojrzała na dół.

Stwór, który po ostrzegawczym ryku, ukazał się zdumionym oczom Tarzana, był potworny i zatrważający; Tarzana jednak nic przeraził, tylko go rozgniewał. Człowiek-małpa zrozumiał, że walka z nim przechodziła jego siły, groziła mu więc utrata upolowanej zwierzyny, a Tarzan był

głodny. Pozostawała mu tylko ucieczka — szybka, natychmiastowa. I Tarzan rzucił się do niej — ale z Barą na plecach. Najbliższe drzewo znajdowało się o jakie dwanaście kroków. Największym niebezpieczeństwem, jak sadił, był olbrzymi wzrost ścigającego go zwierzęcia, gdyż, gdyby nawet dobiegł do drzewa, musiałby wdrapać się bardzo wysoko w ciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu. Jeśli pozory go nie myliły, potwór mógł go dosięgnąć i zdjąć z gałęzi na wysokości trzydziestu stóp, a może nawet i pięćdziesięciu, jeśliby się wspiał na tylne nogi.

Ale Tarzan nie był guzdrałą i gryf, mimo niewiarygodnego pośpiechu, nie mógł się równać z nim szybkością, co zaś do wspinania się na drzewa, małe małpki z zazdrością spoglądały na człowieka—małpę. Dzięki temu zawiedziony gryf zatrzymał się u stóp drzewa i chociaż, jak to Tarzan przewidywał, wspiał się na tylne nogi, by pochwycić swą ofiarę, nie zdołał go dosięgnąć. Tarzan zatrzymał się i tuż ponad sobą zobaczył drżącą Pan—at—lee.

— Skąd się tu wzięłaś? — zapytał.

Opowiedziała mu wszystko. — Przyszłaś, by mnie ostrzec — rzekł. — To bardzo odważnie i niesamolubnie z twojej strony. Markotno mi, że tak się dałem zaskoczyć. Zwierz nadszedł do mnie z wiatrem, a jednak nie wy czułem jego obecności. Nie rozumiem tego.

— Nic dziwnego — rzekła Pan—at—lee. — To jedna z właściwości gryfa — mówią, że człowiek nigdy nie wie o jego obecności, dopóki się ten na niego nie rzuci — tak cicho się porusza mimo swych olbrzymich rozmiarów.

— Ale powinienem był wyczuć go węchem — zawołał Tarzan.

— Wyczuć węchem? — powtórzyła Pan—at—lee.

— Naturalnie. W jaki sposób, sadiusz, tak szybko znalazłem jelenia? — Tarzan nagle zamilkł i spojrzał na stojące poniżej ryczące stworzenie. Nozdrza jego drgały, jak gdyby w poszukiwaniu odoru. Ach! — zawołał, znalazłem!

— Co? — zapytała Pan—at—lee.

— Dałem się zaskoczyć, bo to stworzenie nie wydaje żadnej woni — wyjaśnił człowiek—małpa.

— Pan—at—lee, słyszałaś kiedy o triceratopsie? Nie? A więc, to co nazywasz gryfem, to jest triceratops. Widziałem jego szkielet w muzeum w Londynie i odtworzony jego kształt. Zawsze myślałem, że uczeni paleontolodzy, którzy dokonali tego dzieła, kierowali się rozgorączkowaną wyobraźnią, widzę jednak, że się myliłem. To żyjące stworzenie jest tak podobne do tamtego, że je łatwo rozpoznać.

Triceratops, Londyn, paleo — nie rozumiem, o czym mówisz — zawołała Pan—at—lee.

Tarzan uśmiechnął się i rzucił w zwierzę uschłą gałąź. Wielka kryza kostna na karku potwora wyprężyła się, z potężnego ciała dobył się przerażający ryk. Stworzenie to miało całe dwadzieścia stóp szerokości w ramionach. Barwy szaroniebieskiej, oblicze miało żółte z niebieskimi obwódkami dokoła oczu, kryzę czerwoną w żółte pasy i żółte podbrzusze. Trzy równoległe linie kościstej wypukłości ciągnęły się wzdłuż całego ciała; czerwona przez grzbiet, żółte po obu bokach. Zachował trzy rogi dinozaura — dwa wielkie nad oczami i jeden mniejszy na nosie.

Tarzan z podziwem patrzył na jego tytaniczne rozmiary. Miał siedemdziesiąt pięć stóp długości, a w jego wielkim ogonie tała się siła całego słonia.

Małe złe oczki spoglądały na człowieka—małpę. Rogaty dziób pokazał potężne zęby.

— Trawożerca — szepnął Tarzan. — Może byli nim twoi przodkowie, ale nie ty — zwrócił się do Pan—at—lee. Chodźmy. W jaskini spożyjemy mięso jelenia, a potem wrócimy do Kor—ul—ja i do Om—ata.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz. — Pójść? — rzekła. — Nigdy stąd nie pójdziemy.

— Dlaczego? — zapytał Tarzan.

Zamiast odpowiedzi, wskazała na gryfa.

— Głupstwo! — zawołał człowiek–małpa. — On nie umie się wdrapywać. Możemy dojść do urwiska po drzewach i znaleźć się w jaskini, zanim on spostrzeże, co się z nami stało.

— Nie znasz gryfów — ponuro odparła Pan–at–lee. — Dokądkolwiek się zwrócimy, pójdzie za nami i zawsze znajdziemy go u stóp drzewa, z którego zechcemy zejść. Nigdy już nas nie odstąpi.

— Możemy pozostać długo na drzewach — odpowiedział Tarzan — kiedyś przecież się oddali.

Dziewczyna potrząsnęła głową. — Nigdy — rzekła. — Prócz tego są tu i Tor–o–doni. Przyjdą i zabiją nas, a pokosztowawszy, resztę rzucą gryfowi, gdyż Tor–o–doni i gryfy żyją w przyjaźni, ponieważ Tor–o–doni dzielą się z gryfami pokarmem.

— Może masz słuszość — powiedział Tarzan — ale nawet, gdyby tak było, nie mam zamiaru czekać tu na kogoś, kto zje kawałek mnie i resztą nakarmi zwierzy, stojące pod nami. Nie moja będzie wina, jeśli nie wyjdę stąd cało. Zróbmy próbę.

To mówiąc, ruszył po wierzchołkach drzew z Pan–at–lee tuż za sobą. Rogaty dinozaur ruszył także. Gdy dosięgli skraju lasu, między którym a urwiskiem pozostało do przebycia pięćdziesiąt łokci otwartej przestrzeni, u stóp ostatniego drzewa czekał na nich gryf.

# Rozdział VII

## Rozłączenie

Tarzan spojrział na Pan-at-lee. — Czy potrafisz bardzo szybko przebiec wąwóz po drzewach? — zapytał.

— Sama?

— Nie — odrzekł Tarzan.

— Pójdę, dokąd mnie poprowadzisz.

— Wzdłuż i z powrotem?

— Tak.

— Pójdź więc i rób dokładnie, co ci wskażę.

Ruszył po drzewach z powrotem, przeskakując jak małpa z gałęzi na gałąź, wybierając taki szlak, gdzie w dole były najgęstsze zarośla, gdzie drogę zagradzały powalone drzewa — wszystko jednak na próżno. Gdy dostali się do przeciwnego końca wąwozu, gryf nadszedł jednocześnie z nimi.

— Teraz z powrotem — rzekł Tarzan i zawróciwszy, przebyli tę samą drogę po wierzchołkach drzew z tym samym, nie, z gorszym jeszcze wynikiem: do pierwszego przyłączył się drugi gryf i teraz obydwa czekały na nich u stóp drzewa, na którym się zatrzymali.

Urwisko ze swymi niezliczonymi jaskiniami zdawało się wzywać ich i nęcić. Było tak blisko, a wieczność dzieliła ich od niego. Trup Tor-o-dona leżał u stóp skały tam, gdzie był runął. Wyraźnie było go widać ze szczytu drzewa. Jeden gryf podszedł do niego i obwąchał, nie zabrał się jednak do pożerania go. Tarzan, mijając rano trupa, obejrzał go i doszedł do wniosku, że był to albo bardzo wysoko rozwinięty gatunek małpy, albo na bardzo niskim szczeblu stojący gatunek człowieka. Coś pokrewnego człowiekowi, znalezionemu na Jawie; prawdziwszy okaz pitekantropusa od Ho-donów i Waz-donów, może poprzedzająca ich forma.

Mózg Tarzana pracował nad obmyśleniem sposobu uratowania Pan-at-lee, gdy nagle rozległ się dziwny okrzyk w wąwozie.

Zbliżając się, zabrzmiał: „Whee-oo! Whee-oo!”

Gryfy podniosły głowy i spojrzały w kierunku, skąd głos dochodził. Jeden z nich odpowiedział niskim piersiowym huczeniem.

Nie był to ryk i nie zdradzał gniewu. Ozwało się znowu „Whee-oo!” Gryfy powtórzyły poprzednie huczenie, na co odpowiedziały przerywane „Whee-oo”, coraz bardziej się zbliżające.

Tarzan popatrzył na Pan-at-lee. — Co to jest? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekła. — Może jaki dziwny ptak lub jakie inne potworne zwierzę, mieszkające w tych strasznych okolicach.

— Ach! — zawołał Tarzan. — Oto jest. Patrz! Pan-at-lee krzyknęła z rozpaczą: — Tor-o-don!

Idąc na dwu nogach, z kijem w ręku, zbliżał się Tor-o-don powolnym, ociężałym chodem. Szedł wprost ku gryfom, które odsunęły się, jak gdyby trwogą zdjęte. Tor-o-don podszedł do jednego z

nich. Ten podrzucił głowę i krnąbrnie zagrzecotał. Tor—o—don skoczył i zaczął okładać zwierzę po pysku swym kijem. Ku zdumieniu Tarzana gryf, który mógł z łatwością unicestwić drobnego stosunkowo Tor—o—dona, spokorniał, jak obity kundys.

— Whee—oo! Whee—oo! — huczał Tor—o—don i gryf powoli zbliżył się do niego. Zatrzymało go uderzenie po środkowym rogu. Wówczas Tor—o—don obszedł go, uczepił się jego ogona i zasiadł okrakiem na wielkim grzbiecie. „Whee—oo!” zahuczał i ukłuł potwora ostrym końcem kija. Gryf ruszył naprzód.

Tarzan był tak zajęty tą sceną, że nie pomyślał o ucieczce. Widział, że dla niego i dla Pan—at—lee w tych krótkich chwilach czas cofnął się o niezliczone wieki wstecz i ukazał stronicę zamierzchłej przeszłości. Wszak patrzyli na pierwotnego człowieka i jego pierwsze zwierzę pociągowe.

Teraz okiełznany gryf zatrzymał się i rycząc, spojrzął na nich. To wystarczyło. Zwierzę ostrzegło swego pana o ich obecności. Natychmiast Tor—o—don zawrócił pod drzewo swego wierzchowca i stanął na jego grzbiecie. Tarzan zobaczył zwierzęce oblicze, wielkie kły, potężne mięśnie. Z lędźwi takich oto istot zrodził się rodzaj ludzki — z takich tylko mógł się zrodzić, bo tylko takie istoty mogły przeżyć współczesne im niebezpieczeństwa.

Tor—o—don walił się w piersi i warczał straszliwie, niesamowicie, zwierzęco. Tarzan stanął na kołyszącej się gałęzi — prosty i piękny, jak pół—bóg, doskonały okaz tego, czym rodzaj człowieczy mógłby być, gdyby prawa ludzkie nie stanęły w poprzek prawom natury.

Teraźniejszość nałożyła strzałę na łuk. Przeszłość, opierając się na brutalnej sile, usiłowała dosięgnąć tamtego i ściągnąć go w dół, lecz wypuszczona strzała głęboko utkwiała w dzikim sercu i Przeszłość stoczyła się w objęcia zapomnienia.

— Tarzan—jad—guru! — szepnęła Pan—at—lee, w podziwie swym nadając mu nieświadomie to samo miano, jakim obdarzyli go wojownicy jej plemienia.

Człowiek—małpa zwrócił się do niej. — Pan—at—lee — rzekł — te potwory mogą nas tu trzymać do nieskończoności. Nie sadzę, byśmy zdołali uciec razem, ale mam pewien pomysł. Pozostań tu ukryta wśród liści, ja zaś ruszę przez wąwóz z okrzykiem, by zwrócić ich uwagę. O ile nie mają więcej rozumu, niż przypuszczam, pójdą za mną. Gdy odejdą, będziesz mogła dostać się do urwiska. Czekaj na mnie w jaskini nie dłużej niż przez dziś. Jeśli nie przyjdę do wschodu słońca, sama powrócisz do Kor—ul—ja. Weź kawałek mięsa jeleniego.

Odciał jedna z tylnych nóg jelenia i podał jej.

— Nie mogę cię opuścić — rzekła spokojnie. — Nie jest zwyczajem mego ludu opuszczać przyjaciela i sprzymierzeńca. Om—at nigdy by mi tego nic wybaczył.

— Powiesz Om—atowi, że ci kazałem.

— Czy to rozkaz? — zapytała.

— Tak! Żegnaj, Pan—at—lee. Śpiesz do Om—at. Jesteś godna być żoną wodza Kor—ul—ja. — Z wolna ruszył po gałęziach.

— Żegnaj, Tarzame—Jad—guru! — zawołała. Szczęśliwi są Om—at i jego Pan—at—lee, że mają takiego przyjaciela!

Tarzan z głośnymi okrzykami wyruszył w drogę, a wielkie gryfy, zwabione jego głosem, dotrzymywały mu kroku. Powiódł mu się wybieg. Ku jego radości ryczące potwory coraz bardziej oddalały się od Pan—at—lee.

Kilkakrotnie próbował Tarzan oszukać swych prześladowców, lecz na próżno. Nie było sposobu zmylenia tropu: czy skręcał, czy nawracał — zawsze znajdował ich pod sobą. Wreszcie zaczął sobie zdawać sprawę z beznadziejności położenia i zrozumiał, dlaczego Kor—ul—gryf został od prawieków wyklęty przez wszystkie szczepy Pal—ul—dońskie.

Noc zapadła. Mimo że od wczesnego ranka poszukiwał wyjścia z tego ślepego zaułka, nie był ani o krok bliżej uwolnienia, niż w chwili, gdy pierwszy ryczący gryf na niego natarł. Jednakże ze zbliżeniem się nocy odżyła w nim nadzieja, gdyż, podobnie wielkim kotom, Tarzan był mniej, lub więcej, nocnym zwierzęciem.

Nie znał niestety gryfów. Zanim noc minęła, zaczął się zastanawiać, czy te stworzenia nigdy nie zasypiają, dokądkolwiek bowiem ruszył, wszędzie je spotykał i wciąż zagradzały mu drogę do wolności. Wreszcie, przed samym świtaniem, dał za wygraną i wyszukał sobie miejsce spoczynku w rozwidleniu drzewa.

I znowu słońce było już wysoko, gdy Tarzan się obudził, wypoczęty i odświeżony. Cicho i ostrożnie chciał zniknąć w gęstym listowiu drzewa, ale pierwszy zaraz jego ruch został ogłoszony przez głęboki ryk z dołu. Tarzan szybko się odwrócił i dojrawszy odrażające oblicze gryfa, porwał wielki owoc z sąsiedniej gałęzi i cisnął nim w rogaty dziób. Zwierzę otrzymało cios między oczy z wynikiem, który zdumiał człowieka–małpę. Wbrew jego oczekiwaniom, nie wpadło w dziki gniew, przeciwnie — gdy owoc odskoczył od jego pyska, odwróciło się chmurnie, odstępując o kilka kroków.

Było w tym postępku coś, co przypomniało Tarzanowi podobny wynik, gdy poprzedniego dnia Tor–o–don uderzył jednego z potworów kijem po pysku. Bezzwłocznie w mózgu Tarzana powstał zuchwały plan.

Z uśmiechem zaczął przygotowywać się do największej gry o życie, jaka się kiedykolwiek rozgrywała. Zachowanie jego nie zdradzało pośpiechu, ni podniecenia, ni zdenerwowania.

Przede wszystkim wybrał długą, prostą gałąź około dwu cali średnicy u podstawy. Odciął ją od drzewa, odjął drobne gałązki i zrobił z niej drąg około dziesięciu stóp długi i zaokrąglił go u cieńszego końca. Wykończywszy kij, spojrzał na triceratopsy.

— Whee–oo! — zawołał.

Zwierzęta podniosły głowy i spojrzały na niego. Z piersi jednego dobyło się niskie huczenie.

— Whee–oo! — powtórzył Tarzan i rzucił im resztkę zabitego jelenia.

Rycząc, rzuciły się gryfy na łup, wyrywając go sobie nawzajem. Udało się to jednemu i automatycznie jeleni został pożarty. Znowu oba spojrzały na Tarzana i zobaczyły, że schodzi na ziemię.

Jeden ruszył ku memu. Tarzan powtórzył dziwaczny okrzyk Tor–o–dona. Gryf zatrzymał się, widocznie zdziwiony. Tarzan lekko się zsunął i podszedł do najbliższego zwierzęcia z groźnie podniesionym kijem w rękę i okrzykiem praczłowika na ustach. Czy na okrzyk ten odpowie niskie huczenie pociągowego bydłęcia, czy straszliwy ryk pożeracza ludzi? Od odpowiedzi na to pytanie zawisł los człowieka–małpy.

Pan–at–lee uważnie przysłuchiwała się głosom oddalających się gryfów, gdy Tarzan chytrze odwodził je od niej. Gdy już się upewniła, że oddalenie ich pozwala na jej ucieczkę, szybko zeskoczyła na ziemię i jak spłoszony jeleni pomknęła przez otwartą połąć ku podstawie urwiska. Minęła trupa Tor–o–dona, który ją napastował ubiegłej nocy i niebawem zaczęła wdrapywać się po starożytnych kamiennych kołkach opuszczonej wioski skalnej. W otworze jaskini, którą zajmowała, rozpałała ognisko i upiekła otrzymany od Tarzana udziec jeleni.

Czekała dzień cały, słysząc bądź z oddali, bądź tuż w pobliżu, ryki gryfów, ścigających niepojętą istotę, która w tak cudowny sposób znalazła się na drodze jej życia.

Czekała dzień i noc w nadziei, że Tarzan powróci i że razem udadzą się do Om–ata, wiedziała bowiem, że lepiej jest we dwoje stawić czoło niebezpieczeństwom. Ale Tarzan–jad–guru nie zjawił się i następnego ranka Pan–at–lee wyruszyła w powrotną drogę do Kor–ul–ja.

Bez przeszkód dotarła do Kor-ul-lulu. Zszedłszy skalistą południową ścianą, nie natknawszy się na żaden ślad dziedzicznych wrogów swego ludu, poczuła nieomal pewność, że przygody jej pomyślnie się zakończą i że wkrótce powróci do swoich i do ukochanego, którego nie widziała od tylu długich księżyców.

Minęła już prawie wawóz i doszła do szlaku, wiodącego ze szczytów Kor-ul-lulu do szerokiej i żyznej doliny Jad-ben-Otho'a.

Gdy weszła na szlak, z obu jej stron, z zarośli obramowujących ścieżkę, zjawilo się, jak gdyby spod ziemi wyrosli, dwudziestu wysokich, białych wojowników z Ho-donu. Jak spłoszony jelen Pan-at-lee rzuciła spojrzenie na tych, którzy zagrażali jej wolności i skoczyła ku zaroślom; ale wojownicy znajdowali się nazbyt blisko. Otoczyli ją ze wszystkich stron. Strach i nienawiść z przerażonego jelenia zamieniły okrażoną w rozszalałego tygrysa. Nie próbowali jej zabić, lecz tylko pochwycić, toteż niejeden wojownik ho-doński poczuł ostrze noża, zanim ją poskromili. Walczyła nadal, gryzła i drapała, gdy wyrwali jej nóż, aż wreszcie musieli związać jej ręce i umocować w zębach kawał drzewa za pomocą rzemieni, zawiązanych na tyle jej głowy.

Najpierw nie chciała iść, gdy ruszyli w kierunku doliny, lecz gdy dwu wojowników chwyciło ją za włosy i pociągnęło przez kilkanaście łokci, zmieniła postanowienie i poszła z nimi.

Gdy połączyli się z drugim oddziałem, cała wyprawa podążyła ku dolinie.

Z rozmów prześladowców Pan-at-lee dowiedziała się, że prowadzono ją do A-luru, Grodu Światłości. Tymczasem w jaskini swych przodków Om-at oplakiwał utratę przyjaciela i tej, która miała zostać jego małżonką.



# Rozdział VIII

## W A-lurze

Gdy syczący gad zjawił się przed oczyma cudzoziemca, przepływającego wodną połąć trzęsawiska na granicy pal-ul-donu, człowiek zrozumiał, że nadchodzi nędzny koniec jego znoej i pełnej trudów wędrówki. Postanowił jednak nie poddać się bez walki, wyciągnął więc nóż i czekał na zbliżającego się potwora. Gad nie przypominał żadnego żywego stworzenia, widzianego dotychczas przez niego, chociaż podobny był pod pewnymi względami raczej do krokodyla, niż do innych znanych mu zwierząt.

Gdy ten przerażający potomek wygasłych przodków natarł z rozwartą paszczą, człowiek zdał sobie w pełni sprawę z beznadziejności powstrzymania nożem szalonego natarcia, lub przekłucia opancerzonej skóry. Potwór był tuż przed nim i trzeba było szybko obierać sposób obrony.

Z błyskawiczną szybkością rzucił się pod napastnika i obróciwszy się na grzbiet, zatopił nóż w miękkiej, zimnej powierzchni śliskiego brzucha przepływającego nad nim gada, po czym potężnymi rzutami popłynął pod powierzchnią ze dwanaście łokci. Wychyliwszy się na wierzch, jednym rzutem oka dostrzegł zranionego potwora, wijącego się z bólu i wściekłości. Że walczył ze śmiercią można było się domyśleć, gdyż nie usiłował wcale go gonić. Przy odgłosie zgryźliwych krzyków konającego straszdyła człowiek dosięgnął wybrzeża i znowu podjął nadludzkie prawie wysiłki przebycia ostatniej połąci lepkiego błota, dzielącego go od stałego gruntu pal-ul-donu.

Dobre dwie godziny włókł się zmęczony poprzez lepki, cuchnący szlam, wreszcie wycieńczony, okryty błotem, wyciągnął się na miękkiej trawie wybrzeża. O sto łokci strumień, wypływający z odległych gór, wlewał się w trzęsawiska. Po krótkim odpoczynku człowiek ruszył ku niemu i znalazłszy spokojne jezioro, wykopał się i obmył błoto i szlam z broni, odzieży i przepaski biodrowej. Godzinę spędził pod promieniami gorącego słońca na wycieraniu, czyszczeniu i naoliwianiu Enfielda. Było już po południu, gdy wreszcie upewnił się, że cenny oręż zabezpieczony jest od uszkodzenia, brudu lub wilgoci. Wówczas powstał i zabrał się do poszukiwania tropu, za którym szedł po tamtej stronie trzęsawiska.

Zbliżając się do gryfów, Tarzan, jak mógł najlepiej, naśladował sposoby i ruchy Tor-o-dona. Gdy jednak stanął tuż obok jednego z wielkich zwierząt, wiedział, że los jego wisi na włosku, zwierzę bowiem zachowywał się biernie, ani groźnie, ani pokornie. Stał tylko, baczenie go śledząc swymi zimnymi oczyma gada. Wówczas Tarzan podniósł kij i z groźnym „Whee-oo!” uderzył gryfa mocno po pysku.

Zwierzę rzuciło się. ku niemu, nie dosięgło go wszakże, tylko ponuro się odwróciło — zupełnie tak samo, jak to było z Tor-o-donem. Obszedłszy je od tyłu, jak kudłaty pracłowiek, Tarzan wskoczył na szeroki ogon i zasiadł na grzbiecie potwora. Naśladując w dalszym ciągu Tor-o-dona, zakłął zwierzę ostrym końcem kija i uderzając to po jednym, to po drugim boku, skierował przez

wąwóz ku dolinie.

Pierwotnie zamiarem jego było tylko sprawdzić, czy potrafi opanować wielkie potwory. Zasiadłszy jednak na grzbiecie tytanicznego wierzchowca, odczuł nowa radość, przypominająca mu chłopięce lata, gdy pierwszy raz wdrapał się na wielką głowę Tantora, słonia. Postanowił nowa władzę wyzyskać dla celów praktycznych.

Pan-at-lee, podług jego mniemania, albo musiała dostać się w bezpieczne miejsce, albo umrzeć. Na nic już nie był jej potrzebny, gdy tymczasem poniżej Kor-ul-gryfu, w zielonej łagodnej dolinie leżał A-lur, Gród Światłości, który widziany z grzbietu Pastod-ul-vedu, był jego ambicją i celem.

Czy jego błyszczące mury kryły tajemnicę zaginionej małżonki, czy nie, jeśli znajdowała się w granicach pal-ul-donu, musiała być wśród Ho-donów, skoro włochaci mieszkańcy tego zapomnianego świata nie brali jeńców. Pójdzie więc do A-luru, a czyż nie najskuteczniej będzie zjawić się tam na grzbiecie straszliwego potwora, taka trwogę budzącego w pal-ul-donach?

Kraina, którą przebywał, lśniła pięknnością i obfitością podzwrotnikowej roślinności. Gęsta, bujna trawa po obu stronach szlaku wznosiła się aż po pas, po drodze zjawiały się lasy do parków podobne, raczej połacie gęstej dżungli, gdzie drzewa tworzyły wyniosłe arkady, obwieszane wdzięcznymi festonami pnączy.

Od czasu do czasu napotykał trudności w kierowaniu nieokiełznanym zwierzęciem, zawsze jednak w końcu obawa przed nikłym stosunkowo ościeniem pobudzała potwora do posłuszeństwa.

Późno po południu, wyłaniając się z jednej połaci dżungli, człowiek-małpa zauważył duży oddział Ho-donów po przeciwnym brzegu strumienia wzdłuż którego jechał. Tamci natychmiast spostrzegli jeźdźca i gigantycznego wierzchowca. Stali przez chwilę z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, po czym, na wezwanie dowódcy, zawrócili i pomknęli do najbliższego lasu.

Tarzan widział ich tylko przez mgnienie oka, dostrzegł jednak, że byli wśród nich Waz-doni, jeńcy niechybnie porwani podczas jednego z najazdów na waz-dońskie wioski, o których opowiadali mu Ta-den i Om-at.

Na dźwięk ich głosów gryf przeraźliwie ryknął i ruszył w pogoń, nie zważając na płynącą rzekę. Za pomocą jednak licznych ukłuc i ciosów udało się Tarzanowi zawrócić zwierzę na ścieżkę.

Gdy słońce zniżyło się do szczytów zachodnich skał, Tarzan przekonał się, że jego plan wkroczenia do A-luru na grzbiecie gryfa skazany był na niepowodzenie, gdyż upór zwierzęcia wzrastał z każdą chwilą, najpewniej z powodu głodu. Człowiek-małpa radby był wiedzieć, czy Tor-o-doni mieli jakiś sposób na zatrzymanie swych zwierząt w ciągu nocy. Ponieważ sam go nie posiadał i nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, postanowił losowi powierzyć odnalezienie rankiem wierzchowca.

Teraz powstało pytanie, jakie wyłonią się stosunki, gdy Tarzan zsiądzie. Czy powróci stosunek łowcy i zwierzyny, czy też oścień utrzyma nadal przewagę nad przyrodzonymi popędami pożeracza ludzi? Tarzan nie wiedział; ponieważ nie mógł wiecześnie tkwić na grzbiecie gryfa i wołał zsiąść, postanowił zrobić próbę.

Dotychczas jedynym jego życzeniem było skłonić zwierzę do posuwania się naprzód; jak je zatrzymać — nie wiedział. Przekonał się wszakże, że może doprowadzić do tego, uderzając zwierzę po pysku, do dzioba podobnym. Tuż obok rosły wyniosłe drzewa, więc Tarzan postanowił przenocować właśnie tam.

Ale gdyby niezwłocznie ukrył się na drzewie, gryfowi mogłoby się zdawać, że ten, który mu przez cały dzień rozkazywał, boi się go i w efekcie Tarzan znów stałby się więźniem triceratopsa.

Dlatego, gdy gryf się zatrzymał, Tarzan zesunął się na ziemię, niedbale uderzył zwierzę po boku i

obojętnie się oddalił. Z piersi potwora dobyło się niskie huczenie. Nie spojrzawszy nawet na Tarzana, gryf zawrócił i wszedł do rzeki, gdzie długo stał pijąc.

Przekonawszy się, że gryf przestał być dla niego groźny, Tarzan pomyślał o zaspokojeniu doskwierającego mu głodu. Po upływie dziesięciu minut zabił przy pomocy swego łuku osobliwy Pal-ul-doński gatunek antylopy. Odciął dla siebie udo i schował je na pobliskim drzewie, resztę zaś łupu zarzucił na plecy i poszedł tam, gdzie pozostawił gryfa. Wielkie zwierzę właśnie gramoliło się z wody, gdy Tarzan na jego widok wydał dziwaczny okrzyk Tor-o-dona. Potwór spojrzał w kierunku, skąd dźwięk wychodził, odpowiadając na głos pana niskim huczeniem. Dwa razy musiał Tazań powtórzyć wezwanie, nim zwierzy z wolna ku niemu ruszyło. Gdy się zbliżyło na odległość kilku kroków, cisnął mu antylopę, na którą gryf rzucił się łapczywie.

Jeden mam tylko sposób, by mieć go na zawołanie, myślał Tarzan, wdrapując się na drzewo, na którym ukrył udo antylopy, to wpojenie mu pewności, że będę go żywił. Po ukończeniu uczyty i wygodnym ułożeniu się na nocny spoczynek ufał w to, że następnego dnia wjedzie do A-luru na swym przedhistorycznym wierzchowcu.

Obudziwszy się nazajutrz wczesnym rankiem, zeskoczył na ziemię i pobiegł do rzeki. Po odświeżeniu się kąpielą spożył na śniadanie resztę wczorajszej zdobyczy i garść czereśni i jagód, obficie w pobliżu rosnących, po czym wezwał Tor-o-dońskim okrzykiem gryfa. Mimo wielokrotnie powtarzanych wezwań, gryf się nie zjawił, doszedł więc Tarzan do przekonania, że go już nigdy nie zobaczy. Ruszył tedy ku A-lurowi, całą otuchę czerpiąc ze swej znajomości języka Ho-donów, ze swej wielkiej siły i wrodzonego sprytu.

Gdy wkroczył do ho-dońskiego grodu, A-luru, małe dziecię, igrające w sklepionej bramie jednego z zabudowań, rzuciło w niego kamieniem z naigrawaniem: „Bez ogona! bez ogona!”. Zamilkło wszakże i oczy mu się szeroko rozwarły, gdy spostrzegło, że to nie zwykły wojownik ho-doński, przypadkowo pozbawiony ogona, i z krzykiem przerażenia ukryło się w podwórzu domu.

Tarzan szedł dalej, zdając sobie wybornie sprawę z tego, że zbliża się decydująca chwila. Nie czekał długo, gdyż za najbliższym zakrętem ulicy spotkał się oko w oko z wojownikiem ho-dońskim. Dostrzegł najpierw wyraz zdumienia na jego twarzy, potem podejrzliwość. Zanim jednak ten zdołał przemówić, Tarzan pierwszy zwrócił się do niego.

— Jestem tu cudzoziemcem — rzekł — chciałbym pomówić z waszym królem, Ko-tanem.

Wojownik odstąpił o krok z ręką na nożu. — Bramy A-luru cudzoziemcy przekraczają tylko jako wrogowie lub niewolnicy — odrzekł.

— Nie przychodzę ani jako wróg, ani jako niewolnik — odparł Tarzan. — Przybywam wprost od Jad-ben-Otho'a. Patrz!

I wyciągnął ręce, pokazując Ho-donowi, jak bardzo różniły się od jego własnych, następnie okręcił się, by tamten mógł się przekonać, że nie posiada ogona. Obmyślany przez niego plan opierał się na wspomnieniu sporu między Ta-denem i Om-atem, kiedy to Waz-don twierdził, że Jad-ben-Otho posiada długi ogon, zaś Ho-don gotów był walką stwierdzić, bezogonowość swego boga.

Wojownik spojrzał ze złością, nie pozbawioną nieufności.

— Jad-ben-Otho — szepnął i dodał — Prawda, żeś nie podobny ani do Waz-dona, ani do Ho-dona, prawdą jest również, że Jad-ben-Otho nie posiada ogona. Pójdź, zaprowadzę cię do Ko-tana, bo jest to taka sprawa, o której zwykły wojownik nie może stanowić. Idź za mną. — I wciąż z dłonią na rękojeści noża i podejrzliwie zerkając na człowieka-małpę, powiódł go przez A-lur.

Miasto zajmowało znaczną powierzchnię. Czasami między oddzielnymi grupami budynków bywała duża odległość, czasem znów stały tuż obok siebie. Były tam grupy imponujące, wznoszące się do stu i więcej stóp wysokości. Po drodze Tarzan spotykał dużo wojowników i kobiet, a wszyscy

okazywali wielkie zaciekawienie na widok obcego, nie zdradzali jednak względem niego złych zamiarów, dowiedziawszy się, że idzie do króla.

Doszli wreszcie do wielkiego gmachu, zajmującego znaczną przestrzeń, od strony zachodniej przegładającego się w błękitnym jeziorze i niezawodnie wykutego z naturalnej niegdyś skały. Otoczony był murem o wysokości, nigdy jeszcze przez Tarzana nie widzianej. Przewodnik poprowadził Tarzana do bramy, strzeżonej przez dwunastu wojowników, którzy za ich zbliżeniem się powstali i zagrodzili im drogę.

Gdy przewodnik opowiedział im, o co chodzi, poprowadzono Tarzana przez podwórzec, gdzie go zatrzymano, jeden zaś z wojowników wszedł do pałacu, zapewne, by zawiadomić Ko-tana. Po upływie kwadransa zjawił się rosły wojownik w otoczeniu innych. Wszyscy z wielką ciekawością przyglądali się Tarzanowi.

— Kto jesteś — zapytał — i czego chcesz od Ko-tana, króla?

— Jestem przyjacielem — odparł Tarzan — przybywam z krainy Jad-ben-Otho'a w odwiedziny do Ko-tana, króla pal-ul-donu.

Zrobiło to wrażenie na wojowniku i jego towarzyszach. Zaczęli szeptać między sobą.

— W jaki sposób zjawiłeś się tutaj i czego żadasz od Ko-tana? — zapytał przywódca.

Tarzan wyprostował swą rosłą postać. — Dosyć tego! — wykrzyknął. — Czy poseł Jad-ben-Otho ma być traktowany jak wędrowny Waz-don? Prowadźcie mnie natychmiast do króla, aby gniew Jad-ben-Otho nie padł na was!

Człowiek-małpa nie wiedział, jak daleko wolno mu posunąć pewność siebie, czekał więc z zaciekawieniem i rozbawieniem zarazem wyniku swego życzenia. Nie czekał długo, gdyż niezwłocznie zmieniła się postawa pytającego. Zbladł, rzucił bojaźliwe spojrzenie na wschodnią stronę niebios, po czym wyciągnął prawą dłoń do Tarzana, lewą kładąc na sercu na znak przyjaźni.

Tarzan szybko się cofnął, jak gdyby unikając profanującego dotknięcia, z dobrze udanym wyrazem oburzenia i przerażenia na twarzy.

— Stój — zawołał — kto waży się dotknąć świętej osoby posła Jad-ben-Otho? Jedyne Ko-tana może spotkać ten zaszczyt z mojej strony, jako dowód szczególnej łaski Jad-ben-Otho. Spieszcie! Za długo już czekam! Cóż to za sposób przyjmowania syna mego Ojca przez Ho-donów z A-luru!

Pierwotnie Tarzan skłonny był podjąć się roli samego Jad-ben-Otho, przyszło mu jednak na myśl, że mogłoby się okazać kłopotliwe i nader uciążliwe takie bezustanne udawanie boga. Nagle jednak wpadło mu do głowy, że znacznie większy będzie autorytet syna Jad-ben-Otho od autorytetu zwykłego posła boskiego, pozostawiając mu jednocześnie więcej swobody czynu i zachowania. Rozumował, że od młodego boga mniej się wymaga godności i powagi, niż od starszego i większego.

Słowa jego wywarły piorunujące wrażenie. Wszyscy obecni cofnęli się w przerażeniu. Przywódca, przyszedłszy nareszcie do siebie, zaczął uniżenie przeproszać.

— Zmiłuj się, o Dor-ul-Otho! — zawołał — nad biednym Dak-lotem. Idź naprzód, a wskażę ci, gdzie Ko-tan drżąc oczekuje cię. Precz podłe robactwo! — krzyknął, rozpychając wojowników na lewo i na prawo, by zrobili Tarzanowi szpaler.

— Pójdź! — rozkazującym tonem zawołał człowiek-małpa, — prowadź, a ci niech idą za nami.

Wystraszony Dak-lot zastosował się do rozkazu i wprowadził Małpiego Tarzana do pałacu Ko-tana, króla pal-ul-donu.

# Rozdział IX

## Dor-ul-Otho

Wejście, wiodące do wnętrza, było piękne, pokryte wyrytymi w kamieniu figurami geometrycznymi. Podobnie ozdobione były ściany dalszych apartamentów, na niektórych były podobizny zwierząt, ptaków i ludzi. Dużo było naczyń kamiennych, złotych ozdób i skór zwierzęcych, nigdzie jednak nie zauważył Tarzan wyrobów tkanych.

Prowadzono go przez szereg komnat i długich korytarzy. Minał trzy kamienne stopnie i znalazł się wreszcie na występie z zachodniej strony gmachu z widokiem na błękitne jezioro. Wzdłuż tego występu, czy arkady, poprowadził go przewodnik jeszcze jakie sto łokci i zatrzymał się przed wejściem do drugiej części pałacu.

Tu Tarzan ujrzał liczny zastęp wojowników w wielkiej komnacie, której sklepienie wznosiło się na pięćdziesiąt stóp od podłogi. Komnatę zapełniała niemal wielka piramida, szerokimi stopniami wznosząca się aż pod sklepienie, zaopatrzone w liczne otwory, przez które przedostawało się światło. Stopnie piramidy zajmowali wojownicy aż do szczytu, na którym siedział wielki, imponujący człowiek w złotych szatach, połyskujących w świetle popołudniowego słońca, sączącego się poprzez wąskie otwory w sklepieniu.

— Ko-tanie! — zawołał Dak-lot, zwracając się do wspaniałej postaci, siedzącej na szczycie piramidy. — Ko-tanie i wojownicy pal-ul-donu! Spotyka was zaszczyt powitania posła, którego Jad-ben-Otho przysłała do was w osobie własnego syna — i Dak-lot usunął się na bok, dramatycznym gestem wskazując Tarzana.

Ko-tan powstał, wojownicy wyciągnęli szyje, by lepiej zobaczyć przybysza. Ci, którzy znajdowali się na tylnej stronie piramidy, usłyszawszy słowa starego wojownika, zebrali się na froncie. Twarze miały przeważnie wyraz sceptyczny, ale sceptycyzm był nacechowany ostrożnością. Przez chwilę wszystkie oczy zbiegły się na Tarzanie, potem wzniosły się ku Ko-tanowi, gdyż jego tylko zachowanie się mogło zdecydować o ich postępowaniu. Ko-tanem miotała ta sama niepewność, co i innymi — dowodziła tego jego postawa pełna wątpliwości.

Człowiek-małpa stał wyprostowany, z rękoma założonymi na piersiach, z wyrazem wyniosłej pogardy na pięknej twarzy; Dak-lotowi wydawało się, że dostrzega gniew na jego obliczu. Położenie zaczynało stawać się niebezpieczne. Dak-lot kręcił się niespokojnie, rzucając błagalne spojrzenia na Tarzana i na Ko-tana. Grobowe milczenie spowinęło wielką salę tronową pal-ul-donu.

Wreszcie Ko-tan przemówił. — Kto mówi, że jest Dor-ul-Otho? — zapytał, rzucając groźne spojrzenie na Dak-lota.

— On mówi! — krzyknął przerażony dostojnik.

— Więc dlatego to ma być prawdą? — zapytał Ko-tan.

Czyż, to możliwe, by w głosie wodza był odcień ironii? Niechaj Otho wybaczy! Dak-lot zerknął ku Tarzanowi, chcąc go spojrzeniem upewnić o swej niezachwianej w mego wierze.

— O Ko-tanie! — błagał Dak-lot — własne twoje oczy powinny cię upewnić, że on istotnie jest synem Otho. Spójrz na jego boską postać, jego ręce, jego nogi niepodobne do naszych i patrz, on, jak jego ojciec, jest całkowicie pozbawiony ogona.

Ko-tan jak gdyby teraz dopiero spostrzegł wskazywane mu cechy. Sceptycyzm jego zaczął słabnąć. Tymczasem młody wojownik, który precyzyjnie się bliżej, by lepiej obejrzeć Tarzana, podniósł głos:

— Ko-tanie — zawołał — prawdą musi być, co mówi Dak-lot, gdyż teraz pewien jestem że widziałem już Dor-ul-Otho. Wczoraj, gdy wracałem z jeńcami Kor-ul-lulańskimi, zauważyliśmy go siedzącego na grzbiecie wielkiego gryfa. Ukryliśmy się w gąszczu, zanim podjechał zbyt blisko, ale dosyć widziałem, by nabrać pewności, że ten, kto jechał na wielkim zwierzu, był nikim innym, jeno posłem, który stoi tu przed nami.

To świadectwo wystarczyło, by przekonać większość wojowników, że znajdowali się w obecności bóstwa — nazbyt jasno malowało się to na ich twarzach i przejawiało w nagłej skromności, z jaką zaczęli się cofać poza sąsiadów. Ponieważ sąsiedzi starali się to samo uczynić, wynik był taki, że ci, którzy stali najbliżej człowieka-mały, poznikali i stopnie piramidy opustoszały aż do szczytu, do samego Ko-tana. Ostatni, zapewne pod wpływem trwożliwego zachowania się otoczenia i złożonego świadectwa — zmienił ton na taki, jaki należało przybrać na wypadek, gdyby obcy okazał się istotnie Dor-ul-Otho, zachowując zarazem furtkę, gdyby się okazało, że był tylko szalbierzem.

— Jeśli istotnie jesteś Dor-ul-Otho — zwrócił się do Tarzana, — wiesz, że nasze wątpliwości są zupełnie zrozumiałe wobec tego, że nie otrzymaliśmy żadnego znaku od Jad-ben-Otho, że zamierzał tak nas uczcić, ani też nie wiedzieliśmy, że wielki bóg posiada syna. Jeśli jesteś nim, cały pa-ul-don radować się będzie z tego zaszczytu. Jeśli nim nie jesteś, szybką i straszną będzie kara za twe zuchwalstwo. Ja, Ko-tan, król pa-ul-donu, powiedziałem!

— Dobrze powiedziałeś — przerwał długie milczenie Tarzan, — tak jak powinien przemawiać król, który boi się i czi boga swego ludu. Słusznie chcesz wiedzieć, czy jestem rzeczywistym Dor-ul-Otho, zanim oddasz mi należną cześć. Jad-ben-Otho polecił mi przekonać się, czy godzien jesteś rządzenia jego ludem. Moje pierwsze doświadczenie przekonuje mnie, że dobrze wybrał Jad-ben-Otho, gdy tchnął ducha królewskiego w dziecię przytulone do łona twej matki.

— Słusznie więc — ciągnął dalej — że chcesz się upewnić, że nie jestem zwodzicielem. Zbliź się, a ujrzysz, że nie jestem jako ludzie. Nie wypada także, byś stał na wyższym poziomie niż syn twego boga.

Ko-tan, schodząc po szerokich stopniach, starał się zachować majestatyczną godność.

— A teraz — rzekł Tarzan, gdy król stanął przed nim — nie możesz wątpić, iż nie należę do tego, co ty gatunku. Twoi kapłani uczyli cię, że Jad-ben-Otho jest bezogoniasty. Bezogoniastym muszą być bogowie, z jego lędźwi zrodzeni. Dosyć już jednak tych dowodów. Znasz moc Jad-ben-Otho; wiesz, jak jego błyskawice roznoszą śmierć, gdy on tego chce; wiesz, jak na jego rozkaz przychodzą deszcze; jak owoce, jagody, ziarna, trawy, drzewa i kwiaty wyrastają za jego boską wskazówką; widziałeś narodziny i śmierć, a ci, którzy czczą swego boga, czczą go dlatego, że on jest władcą tych zjawisk. Jakżeby się im wiodło z szalbierzem, który by się podawał za syna tego wszechmocnego boga? Oto cały dowód, jakiego wam potrzeba, albowiem tak, jak poraziłby tego, który by się mnie zapał, tak samo poraziłby tego, który by fałszywie podał się za jego syna.

Rozumowanie, na które nie ma odpowiedzi, musi być przekonujące. Twierdzeń tej istoty niepodobna było obalić bez milczącego podania w wątpliwość wszechmocy Jad-ben-Otho. Ko-tan rad był, że podejmuje bóstwo, nic miał jednak pojęcia, jak je podejmować należy. Jego pojęcia o

bogu były bardzo niejasne, aczkolwiek, jak u wszystkich ludów pierwotnych, boga wyobrażał sobie osobowo, równie jak diabły i demony. Wyobrażał sobie, że przyjemności Jad–ben–Otho polegały na używaniu do zbytku tych rozkoszy, w jakich sam się lubował, wszakże bez ich ujemnych następstw. Przyszła mu więc myśl, że Dor–ul–Otho sprawiłoby wielką przyjemność jedzenie — jedzenie w olbrzymich ilościach najbardziej przez Ko–tana lubianych i najniestrawniejszych dla niego potraw. Istniał też napój, wyrabiany przez kobiety ho–dońskie. Bóg, podług Ko–tana, mógł kosztować rozkoszy tego napoju, nie narażając się na ból głowy. Na razie jednak wypadało pomyśleć o natychmiastowych zaszczytach i godnościach, jakimi należało uczcić nieśmiertelnego gościa.

Od zamierzchłych wieków niczyja noga, prócz nóg królewskich, nie dotknęła szczytu piramidy w sali tronowej A–luru. Jakiż więc większy zaszczyt mógł Ko–tan ofiarować Dor–ul–Otho nad danie mu miejsca obok siebie? Zaprosił więc Tarzana, by wstąpił na piramidę i zajął miejsce na jej szczycie na kamiennej ławie. Gdy doszli do stopnia poniżej świętego szczytu, Ko–tan szedł dalej, zmierzając do swego tronu, ale Tarzan zatrzymał go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Nikomu nie wolno siedzieć na jednym poziomie z bogami — upomniał go spokojnie, wznosząc się wyżej i zasiadając na tronie. Zawstydzony Ko–tan zdradził zakłopotanie, którego nie śmiał wypowiedzieć w obawie ściągnięcia na siebie gniewu króla królów.

— Ale — dodał Tarzan — bóg może zaszczyścić swego wiernego sługę, zapraszając, by zasiadł u jego boku. Pójdź, uczczę cię w ten sposób w imieniu Jad–ben–Otho.

Człowiek–małpa miał na celu wzbudzenie trwożnego poszanowania w Ko–tanie, nie robiąc sobie w nim jednak cichego wroga, spostrzegł bowiem niechęć Ko–tana na myśl o całkowitym ustąpieniu tronu gościowi. Jego postępek osiągnął skutek pożądany, co można było poznać po pełnych czi twarzach wojowników.

Przerwane przez zjawienie się Tarzana dworskie zajęcia poszły teraz zwykłym trybem. Polegały przeważnie na roztrząsaniu zagadnień zajmujących zbrojnych mężów. Właśnie jeden z nich, stojący na stopniu pod samym tronem, miejscu, jak się Tarzan dowiedział, przeznaczonym dla najwyższych wodzów plemion, stanowiących królestwo Ko–tana, zwrócił się do króla z pytaniem, tyczącym granicznego zatargu z jednym z sąsiadów.

Istota sprawy mało zaciekała Tarzana, zajęła go za to osoba mówcy, męża krzepkiego, potężnej budowy i lwiego oblicza. Wzrosło jeszcze jego zajęcie, gdy usłyszał, że Ko–tan nazywa wojownika Ja–don, gdyż Ja–don Dyl ojcem Ta–dena.

Gdy skończyła się audiencja, Ko–tan podsunął myśl, by syn Jad–ben–Otho zwiedził świątynię, w której odprawiano obrzędy religijne, związane z kultem wielkiego boga. Sam król w otoczeniu dworu poprowadził człowieka–małpę przez korytarze pałacowe ku północnej części grupy zabudowań w królewskim ogrodzeniu.

Świątynia stanowiła właściwie część pałacu i była podobna do niego pod względem architektonicznym. Znajdowały się tam liczne miejsca obrzędowe różnych rozmiarów. W każdym był jeden ołtarz po stronie zachodniej i drugi po wschodniej. Miejsca te były wykute w szczycie niewielkiego pagórka i pozbawione dachu. Ołtarze zachodnie zrobione były niezmiennie z jednego złomu skalnego, którego szczyt wydrążony był w kształt podłużny, wschodnie zaś z podobnego złomu, lecz ze spłaszczonym wierzchołkiem.

Ostatnie, wszystkie bez wyjątku, splamione były czy pomalowane czerwonaobrazową barwą, w której nozdrza Tarzana bez wahania wyczuły zaschłą i zasychającą krew ludzką.

Poniżej podwórca świątyni znajdowały się korytarze i komnaty, sięgające aż do samego wnętrza gór, głuche, ponure przejścia, dostrzegane przez Tarzana podczas zwiedzania świątyni. Ko–tan wysłał gońca, by zawiadomić o odwiedzinach syna Jad–ben–Otho i wskutek tego towarzyszył im

poprzez świątynię liczny zastęp kapłanów, których wyróżniającą cechą zawodową były dziwaczne nakrycia głowy; były to bądź odrażające maski, wyrżnięte w drzewie i całkowicie pokrywające oblicza swych posiadaczy, to znów głowy zwierzęce, zręcznie umieszczone na głowach ludzi. Tylko najwyższy kapłan nie używał żadnego podobnego przybrania. Był to stary człowiek o blisko osadzonych, chytrych oczach i okrutnych ustach o cienkich wargach.

Tarzan na pierwszy rzut oka zdał sobie sprawę, że w nim może się natknąć na największe dla siebie niebezpieczeństwo, gdyż po jego wejrzeniu poznał niechęć do siebie i swych roszczeń. Wiedział także, że niechybnie spośród całego ludu Pal-ul-dońskiego tylko najwyższy kapłan posiadał prawdziwy pogląd na Jad-ben-Otho i dlatego miał prawo z nieufnością spoglądać na tego, który podawał się za syna legendarnego boga.

Nie zdradzając żadnych nurtujących go podejrzeń, Lu-don, najwyższy kapłan A-luru, nie zapytywał wprost Tarzana o jego prawa do tytułu Dor-ul-Otho, Tarzan jednak wiedział tak dobrze, jak gdyby Lu-don wypowiedział swe najskrytsze myśli, że w głębi serca kapłan postanowił go zdemaskować.

Przy wejściu do świątyni Ko-tan zdał na Lu-dona zaszczyt oprowadzenia gościa i ten powiódł Tarzana przez te części świątyni, które pragnął mu pokazać. Poprowadził go do wielkiej komnaty, gdzie przechowywano wota, dary barbarzyńskich wrodzów Pal-ul-dońskich. Ofiary te, poczynając od suszonych owoców do ciężkich naczyń z kutego złota, nagromadzone w głównej komnacie i przyległych korytarzach, przedstawiały bogactwa, które wprawiły w zdumienie nawet właściciela tajemnicy skarbcza Oparu.

Po świątyni krążyli czarni niewolnicy waz-dońscy. Gdy weszli do słabo oświetlonego korytarza, mijając okratowane wejście, Tarzan zobaczył tam wielkie zbiorowiska pitekantropusów różnego wieku i obu płci, zarówno Ho-donów, jak Waz-donów, skurczonych na kamiennej podłodze w postawach przygnębionych lub przechadzających się tam i z powrotem z wyrazem beznadziejnej rozpacz na twarzach.

— Któż są ci ludzie? — zapytał Lu-dona. Od wkroczenia do świątyni było to pierwsze zadane przez niego pytanie. Pożałował zaraz swej ciekawości, gdyż Lu-don zwrócił ku niemu oblicze, na którym dosyć wyrażnie odmalowała się podejrzliwość.

— Któż to lepiej wiedzieć może od syna Jad-ben-Otho? — odrzucił.

— Na pytanie Dor-ul-Otho nie odpowiada się bezkarnie pytaniem — spokojnie powiedział człowiek-małpa. — Może Lu-dona, najwyższego kapłana, zajmie wiadomość, że nie wzbudza odrazy w oczach Jad-ben-Otho widok krwi fałszywego kapłana na ołtarzu jego świątyni.

Lu-don pobladł, odpowiadając na pytanie Tarzana. — To są ofiary, których krew odświeża wschodnie ołtarze, gdy słońce powraca do swego Ojca przy końcu dnia.

— I któż ci powiedział — zapytał Tarzan — że miło jest Jad-ben-Otho, by lud jego był zabijany na jego ołtarzach? Co będzie, jeżeli się mylisz?

— Tedy nieprzeliczone tysiące zmarły na próżno — odparł Lu-don.

Ko-tan i otaczający go zbrojni mężowie z uwagą przysłuchiwali się dialogowi. Niektóre z nieszczęsnych ofiar usłyszały rozmowę i zaczęły się cisnąć do kraty.

— Uwolnij ich! — zawołał Tarzan skinąwszy ręką w stronę uwięzionych ofiar okrutnego przesądu — bowiem mówię ci w imię Jad-ben-Otho, żeś jest w błędzie.



# Rozdział X

## Księżniczka O-lo-a

Lu-don pobladł. — To świętokradztwo — zawołał — od niezliczonych wieków kapłani wielkiego boga co noc ofiarowywali jedno życie duchowi Jad-ben-Otho, gdy powracał do swego pana i nigdy wielki bóg nie dał znaku niezadowolenia.

— Stój! — rozkazał Tarzan. — Ślepotą kapłana nie umiała czytać znaków boskich. Wasi mężowie giną od nożów i maczug Waz-donów; waszych myśliwców porywa jaijato; dzień nie mija, by nie był świadkiem śmierci wielu po wioskach Pal-ul-dońskich, a jedna śmierć dziennie spośród tych, którzy umierają, to myto, pobierane przez Jad-ben-Otho w zamian za odbieranie przez ciebie życia na zachodnim ołtarzu. Jakich jeszcze znaków niezadowolenia żądasz, o głupi kapłanie?

Lu-don milczał. Obawa, że to mógłby być istotnie syn boski i nadzieja, że nim nie był, zwalczały się w nim wzajemnie, strach jednak zwyciężył i Lu-don pochylił głowę. — Syn Jad-ben-Otho powiedział — rzekł i zwróciwszy się do jednego z niższych kapłanów dodał. — Odejmij zapory i niechaj ci ludzie wrócą, skąd przyszli.

Uwolnieni więźniowie zdając sobie teraz sprawę z cudu, który ich ocalił, tłumnie ruszyli ku Tarzanowi i padłszy przed nim na kolana, wzniesli dziękczynne głosy.

Ko-tan był nieomal tak wstrząśnięty jak najwyższy kapłan tym bezwzględny obaleniem prawiecznego obrzędu. — Cóż więc — zawołał — mamy czynić, by znaleźć łaskę w oczach Jad-ben-Otho?”

— Jeśli chcecie przypodobać się swemu bogu — odparł Tarzan — umieszczajcie na jego ołtarzach ofiary z tej żywności, którą najbardziej lubi lud waszego grodu. Te rzeczy pobłogosławi Jad-ben-Otho, gdy rozdacie je między tych, którzy ich najwięcej potrzebują. Wasze składy napełnione są takimi przedmiotami i będzie ich jeszcze więcej, gdy kapłani oznajmią ludowi, że w ten sposób znajdzie łaskę przed bogiem. — Po czym objawił chęć opuszczenia świątyni.

Gdy przekraczali progi, poświęcone czci bóstwa, człowiek-małpa zauważył mały, lecz ozdobny budynek, całkiem oddzielnie stojący. Mijając go z zaciekawieniem, spostrzegł, że jego drzwi i okna były zatarasowane.

— Na co jest przeznaczony ten budynek? zapytał Lu-dona. — Kogo tam trzymacie uwięzionego?

— To nie służy do niczego, nikogo tam nie ma — nerwowo odrzekł najwyższy kapłan. — Miejsce to jest puste. Niegdyś było używane, ale od wielu lat świeci pustkami — i ruszył ku bramie, wiodącej do pałacu. Tu zatrzymał się wraz z innymi kapłanami, Tarzan zaś z Ko-tanem i wojownikami opuścili obręb świątyni.

Tarzan lękał się zadać jedno pytanie, które najbardziej go zajmowało, wiedział bowiem, że na dnie wielu serc leżały się wątpliwości co do jego tożsamości. Postanowił wszakże przed snem zagadnąć Ko-tana — wprost lub pośrednio — czy znajdowała się lub była niedawno w obrębie A-luru istota jego rasy żeńskiego rodzaju.

Gdy wieczерzę w sali biesiadnej podał zastęp czarnych niewolników, na ramiona których spadały wszelkie uciążliwe i domowe prace grodu, Tarzan zauważył w oczach jednego z nich wyraz zdumienia. Później znów dojrzał tego człowieka, gdy szeptał do innego niewolnika, wskazując na niego głową. Człowiek-małpa nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział tego Waz-dona i nie mógł w żaden sposób znaleźć wytłumaczenia, dlaczego tamten tak się nim interesuje. Wkrótce zapomniał o tym drobnym zajściu.

Ko-tan zdziwiony był i niemile dotknięty tym, że jego boski gość nie objawiał pragnienia objedzenia się obfitym jadłem i że nie chciał nawet zakosztować napoju ho-dońskiego. Dla Tarzana uczta była uciążliwą i nużącą sprawą, gdyż goście tak byli pochłonięci napychaniem się jadłem i napojem, że nie mieli czasu na rozmowę.

Jeden po drugim biesiadnicy ulegali zdumiewającym skutkom napoju, wkrótce też jedynie Tarzan i niewolnicy byli przytomnymi istotami w sali biesiadnej.

Człowiek-małpa powstał i zwrócił się do wysokiego kudłacza, stojącego za nim. — Chciałbym lec spać — rzekł — zaprowadź mnie do mej komnaty.

Po wyjściu Tarzana niewolnik, który poprzednio okazał zdziwienie na jego widok, przemówił do jednego z towarzyszy. Tamten rzucił bojaźliwe spojrzenie za znikającym Tarzanem. — Jeśli mówisz prawdę — rzekł — powinniśmy nas nagrodzić wolnością; lecz jeśli jesteś w błędzie o Jad-ben-Otho, jaki los nas czeka.

— Ale ja się nie mylę! — zawołał tamten.

— A więc jednemu tylko należy to opowiedzieć; słyszałem bowiem, że kwaśną miał minę, gdy przyprawiono do świątyni Dor-ul-Otho i że domniemany syn Jad-ben-Otho podczas swej tam bytności dał mu wszelkie powody do trwogi i nienawiści. Mam na myśli Lu-dona, najwyższego kapłana.

— Znasz go? — zapytał pierwszy niewolnik.

— Pracowałem w świątyni — odparł towarzysz.

— Idź więc do niego natychmiast i powiedz mu, lecz nie zaniedbaj wymóc na nim naszej wolności w zamian za dowód.

Czarny Waz-don przyszedł do bram świątyni i zażądał widzenia się z Lu-donem, najwyższym kapłanem w sprawie wielkiej wagi, i mimo spóźnionej godziny Lu-don dał mu posłuchanie. A gdy usłyszał jego opowieść, przyrzekł jemu i jego towarzyszom nie tylko wolność, ale i bogate dary, jeśli udowodnią słuszności swych twierdzeń.

Gdy niewolnik rozmawiał z najwyższym kapłanem świątyni A-luru, postać człowieka wyłoniła się spoza grzbietu Pastar-ul-vedu i blask księżyca zajaśniał na błyszczącej lufie Enfield'a, przytroczonego do nagich barków.

Przewodnik Tarzana zaprowadził go do komnaty z widokiem na błękitne jezioro. Znalazł tam łożę, podobne do widzianych w wioskach Waz-donów, po prostu kamienne wzniesienie, pokryte stosami futer. Legł na spoczynek z niezaspokojonym pytaniem, którego nie zadał i na które nie otrzymał odpowiedzi.

Z nadejściem dnia obudził się włączając się po pałacu i w jego obrębie, zanim ktokolwiek z mieszkańców dał znak życia, natknął się na ogrodzenie, leżące prawie pośrodku obszarów pałacowych, otoczone murem, które podnieciło jego ciekawość.

Nie było tam drzwi ani okien, częściowo przynajmniej nie było i dachu, gdyż widać było gałęzie, wystające ponad wierzchołkiem muru tuż koło niego. Nie mając innego sposobu człowiek-małpa rozwinął sznur i zarzuciwszy go na gałęzie drzewa, wystające ponad ścianą, z łatwością wdrapał się na szczyt.

Przekonał się, że mur otacza ogród, w którym bujnie rozrastały się drzewa, zarośla i kwiaty. Nie czekając upewnienia się, czy ogród nie zawierał Ho–donów, Waz–donów lub dzikich zwierząt, Tarzan zeskoczył na murawę i bez zwłoki rozpoczął systematyczne badanie miejscowości.

Ciekawość jego podniecał fakt, że miejsce to nie było przeznaczone do powszechnego użytku nawet dla tych, którzy mieli wolny dostęp do innych części gruntów pałacowych. Naturalną piękność potęgowała nieobecność śmiertelników, co bardziej jeszcze nęciło Tarzana, gdyż nasuwało mu to myśl, że w takim miejscu może mieć nadzieję znalezienia przedmiotu swych długich i uciążliwych poszukiwań.

W ogrodzie były wąskie sztuczne strumyki i małe sadzawki, obsadzone kwitnącymi drzewami; wszystko jak gdyby narysowane ręką zręcznego ogrodnika, tak wiernie odzwierciedlało piękności przyrody na miniaturową skalę.

Wewnętrzna powierzchnia muru ukształtowana była na wzór urwisk Pal–al–dońskich, przerywanych od czasu do czasu naśladownictwem pełnych zieleni wąwozów oryginału.

Pełen podziwu i rozkoszując się niespodzianką, z wolna okrążał ogród, jak zwykle, cicho się sprawując. Przebywszy miniaturowy las, doszedł do wysadzonej kwiatami murawy i spostrzegł pierwszą Ho–donkę, jaką widział, odkąd wkroczył do pałacu. Na środku otwartej przestrzeni stała młoda i piękna kobieta, głaszcząca głowę ptaka, którego drugą ręką przyciskała do złotego napierśnika. Zwrócona była profilem do człowieka–małpy, który orzekł w duchu, że we wszystkich krajach świata przyznanoby jej palmę piękności.

W trawie u jej stóp, plecami do niego odwrócona, siedziała niewolnica waz–dońska. Widząc, że tej, której poszukiwał tu nie ma i w obawie alarmu, jakiego by narobiły obie kobiety, gdyby go zobaczyły, Tarzan pośpieszył ukryć się w liściach. Nim jednak zdążył się schować, ho–dońskie dziewczę niespodzianie zwróciło się w jego stronę.

Na jego widok oczy jej wyraziły tylko zdziwienie, nie zdradzając żadnej trwogi; nie wydała też okrzyku, ani nie podniosła swego melodyjnego głosu, zwracając się do niego:

— Ktoś ty — zapytała — który tak śmiało wkraczasz do Zakazanego Ogrodu?

Na dźwięk głosu pani, niewolnica szybko się odwróciła i powstała z murawy. — Tarzan–jad–guru! — zawołała tonem, w którym zdumienie łączyło się z radością.

— Znasz go! — zwołała pani, zwracając się do niej i dając sposobność Tarzanowi dania ostrzegawczego znaku Pan–at–lee, by milczała i nie zdradzała go, gdyż to istotnie Pan–at–lee stała przed nim, nie mniejsze budząc w nim zdziwienie, niż jego obecność w niej budziła.

Zapytana przez swą władczynię i jednocześnie ostrzeżona przez Tarzana, Pan–at–lee zamilkła i zaczęła szukać sposobu wyplątania się z zawiłego położenia. — Myślałam — wyjąkała — lecz nie — myślę, że — zdawało mi się, że to ktoś, kogo już widziałam w pobliżu Kor–ul–gryfu.

Ho–donka popatrzyła na jedno, potem na drugie z wyrazem nieufności i ciekawości w oczach. — Nie odpowiedziałeś mi, cudzoziemcze — rzekła — kim jesteś?

— Czy nie słyszałaś o gościu, który przybył wczoraj na dwór królewski?

— Czy chcesz powiedzieć — zawołała — żeś jest Dor–ul–Otho?

— Jam jest — odparł Tarzan — a ty?

— Jestem O–lo–a, córka Ko–tana, króla — odrzekła.

To więc była O–lo–a, dla której miłości Ta–den wybrał raczej wygnanie niż kapłaństwo. Tarzan przysunął się do pięknej księżniczki. — Córko Ko–tana — rzekł — Jad–ben–Otho miłuje cię; w dowód swej łaski zachował pośród licznych niebezpieczeństw tego, kogo kochasz.

— Nie rozumiem — odparła dziewczyna, lecz rumieniec, który oblał jej policzki, zadał kłam jej słowom. — Bu–lot gości w pałacu Ko–tana, mego ojca. Nie słyszałam, by mu groziło jakieś

niebezpieczeństwo. Z Bu–lotem jestem zaręczona.

— Ale nie Bu–lot jest tym, którego kochasz — rzekł Tarzan.

Nowy rumieniec; dziewczyna odwróciła głowę.

— Czy rozgniewałam wielkiego boga? — zapytała.

— Nie — odparł Tarzan. — Jak ci już rzekłem, miłuje cię i dla ciebie wybawił Ta–dena.

— Jad–ben–Otho wszystko jest wiadome — szepnęła dziewczyna — a jego syn dzieli jego wszechwiedzę.

— Nie — Tarzan pośpieszył ją poprawić w obawie, by jej wiara w jego wszechwiedzę nie okazała się kłopotliwą. — Wiem tylko to, co Jad–ben–Otho chce, bym wiedział.

— Powiedział jednak, czy połączę się z Ta–denem? — spytała.

— Niechybnie syn boga umie czytać przyszłość.

Człowiek–małpa rad był, że pozostawił sobie furtkę wyjścia.

— Nic nie wiem o przyszłości — rzekł — prócz tego, co Jad–ben–Otho pozwala mi wiedzieć. Sądzę jednak, że nie masz potrzeby troskać się o przyszłość, o ile pozostaniesz wierna Ta–denowi i Jego przyjaciołom.

— Widziałeś go? — zapytała O–lo–a. — Powiedz mi, gdzie przebywa?

— Tak — rzekł Tarzan — widziałem go. Był z Om–atem, gundem Kor–ul–ja.

— Jeńcem Waz–donów? — przerwała dziewczyna.

— Nic jeńcem, lecz cenionym gościem — odrzekł człowiek–małpa.

— Zaczekaj — zawołał, wznosząc oblicze ku niebiosom; — nic mów nic, otrzymuję poselstwo od mego ojca Jad–ben–Otho.

Obie kobiety padły na kolana, zasłaniając twarze dłońmi, porażone trwogą i czcią na myśl o straszliwej bliskości wielkiego boga. Tarzan dotknął ramienia O–lo–a.

— Powstań — rzekł. — Jad–ben–Otho przemówił. Powiedział mi, że ta niewolnica pochodzi z plemienia Kor–ul–ja, gdzie przebywa Ta–den, i że jest narzeczoną Om–ata, wodza. Imię jej Pan–at–lee.

O–lo–a pytająco zwróciła się do Pan–at–lee. Ta twierdząco skinęła głową. — Tak jest, jako rzekł — szepnęła.

O–lo–a padła na kolana i głową dotknęła stóp Tarzana. — Wielki zaszczyt wyświadczył Jad–ben–Otho swej biednej słudze — zawołała. — Zanieś mu me korne dzięki za szczęście, jakie dał O–lo–a.

— Ojcu memu podobałoby się — rzekł Tarzan — gdybyś puściła Pan–at–lee z powrotem do jej rodzinnej wioski.

— Cóż Jad–ben–Otho do takiej, jak ona? — wyniośle zapytała O–lo–a.

— Jeden jest bóg — odparł Tarzan — a jest on zarówno bogiem Waz–donów, jak Ho–donów; ptaków i zwierząt, i kwiatów, i wszystkiego, co rośnie na ziemi i pod wodą. Jeśli Pan–at–lee czyni dobrze, jest wyższa w oczach Jad–ben–Otho od córki Ko–tana, gdyby ta źle postępowała.

— Woli Jad–ben–Otho stanie się zadość — z wahaniem rzekła O–lo–a — o ile to leży w mej mocy. Lepiej jednak, o Dor–ul–Otho, byś życzenie swego ojca przedłożył wprost królowej.

— Trzymaj więc ją przy sobie — rzekł Tarzan — i dbaj, by nie spotkała jej żadna krzywda.

O–lo–a z wyrzutem spojrzała na Pan–at–lee. — Wczoraj zaledwie przyprowadzono mi ją, a nigdy jeszcze nie miałam niewolnicy, która by mi się lepiej podobała. Niechętnie się z nią rozstanę.

— Masz wszakże inne — powiedział Tarzan.

— Tak — odrzekła O–lo–a — mam inne, jedna jest jednak tylko Pan–at–lee.

— Czy dużo jeńców przyprowadzają do miasta? — zapytał Tarzan.

— Tak — odparła.

— I dużo cudzoziemców przybywa z obcych krain? Przecząco potrząsnęła głową. „Tylko Hodoni z drugiej strony doliny Jad–ben–Otho — rzekła — ale to nie są cudzoziemcy.

— Jestem więc pierwszym cudzoziemcem, który przekroczył bramy A–luru?

— Czy możliwe — rzekła — by syn Jad–ben–Otho miał potrzebę wypytywania biednej, nieświadomej śmiertelniczki O–lo–a?

— Jak ci już powiedziałem, tylko Jad–ben–Otho jest wszechwiedzący.

— Gdyby więc chciał, abyś to wiedział, tobyś wiedział — szybko odcięła O–lo–a.

Człowiek–małpa uśmiechnął się wewnątrz, że przebiegłość małej poganki pobiła go własną jego bronią, jednakże jej unikanie odpowiedzi było w pewnej mierze odpowiedzią na pałacę go pytanie.

— Czy byli tu niedawno inni obcy? — nalegał.

— Nie mogę powiedzieć ci tego, czego nie wiem — odparła. — Pałac Ko–tana, mego ojca, zawsze pełen jest pogłosek, ile w nich jednak prawdy, ile fantazji, skąd mogę wiedzieć?

— Była więc taka pogłoska? — zapytał.

— Tylko pogłoska doszła do Zakazanego Ogrodu — odrzekła.

— Czy ta pogłoska opisywała kobietę innej rasy?

Gdy zadał to pytanie i czekał odpowiedzi, zdało mu się, że serce bić mu przestało, tak doniosły był dla niego wynik badania. Dziewczyna zawahała się z odpowiedzią, wreszcie rzekła.

— Nie, nie mogę o tym mówić, gdyż jeśli jest to dość ważne, by wzniecać ciekawość bogów, to gdybym o tym mówiła, naraziłabym się na gniew mego ojca.

— W imię Jad–ben–Otho’a nakazuję ci mówić! W imię Jad–ben–Otho’a, w rękach którego waży się los Ta–dena!

Dziewczyna pobladła. — Miej litość — zawołała — dla Ta–dena opowiem ci wszystko, co wiem.

— Co opowiesz? — rozległ się surowy głos z zarośli poza nimi. Wszyscy troje odwrócili się i ujrzeli Ko–tana, wyłaniającego się spośród liści. Gniewny grymas wykrzywił królewskie rysy, lecz na widok Tarzana oblicze jego przybrało wyraz zdziwienia, niepozbawionego trwogi. — Nie wiedziałem, że to ty — zawołał, po czym podnosząc głowę i prostując ramiona, dodał — są jednak miejsca, do których nie powinien wchodzić nawet syn wielkiego boga, a do tych miejsc należy Zakazany Ogród Ko–tana.

Było to wyzwanie, mimo jednak zuchwałej postawy króla, czuć było nutę pokory wskazującą, że w jego przesadnym umyśle tkwił dziedziczny strach człowieka przed stwórcą. — Pójdź, Dor–ul–Otho — rzekł. — Nie wiem, co ci nagadało to płocze dziecko, cokolwiek jednak chcesz wiedzieć, powie ci Ko–tan, król. O–lo–a, idź natychmiast do swych komnat.

Księżniczka wraz z Pan–at–lee oddaliły się.

— Pójdziemy tędy — rzekł Ko–tan i poprowadził Tarzana w stronę przeciwną. Tuż obok tej części muru, do której się zbliżyli, Tarzan zobaczył grotę w miniaturowym urwisku, którą minąwszy, zeszedli skalistymi schodami do mrocznego korytarza, który ich poprowadził do właściwego pałacu. Przy wejściu do Zakazanego Ogrodu stało dwu uzbrojonych wojowników, świadcząc jak zazdrośnie strzeżone było tu miejsce.

W milczeniu szedł Ko–tan do własnych apartamentów pałacowych. Wielka komnata, poprzedzająca tę, do której właśnie prowadził swego gościa, pełna była wodzów i wojowników, gotowych na skinienie swego władcy. Na widok dwu dostojników utworzyli szpaler wzdłuż całej komnaty.

Tuż przy najdalszych podwojach, na pół ukryty między zbrojnymi mężami, stał Lu-don, najwyższy kapłan, Tarzan rzucił na mego przelotne spojrzenie, ale to wystarczyło, by dostrzegł chytry i nieprzyjazny wyraz na okrutnym obliczu, nic dobrego mu nie wrózący. Wraz z Ko-tanem przeszedł Tarzan do sąsiedniej izby. W tej samej chwili we wchodowych podwojach zewnętrznej komnaty zjawilo się odrażające nakrycie głowy niższego kapłana. Jego posiadacz szybko się rozejrzał i dostrzegłszy tego, kogo szukał, spieszenie zbliżył się do Lu-dona. Szeptem prowadzoną rozmowę najwyższy kapłan zakończył słowami.

Wracaj do apartamentów księżniczki i dopilnuj, by natychmiast wysłano mi niewolnicę do świątyni. — Niższy kapłan wyszedł, by spełnić polecenie; Lu-don również opuścił komnatę i skierował się ku świętym miejscom, którymi rządził.

Po upływie pół godziny przyprowadzono wojownika przed oblicze Ko-tana. — Lu-don, najwyższy kapłan — rzekł poseł, — pragnie obecności króla w świątyni i życzeniem jego jest, by Ko-tan zjawił się sam jeden.

Ko-tan skinął głową na znak, że zgadza się na rozkaz, któremu nawet król musiał być posłuszny. — Wkrótce powrócę, Dor-ul-Otho, — rzekł do Tarzana — a tymczasem moi wojownicy i niewolnicy są na twoje rozkazy.

# Rozdział XI

## Porażka kapłana

Minęła jednak godzina, zanim król powrócił.

Czas ten Tarzan spędził na oglądaniu rzeźb na ścianach i różnych wyrobów Pal-ul-dońskich rzemieślników, nadających komnacie cechy bogactwa i zbytku.

Gdy Tarzan spojrział na wchodzącego króla, uderzyło go poruszenie, malujące się na obliczu Ko-tana. Twarz jego była blada, ręce mu drżały, oczy szeroko były rozwarte, jakby z przerażenia.

— Czy masz jakie złe nowiny, Ko-tanie? — zapytał Tarzan.

Król mruknął niezrozumiałą odpowiedź. Do komnaty wtoczyło się mnóstwo wojowników, tak, że zagrodzili wejście. Król spoglądał w prawo, to na lewo, rzucał przerażone wejrzenie na Tarzana, po czym, wzniosłszy do góry twarz i oczy, zawołał: — „Jad-ben-Otho niechaj mi będzie świadkiem, że nie z własnej woli to czynię.

Nastąpiła chwila milczenia, które Ko-tan znowu przerwał.

— Pochwyćcie go — zwrócił się do najbliższej stojących wojowników — gdyż Lu-don, najwyższy kapłan, twierdzi, że to bluźnierca.

Szałemstwem byłoby stawić zbrojny opór tak licznemu zastępowi wojowników w samym sercu pałacu królewskiego. Teraz; zwłaszcza, gdy jego nadzieje i podejrzenia znalazły częściowe potwierdzenie w niejasnym wyznaniu O-lo-a, zależało mu na uniknięciu śmiertelnych niebezpieczeństw.

— Stójcie — zawołał, wznosząc dłoń ku nim — co to znaczy?

— Lu-don utrzymuje, że posiada dowody, stwierdzające, że nie jesteś synem Jad-ben-Oth — rzekł Ko-tan. — Żąda by cię dostawiono do sali tronowej i skonfrontowano z twymi oskarżycielami. Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, nikt lepiej od ciebie nie wie, że nie masz powodu obawiać się zgody na jego żądanie. Pamiętaj wszakże, iż w tego rodzaju sprawach najwyższy kapłan rozkazuje królowi i że jestem tylko wykonawcą tych rozkazów, nie ich autorem.

Tarzan wiedział, że Ko-tan niezupełnie był pewien jego winy, co przebijało się w jego zrzuceniu z siebie odpowiedzialności.

— Nie każ swym wojownikom mnie chwytać — rzekł do Ko-tana — aby Jad-ben-Otho, omyliwszy się co do ich zamiarów, nie uśmiercił ich. Wrażenie tych słów było piorunujące — wojownicy, zdjęci nagłą skromnością, zaczęli się spieszenie odsuwać jak najdalej od Tarzana.

Człowiek-małpa rzekł z uśmiechem: — Nie lękajcie się, pójdę dobrowolnie do sali posłuchań spojrzeć w oczy świętokradcom, którzy mnie oskarżają.

Gdy przybyli do sali tronowej, powstała nowa komplikacja. Ko-tan nie chciał Lu-donowi przyznać prawa zajęcia miejsca na szczycie piramidy, Lu-don nie zgadzał się na miejsce niższe, Tarzan zaś, by pozostać wiernym wymaganiom swego dostojeństwa, nalegał, by nikt nie ważył się zasiać ponad nim. Ale tylko on jeden zdawał sobie sprawę z komizmu położenia.

Ja—don, chcąc rozwiązać zagadnienie, podsunął myśl, by wszyscy trzej zasiedli na tronie, ale Ko—tan odrzucił tę myśl twierdząc, że na dostojnym wzniesieniu nigdy żaden śmiertelnik, prócz króla pal—ul—dona nie zasiadał, i że zresztą nie było tam miejsca dla trzech.

— Ale kto — zapytał Tarzan — jest mym oskarżycielem i kto jest mym sędzią?

— Lu—don jest twym oskarżycielem — rzekł Ko—tan.

— I Lu—don jest twym sędzią — zawołał najwyższy kapłan.

— Mam być sądzony przez tego, kto mnie oskarża — rzekł Tarzan. — Lepiej więc byłoby dać pokój wszelkim formalnościom i zażądać, by Lu—don wydał na mnie wyrok. — Ironia brzmiała w jego głosie; drwiąca jego twarz, patrząca wprost w oblicze kapłana, zwiększyła tylko nienawiść ostatniego.

Ko—tan i jego wojownicy widocznie przyznawali słuszość krytyce metody wymierzania sprawiedliwości.

— Ko—tan jedynie ma prawo sądzić w sali tronowej swego pałacu, — rzekł Ja—don; — niechaj wysłucha oskarżenia Lu—dona i zeznań świadków i niechaj sąd Ko—tana będzie nieodwoalny.

Ko—tana nie zachwycała bynajmniej rola sędziego nad tym, kto, koniec końców, mógł jednakże być synem boga, zwlekał więc szukając innego wyjścia. — To sprawa czysto religijna — rzeki zgodnie z tradycją królowie pal—ul—donu nie mieszają się do spraw świątyni.

— Niechaj więc sąd odbędzie się w świątyni — zawołał jeden z wodzów, któremu równie jak królowi, zależało na tym, by nie ponosić żadnej odpowiedzialności w tej sprawie.

Pomysł ten przypadł do smaku wielkiemu kapłanowi, który w głębi ducha wyrzucał sobie, że sam na to nie wpadł wcześniej. — o prawda — rzekł — ten człowiek zgrzeszył przeciwko świątyni. Tam go należało zawlec na sąd.

— Syna Jad—ben—Otho'a nigdzie się nie wlecze — zawołał Tarzan. Jednak po skończonym sądzie możliwe jest, że trup Lu—dona, najwyższego kapłana, zostanie wywleczony ze świątyni boga, którego chciałby zbezczęścić. Pomysł nad tym dobrze, Lu—donie, zanim dopuścisz się tego szaleństwa.

Słowa te, obliczone na zastraszenie najwyższego kapłana, chybiły celu — Lu—don nie okazał najlżejszego niepokoju.

Oto, pomyślał Tarzan, człowiek, który więcej wiedząc o swej religii, niż jego towarzysz, zdaje sobie dokładnie sprawę z kłamliwości mych urojeń, jak dobrze również zdaje sobie sprawę z nicości wiary, której naucza.

Ze wzruszeniem ramion zszedł ze stopni piramidy. — Obojętne jest dla Dor—ul—Otho — rzekł — gdzie Lu—don chce rozgniewać swego boga, gdyż Jad—ben—Otho dosięgnie go zarówno w komnatach świątyni, jak w sali tronowej Ko—tana.

Radzi z takiego rozwiązania zagadnienia, król i wojownicy tłumnie ruszyli z sali tronowej do zabudowań świątyni, z wiarą w Tarzana, wzmocnioną jego pozorną obojętnością na czynione mu zarzuty.

Lu—don poprowadził ich do największego podwórca ołtarzowego. Zająwszy miejsce za ołtarzem zachodnim, Ko—tana umieścił na wzniesieniu po lewej stronie. Tarzana po prawej.

Gdy Tarzan wszedł na wzniesienie, oczy jego gniewnie zwęziły się na widok, który go uderzył. Basen, wydrążony w wierzchołku ołtarza, napełniony był wodą, po której pływał nagi trupek noworodka.

— Co to znaczy?! — z gniewem zwrócił się do Lu—dona. Ten uśmiechnął się złowrogo. — Że tego nie wiesz — odparł — to jeszcze jeden więcej dowód fałszywości twych roszczeń. Ten, który podaje się za syna bożego, nie wie, że gdy promienie zachodzącego słońca oblewają ołtarz świątyni, żywa krew dorosłego człowieka czerwieni biały kamień ku zbudowaniu Jad—ben—Otho; gdy zaś



słońce powstaje znowu z ciała swego stwórcy, spogląda najpierw na ten zachodni ołtarz i raduje się co dzień śmiercią nowo narodzonego dziecięcia, którego duch towarzyszy mu poprzez niebiosy za dnia, jak duch dorosłego wraca wraz z nim nocą do Jad-ben-Otho.

— Małe dzieci ho-dońskie wiedzą o tym, o czym nie wie ten, który podaje się za syna Jad-ben-Otho. A jeśli ten dowód nie wystarczy, to są i inne. Zbliź się, Waz-donie — zawołał, wskazując na rosłego niewolnika, który w gromadzie innych czarnych i kapłanów stał po lewej stronie ołtarza.

Wezwany trwożliwie się zbliżał. — Powiedz nam, co wiesz o tym osobniku! — zawołał Lu-don, wskazując na Tarzana.

— Widziałem go dawniej — rzekł Waz-don. — Jestem z plemienia Kor-ul-lulu i niedawno oddział, do którego należałem, napotkał kilku wojowników z Kor-ul-ja na pograniczu naszych wiosek.

Wśród nieprzyjaciół znajdowała się ta dziwna istota, którą oni nazywali Tarzan-jad-guru; groźnym był istotnie, bowiem walczył z mocą wielu ludzi tak, że dwudziestu nas trzeba było, by go poskromić. Nie walczył jednak jak bóg, a gdy maczuga ugodziła go w głowę, padł nieprzytomny, jak zwykły śmiertelnik.

Zanieśliśmy go jako jeńca do naszej wioski, ale uciekł, odciawszy przedtem głowę wojownikowi, pozostawionemu na straży i zaniósłszy ją do wąwozu, zatknął na gałęzi drzewa po przeciwnej stronie.

— Świadectwo niewolnika przeciwko bogu! — zawołał Ja-don.

— To tylko stopień ku poznaniu prawdy — wtrącił Lu-don. — Niechybnie dla wielkiego wodza północnego więcej wagi będzie miało zeznanie jedynej księżniczki z rodu Ko-tana, chociaż ojciec syna, który uciekł przed świętą ofiarą kapłaństwa, nie skłoni przychylnych uszu do żadnego świadectwa przeciwko innemu bluźniercy.

Ręka Ja-dona pomknęła ku nożowi, ale najbliżej stojący mężowie wstrzymali jego ramię. Jesteś w świątyni Jad-ben-Otho, Ja-donie — ostrzegli go i wielki wódz musiał przełknąć obelgę Lu-dona.

Teraz Ko-tan zwrócił się do Lu-dona.

— Co moja córka wie o tej sprawie? — zapytał. — Nie zmusisz przecież księżniczki mego domu do publicznego świadczenia?

— Nie — odparł Lu-don — mam tu kogoś, co ją wyręczy. Zwrócił się do jednego z niższych kapłanów. — Przyrowadź niewolnicę księżniczki. — Kapłan w odrażającym nakryciu głowy przywłókł opierającą się Pan-at-lee.

— Księżniczka O-lo-a była sama z tą niewolnicą w Zakazanym Ogrodzie — objaśnił kapłan — gdy nagle zjawił się tam osobnik, podający się za Dor-ul-Otho. Gdy niewolnica go ujrzała, księżniczka mówi, że w zdumieniu głośno wykrzyknęła i nazwała go Tarzan-jad-guru, tym samym mianem, jakie mu nadał niewolnik z Kor-ul-lulu. Ta kobieta nie pochodzi z Kor-ul-lulu, lecz z Kor-ul-ja, tego samego plemienia, z którym, według słów Kor-ul-lulana osobnik ten się przyjaźnił, gdy go pierwszy raz zobaczył. I dalej księżniczka mówi, że gdy tę kobietę, której na imię jest Pan-at-lee, przyrowadzono do niej wczoraj, opowiedziała ona dziwną historię o tym, jak w Kor-ul-gryfie została wyrwana Tor-o-donowi przez istotę taką, jak ten oto, o której mówiła, jako o Tarzanie—Jad-guru, i o tym, jak oboje ścigani byli na dnie wąwozu przez dwa potworne gryfy i jak człowiek zwabił je do siebie, gdy tymczasem ona, Pan-at-lee, uciekła po to tylko, by dostać się do niewoli w Kor-ul-lulu podczas wędrówki powrotnej do swej wioski.

— Czyż nie jest teraz jasne — zawołał Lu-don — że to nie zadden bóg? Czy on ci mówił, że jest synem boga?! — krzyknął niemal, zwracając się do Pan-at-lee.

Dziewczyna cofnęła się przerażona. — Odpowiadaj, niewolnico! — zawołał.

— Wydawał się czymś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem — rzekła Pan-at-lee.

— Czy powiedział ci, że jest synem boga? Odpowiadaj na pytanie — nalegał Lu-don.

— Nie — przyznała cichym głosem, rzucając błagalne spojrzenie na Tarzana, który odpłacił jej uśmiechem przebaczenia i przyjaźni.

— To żaden dowód, że nie jest synem boga — zawołał Ja-don. — Czy sądzisz, że Jad-ben-Otho chodzi i wykrzykuje: Jestem bogiem! Jestem bogiem! Czyś go kiedy słyszał, Lu-donie? Nie, nie słyszałeś. Dlaczego syn miałby robić to, czego ojciec nie czyni?

— Dosyć! — krzyknął Lu-don. — Dowód jest jasny. To szalbierz i ja, najwyższy kapłan Jad-ben-Otho w grodzie A-lur, skazuję go na śmierć.

Nastała chwila milczenia. — A jeśli jest w błędzie, niechaj Jad-ben-Otho przebije me serce swymi błyskawicami tu, przed wami wszystkimi.

Słysząc było fale jeziora, objijające się o stopy pałacu wśród grobowego milczenia, jakie zaległo. Lu-don stał z obliczem ku niebu zwróconym, z wyciągniętymi ramionami, w postawie człowieka, nadstawiającego pierś mieczowi oprawcy. Wojownicy, kapłani i jeńcy, zgromadzeni w podwórzu świątyni, oczekiwali niszczycielskiej zemsty swego boga.

Milczenie przerwał Tarzan. — Twój bóg wzgardził tobą, Lu-donie — zadrwił z szyderczym uśmiechem — wzgardził tobą i mogę dowieść tego na oczach twych kapłanów i twego ludu.

— Dowiedz — bluźnierco! W jaki sposób tego dowiedziesz?

— Nazwałeś mnie bluźniercą — odparł Tarzan — ku własnemu zadowoleniu dowiodłeś, że jestem szalbierzem, że ja, zwykły śmiertelnik podawałem się, za syna bożego. Zażądaj zatem od Jad-ben-Otho, by podtrzymał twe dostojęstwo i godność kapłaństwa, skierowując swój niszczycielski ogień w moje łono.

Znów zaległo krótkie milczenie, gdy tymczasem widzowie oczekiwali, by Lu-don unicestwił w ten sposób zuchwałego bluźniercę.

— Nie odważasz się — drwił Tarzan — wiesz bowiem, że nie padnę rażony jak sam nie padłeś.

— Kłamiesz — krzyknął Lu-don — uczyniłbym to, gdybym nie otrzymał w tej chwili właśnie wieści od Jad-ben-Otho, że inny los jest ci przeznaczony.

Kapłani wydali chóralny okrzyk podziwu i czci. Ko-tanem i jego wojownikami miotały wątpliwości. Potajemnie nienawidzili i łkali się Lu-dona, tak jednak zakorzenione w nich było poczucie szacunku dla godności wielkiego kapłana, że nikt nie ośmielił się podnieść przeciwko niemu głosu.

Nikt? Nie, był Ja-don, Lwi-Mąż z północy, nie znający trwogi. — To dobra propozycja — zawołał. — Wezwij błyskawice Jad-ben-Otho na tego człowieka, jeśli chcesz nas przekonać o jego winie.

— Dosyć tego — rzucił się Lu-don. — Odkąd to Ja-don został kapłanem? Pochwyćcie więźnia — zawołał na kapłanów i wojowników — rankiem umrze on w sposób, jakiego żąda Jad-ben-Otho.

Żaden z wojowników nie ruszył się na rozkaz Lu-dona, ale niżsi kapłani, którym fanatyzm dodawał odwagi, spieszenie poskoczyli, jak stado odrażających harpi, by chwycić swą ofiarę.

Gra była skończona. Wiedział o tym Tarzan. Dowcip i przebiegłość na nic się już zdały. Odrażający kapłan, który pierwszy skoczył ku wzniesieniu, natknął się nie na niebiańskiego posła, lecz na złe i okrutne zwierzę.

Ołtarz znajdował się tuż przy zachodniej ścianie ogrodzenia. Było tam miejsce jedynie dla najwyższego kapłana podczas sprawowania obrzędów, stał też tylko Lu-don za Tarzanem, przed nimi zaś zgromadziło się około dwu setek wojowników i kapłanów.

Gdy zuchwalec, żądny chwały pierwszeństwa w zatrzymaniu bluźniercy, rzucił się ku

człowiekowi—małpie, stało się odwrotnie: stalowe palce chwyciły go tak mocno, jak gdyby był źdźbłem trawy, za nogę i grzbiet i uniósł go ponad ołtarz. Człowiek—małpa miał u stóp swych tłumy, gotowe go pochwycić i ściągnąć z ołtarza, za sobą — Lu—dona, zbliżającego się z nastawionym nożem.

Nie było chwili do stracenia. Zanim Lu—don i inni zdołali odgadnąć jego zamiary, Tarzan całą siłą swych mięśni cisnął wrzeszczącego hierofanta w twarz najwyższemu kapłanowi i jednocześnie niemal, tak szybkie były jego ruchy, skoczył na szczyt ołtarza, a stamtąd na wierzchołek muru świątyni. Stanąwszy tam, odwrócił się ku tłumowi w dole ze słowami.

— Kto śmie wierzyć, że Jad—ben—Otho zaprze się swego syna? — po czym zeskoczył na zewnątrz muru.

Wśród pozostałych dwa serca zadrgały radością na widok powodzenia wybiegu Tarzana — byli to Ja—don, który nawet otwarcie się uśmiechał, i Pan—at—lee.

Mózg kapłana, rzuconego w głowę Lu—dona, rozprysł się o ściany świątyni. Lu—don, prócz niewielkich obrażeń, wyszedł cało z upadku na twardą podłogę. Szybko zerwawszy się na nogi, rozejrzał się z przerażeniem i zdumieniem, nie widział bowiem ucieczki człowieka—małpy. — Łapać go — zawołał — łapać bluźniercę! — i dalej poszukiwał ofiary z tak śmiesznym wyrazem zdumienia, że niejeden wojownik musiał dłonią zasłonić rozbawione oblicze.

Kapłani biegali bezładnie, nawołując wojowników do pogoni za zbiegiem, ale ci czekali tępo na rozkaz króla czy najwyższego kapłana.

Ko—tan, mniej lub więcej zadowolony z porażki Lu—dona, czekał, by ten dał potrzebne zlecenia, co Lu—don wreszcie uczynił, pouczony przez jednego ze swych akolitów o sposobie ucieczki Tarzana.

Bezzwłocznie wydane zostały rozkazy. Kapłani i wojownicy zabrali się do obszukiwania wyjścia świątyni. Pożegnalne słowa Tarzana małe wrażenie wywarły na większości obecnych, lecz wojownicy w głębi serc podziwiali dzielnego człowieka i wielu z nich podzielało nie zupełnie świętą radość swego władcy z porażki Lu—dona.

# Rozdział XII

## Obcy z gór

Gdy tymczasem wojownicy i kapłani A-luru przeszukiwali świątynię, pałac i miasto, ze stromego stropu górskiego wkraczał do Kor-ul-ja nagi cudzoziemiec z „Enfieldem” na plecach. Cicho schodził w dół wąwozu po krętym szlaku i nagle natknął się na osobnika, wspinającego się po ścianie wąwozu.

Obaj zatrzymali się w odległości jakich stu kroków. Cudzoziemiec zobaczył rosnącego, białego wojownika, nagiego, prócz przepaski biodrowej, skrzyżowanych rzemieni i pasa, uzbrojonego w ciężką maczugę i krótki nóż. Był to Ta-den, samotnie polujący w wąwozie swego przyjaciela, wodza Kor-ul-ja. Przyglądał się on obcemu ze zdziwieniem, ale bez zdumienia i wrogości, rozpoznał w nim bowiem członka tej rasy, z którą Tarzan Groźny już był go zaznajomił.

Cudzoziemiec pierwszy dał do poznania swe zamiary, podnosząc ku Ta-denowi dłoń gestem, który od bieguna do bieguna jest symbolem pokoju. Jednocześnie posunął się o parę kroków naprzód i zatrzymał się.

Ta-den, wnioskując, że ktoś tak podobny do Tarzana Groźnego, musi być z plemienia jego utraconego przyjaciela, był więcej niż rad pokojowym poczynaniom przybysza i odpowiedział podobnym gestem. — Kto jesteś? — zapytał, ale nowo przybyły potrząsnął tylko głową na znak, że nie rozumie.

Usiłował gestami wyjaśnić Ho-donowi, że śledził trop, który od wielu dni wiódł go z jakiegoś miejsca spoza gór, i Ta-den doszedł do przekonania, że przybyły poszukiwał Tarzana-jad-guru. Chciał jednak dowiedzieć się, czy go szukał jako wróg, czy jako przyjaciel. Obcy zauważył chwytny palce Ho-dona i jego długi ogon, starał się wszakże ukryć zdumienie, rad, że pierwszy mieszkaniec tej dziwnej krainy przyjaźnie go powitał.

Ta-den, który wyruszył na polowanie, zapomniał o zamiarze, tak bardzo zaciekało go spotkanie. Pragnął zaprowadzić go do Om-ata w nadziei, że we dwóch znajdą sposób odkrycia prawdziwych intencji przybysza. Wytłumaczył mu więc gestami, że chce mu towarzyszyć i razem zeszli do skał ludu Om-ata.

Zbliżając się do nich, napotkali kobiety i dzieci pod opieką starców, zbierające dzikie owoce i trawy, stanowiące część ich pożywienia, i zżynające małe pólka uprawianych zbóż. Pola znajdowały się na niewielkich, gładkich powierzchniach, wykarczowanych z drzew i zarośli.

Na widok tych ludzi cudzoziemiec w pierwszej chwili zatrzymał się i zdjął łuk, gdyż istoty te były jak noc czarne i całkowicie obrośnięte włosiem. Ale Ta-den uspokoił go gestami i uśmiechami. Waz-doni jednak skupili się, w podnieceniu szwargocząc w narzeczu, które, jak to obcy zauważył, jego przewodnik doskonale rozumiał. Ponieważ ludzie ci nie robili mu żadnych wstrętów, przybyły wywnioskował, że dostał się do ludu pokojowo i przyjaźnie usposobionego.

Niedaleko już było do jaskiń i teraz Ta-den poprowadził gościa po kołkach drewnianych,

pewien, że ten z równą łatwością pójdzie za nim jak Tarzan Groźny. Nie omylił się i wkrótce stanęli przed jaskinią Om-ata, wodza.

Nie było go tam. Wrócił dopiero po południu, tymczasem zaś wielu wojowników zjawilo się, by popatrzeć na gościa, który coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu o pokojowym i przyjaznym nastroju gospodarzy kraju, nie domyślając się, że podejmowany był przez plemię okrutne i wojownicze, które, aż do zjawienia się Ta-dena i Tarzana, nie znosiło wśród siebie cudzoziemców. Om-at powrócił wreszcie i gość intuicyjnie odczuł, że znajduje się w obecności wielkiego człowieka, prawdopodobnie wodza lub króla. Wskazywało na to nic tylko zachowanie się czarnego męża, lecz zarówno twarz i postać wspaniałej istoty, której Ta-den objaśniał okoliczności, towarzyszące spotkaniu z nowo przybyłym.

— Sądzę, Om-acie, że on poszukuje Tarzana Groźnego — zakończył Ho-don.

Na dźwięk tego imienia, pierwszego zrozumiałego wyrazu, który doszedł do jego uszu, rozjaśniła się twarz obcego.

— Tarzan! — zawołał. — Małpi Tarzan — i usiłował gestami objaśnić, że jego właśnie poszukiwał.

Zrozumieli i z wyrazu jego twarzy odgadli, że poszukiwaniami jego kierowały pobudki życzliwe, lecz Om-at chciał się co do tego upewnić.

Wskazał na nóż obcego i powtarzając imię Tarzana, chwycił Ta-dena, udając, że chce go przebić, i pytająco spoglądał na przybysza.

Ten żałośnie potrząsnął głową i kładąc najpierw rękę na sercu, wznosił dłoń do góry gestem, symbolizującym pokój.

— To przyjaciel Tarzana-jad-guru! — wykrzyknął Ta-den.

— Albo przyjaciel, albo wielki kłamca — odparł Om-at.

— Tarzan — mówił dalej obcy — znacie go? Żyje? O Boże, gdybym umiał mówić waszym językiem! — Wracając do mowy gestów, usiłował dowiedzieć się, gdzie Tarzan przebywał. Powtarzał jego imię i wskazywał różne kierunki — jaskinie, wąwóz, góry, dolinę, za każdym razem pytająco wznosząc brwi i powtarzając wszechświatowe pytanie „he”, którego nie mogli nie zrozumieć. Ale Om-at wciąż potrząsał głową i rozkładał dłonie gestem, który wskazywał, że jakkolwiek rozumiał pytanie, nie wiedział, gdzie człowiek-małpa przebywa. Wreszcie spróbował wyjaśnić przybyszowi wszystko, co wiedział o Tarzanie.

Przybyłego nazwał Jor-don, co w języku Pal-ul-dońskim oznacza „obcy” i wskazując na słońce, rzekł as. Powtórzył to wielokrotnie i dotykając po kolei palców swej ręki, wymawiał słowo adenen, póki obcy nie zrozumiał, że to znaczyło pięć. Znowu wskazał na słońce i zakreślając wskazującym palcem łuk ze wschodu na zachód, znowu powtórzył wyraz adenen. Obcy z łatwością zrozumiał, że znaczyło to, iż słońce pięć razy przeszło po niebie. Innymi słowy, pięć dni upłynęło. Om-at wskazał następnie na jaskinię, w której stali, wymawiając imię Tarzana i naśladując idącego człowieka pierwszym i drugim palcem prawej ręki po podłodze sieni, pokazał, że Tarzan wyszedł z jaskini i wspiął się po kołkach przed pięciu dniami. Więcej jednak mowa gestów nie pozwalała powiedzieć.

Obcy dał do zrozumienia, że pojmuje i wskazując na kołki oznajmił, że zamierza iść tą samą drogą, którą poszedł Tarzan.

— Pójdziemy z nim — rzekł Om-at — gdyż nie ukaraliśmy dotychczas Kor-ul-lulan za zamordowanie naszego przyjaciela i sprzymierzeńca.

— Nakłoń go, by zaczekał do jutra — rzekł Ta-den — abyś mógł zabrać ze sobą licznych wojowników i zrobić wielki najazd na Kor-ul-lul i tym razem, Om-acie, nie zabijaj jeńców. Zabierz ich jak najwięcej żywcem, a może od niektórych dowiemy się o losach Tarzana-jad-guru.

— Wielka jest mądrość Ho-dona — odparł Om-at. — Stanie się, jak mówisz; wzięwszy do niewoli wszystkich Kor-ul-lulan, zmusimy ich do powiedzenia nam tego, czego pragniemy. A potem zaprowadzimy ich nad krawędź Kor-ul-gryfu i strącimy ze szczytu skały.

Ta-den uśmiechnął się. Wiedział, że nie wezmą do niewoli wszystkich Kor-ul-lulańskich wojowników, że szczęśliwie będzie, jeśli wezmą jednego, że możliwe było, iż zostaną przez nich odparci, ale wiedział także, że Om-at nie zawaha się w wykonaniu swej groźby, tak nieubłagana była wzajemna nienawiść sąsiadów.

Nie trudno było wyjaśnić obcemu plan Om-ata, ani pozyskać jego zgodę.

Noc przepędził na stosie futer w jednej z komnat jaskini Om-ata.

Wczesnym rankiem wyruszyli ku szczytowi skały w towarzystwie setki wojowników. Wydostawszy się z wąwozu, poszli do Kor-ul-lulu i niezdługo natknęli się na samotnego i bezbronnego Waz-dona, trwożliwie zdążającego do wioski swego plemienia. Wzięli go do niewoli, co tylko zwiększyło jego przerażenie, gdyż z chwilą gdy ich dostrzegł i zrozumiał, że nie zdoła im ująć, przygotował się na natychmiastową śmierć.

— Zaprowadź go do Kor-ul-ja — rzekł Om-at do jednego ze swych wojowników — i trzymajcie go tam aż do mego powrotu.

Zdumionego Kor-ul-lulana odprowadzono, reszta zaś dzikiej wyprawy skrycie zbliżała się po drzewach do wioski nieprzyjacielskiej. Szczęście sprzyjało Om-atowi i dało mu szybko to, czego pragnął — walną bitwę, gdyż zanim doszli do Kor-ul-lulańskich, napotkali silny oddział wojowników, zdążających na jakąś wyprawę.

Jak cienie ukryli się Kor-ul-janie wśród zarośli po obu stronach ścieżyny. Nieświadomi grożącego niebezpieczeństwa, spokojni, bo kroczyli po własnych dziedzinach, gdzie znali każdą skałę i każdy kamień, wpadli Kor-ul-lulanie w zasadzkę. Ciszę przerwał nagle dziki okrzyk i ciśnięta maczuga ugodziła jednego Kor-ul-lulana.

Okrzyk był sygnałem dla dzikiego chóru z piersi stu Kor-lu-jan, do którego niezwłocznie przyłączyły się wojenne okrzyki ich nieprzyjaciół. W powietrzu zaświszczały przelatujące maczugi. Niebawem bitwa zamieniła się w szereg pojedynków, gdyż każdy z wojowników upatrzył sobie przeciwnika i z nim się zwał. Zabłyły noże. Czarne lśniące futra pokryły się purpurowymi plamami.

W zgiełku walki brązowa skóra obcego przybysza migiała wśród czarnych futer wrogów i przyjaciół. Om-at, załatwiwszy się z pierwszym swym przeciwnikiem, spojrzał na Jor-dona. Walczy jak jato — pomyślał — potężny musi być ród, z którego pochodzą tacy jak on i Tarzan-jad-guru. Nowy napastnik pochłonał natychmiast całą jego uwagę.

Wkrótce pozostałym przy życiu wojownikom zabrakło sił do dalszej walki. Tylko obcy zdawał się nie wiedzieć, co to zmęczenie.

Gdy już zabrakło Kor-ul-lulan, wciągniętych w wir boju, rzucił się na tych, którzy, sami zadyszani, przyglądali się wyczerpanym Kor-ul-janom. Odrzucił łuk i strzały na początku bitwy, ku zdumieniu jednak Om-ata, nie posiłkował się dziwnym przedmiotem, sterczącym mu na grzbiecie, ani też się z nim nie rozstał. Widocznie do innego jakiegoś celu przeznaczył swego „Enfielda”.

Kor-ul-janie, widocznie zawstydzeni przykładem obcego, ponownie zwarli się z nieprzyjacielem, ale ten, niewątpliwie przerażony obecnością cudzoziemca, niez mordowanego szatana, upadł na duchu i rzucił się do ucieczki. Wówczas, na rozkaz Om-ata, jego wojownicy otoczyli sześciu najbardziej wyczerpanych wrogów i wzięli ich do niewoli.

Wróciwszy do swej jaskini, Om-at kazał przyprowadzić jeńców pojedynczo i każdego wypytywał o Tarzana. Wszyscy bez wyjątku opowiedzieli mu to samo — że przed pięciu dniami wzięli byli Tarzana do niewoli, że zabił on pilnującego go wojownika i uciekł, zabierając ze sobą

głowę zabitego, którą powiesił na drzewie po drugiej stronie Kor-ul-lulu. Co się z nim dalej stało, nie wiedzieli. Dopiero ostatni badany więzień, ten którego pierwszego ujęli — bezbronny Kor-ul-lulan, zdążający od strony Doliny Jad-ben-Otho do jaskini swego ludu, wiedział coś więcej.

Zrozumiawszy cel zapytań, zaczął targować się o życie i wolność dla siebie i swych towarzyszy.

— Dużo mogę wam powiedzieć o tym straszliwym człowieku, o Kor-ul-janie — rzekł. — Widziałem go wczoraj i wiem, gdzie jest i jeśli przyrzekniecie mi, że pozwolicie mnie i moim towarzyszom wrócić zdrowo i cało do jaskiń naszych przodków, powiem wam zgodnie z prawdą wszystko, co wiem.

— I tak nam powiesz — odparł Om-at — inaczej zabijemy cię—

— Zabijecie mnie w każdym razie — odrzekł jeniec — o ile nie dacie mi przyrzeczenia — jeśli mam być zabity, to co wiem, pójdzie ze mną do grobu.

— On ma słuszość, Om-acie — rzekł Ta-den — przyobiecaj im wolność.

— A więc zgoda — rzekł Om-at. — Mów Kor-ul-lulanie, a gdy wszystko mi opowiesz, ty i twoi wróćcie nietknięci do swego plemienia.

— Było to tak — zaczął jeniec. — Przed trzema dniami polowałem z towarzyszami w pobliżu ujścia Kor-ul-lulu, nie opodał tego miejsca, gdzie mnie dziś pochwyciliście, gdy zaskoczyła nas znaczna liczba Ho-donów, którzy wzięli nas do niewoli i zaprowadzili do A-luru. Tam kilku z nas wybrano na niewolników, a resztę wrzucono do komnat pod świątynią, gdzie trzymają przeznaczonych przez Ho-donów na ofiary dla Jad-ben-Otho, składane na ołtarzach świątyni A-luru.

— Ale wczoraj zdarzyła się rzecz szczególna. Do świątyni, w towarzystwie wszystkich kapłanów, króla i licznych wojowników, przybył ktoś, komu wszyscy oddawali cześć i gdy doszedł do kraty zagradzającej komnatę, w której my, nieszczęśnicy, oczekiwaliśmy swego losu, ze zdziwieniem zobaczyłem, że był to nie kto inny, tylko straszliwy mąż, który tak niedawno był jeńcem w wiosce Kor-ul-lulańskiej — ten, którego wy nazywacie Tarzan-jad-guru, ale do którego tam zwracano się jako do Dor-ul-Otho. Spojrzał i zapytał o nas wielkiego kapłana i gdy powiedziano mu w jakim celu jesteśmy uwięzieni, wpadł w gniew i zawołał, że nie było bynajmniej życzeniem Jad-ben-Otho, by mu składano krwawe ofiary z jego ludu, i nakazał najwyższemu kapłanowi zwolnić nas, co ten uczynił.

— Niewolnikom ho-dońskim pozwolono powrócić do domu, a nas wyprowadzono poza gród A-lur i puszczono w drogę ku Kor-ul-lulowi. Było nas trzech i bez broni. Dlatego żaden z nas nie doszedł do wioski naszego ludu i tylko jeden pozostał przy życiu. Powiedziałem!

— To wszystko, co wiesz o Tarzanie-jad-guru? — zapytał Om-at.

— To wszystko, co wiem — odparł jeniec — prócz tego, że ten, którego zowią Lu-don, najwyższy kapłan A-luru, był bardzo zły i że jeden z dwu kapłanów, którzy wywiedli nas z miasta, powiedział do drugiego, że obcy nie był wcale Dor-ul-Otho, że Lu-don tak powiedział. Powiedział także, że go zdemaskuje i że będzie śmiercią ukarany za swe zuchwalstwo. To wszystko, co doszło mych uszu z ich rozmowy. A teraz wodzu, Kor-ul-ja, puść nas do domu.

Om-at skinął głową.

— Odejdźcie — rzekł. — Ab-donie, pošlij niewolników, by strzegli ich, dopóki bezpiecznie nie dojdą do Kor-ul-lulu.

— Jor-donie — zawołał obcego — pójdz ze mną — i powstawszy poprowadził go ku szczytowi skały. Gdy stanęli nad krawędzią, Om-at wskazał dolinę ku grodowi A-lur, migocącemu w blaskach zachodzącego słońca.

— Tam jest Tarzan-jad-guru — rzekł, a Jor-don zrozumiał jego słowa.

# Rozdział XIII

## Tajemnica świątyni

Gdy Tarzan zeskoczył na ziemię z muru świątyni, nie było wcale jego zamiarem uciekać z A-luru, dopóki nie upewni się, że jego małżonka nie była tam uwięziona. Nie miał jednak pojęcia, jak żyć i prowadzić poszukiwania w tym dziwnym grodzie, w którym obecnie wszystkich musiał mieć przeciwko sobie.

Jedno tylko było miejsce, gdzie wiedział, że może znaleźć możliwe schronienie, a mianowicie królewski Ogród Zakazany. Były tam gęste zarośla, w których można się było ukryć, woda i owoce. Gdyby zdołał dostać się niepostrzeżenie do tego miejsca, mógłby długi czas pozostać tam ukryty. Poważne jednak było pytanie, w jaki sposób przebyć niepostrzeżenie odległość między terenami a ogrodem.

Opierając się na swym zmyśle spostrzegawczości, doszedł do przekonania, że zdoła osiągnąć obszarów pałacowych przez podziemne korytarze i komnaty świątyni, przez które prowadzono go poprzedniego dnia. Lepiej to będzie, niż iść po otwartej przestrzeni, po której jego prześladowcy będą go śledzili i szybko zdołają go osiągnąć.

Zrobiwszy więc kilka kroków za murem, zeszedł po kamiennych schodach, wiodących do podziemnych apartamentów.

Nie obawiał się niespodziewanego spotkania, licząc na to, że wszyscy kapłani świątyni zgromadzili się w podwórzu, by być świadkami sądu nad nim, jego upokorzenia i śmierci. Z tą myślą śmiało szedł naprzód i na zakręcie korytarza spotkał się oko w oko z niższym kapłanem, którego dziwaczne przybranie głowy zasłaniało wrażenie, jakie wywarł na nim widok Tarzana.

Tarzan miał tę przewagę nad ofiarnikiem Jad-ben-Otho, że zdawał sobie sprawę z jego względem siebie zamiarów. Toteż zanim kapłan zdążył obmyśleć, jak mu należy postąpić, zimny nóż utkwiał w jego sercu.

Gdy ciało runęło na ziemię, Tarzan zerwał z jego ramion nakrycie głowy, gdyż na widok kapłana wpadł od razu na pomysł podejścia wrogów. Położywszy nakrycie głowy na podłodze, nachylił się i obciął zmarłemu Ho-donowi ogon. Nie opodal była mała komnata, z której widocznie kapłan tylko co się wyłonił. Tam zaciągnął Tarzan trupa, nakrycie głowy i ogon.

Szybko oddawszy długi pasek od przepaski, obwiązał nim nasadę obciętego ogona i wsunawszy ogon pod swą przepaskę, umieścił go we właściwym miejscu, jak mógł najlepiej. Nałożywszy sobie na ramiona nakrycie głowy, wyszedł z komnaty jako kapłan świątyni Jad-ben-Otho, o ile nie przyszlaby komu chęćka zbyt dokładnie przyglądać się jego wielkim palcom u rąk i nóg.

Zauważył, że zarówno Ho-doni, jak Waz-doni, nieraz trzymali w ręku koniec ogona, pochwycił więc swój własny ogon, by ten martwy, ciągnący się za nim członek nie wzbudził podejrzeń.

Minawszy korytarz i liczne komnaty, wydostał się wreszcie na obszary pałacowe poza świątynią. Pogoń nie doszła tu jeszcze, chociaż wiedział, że jest niedaleko. Spotkał wojowników i



niewolników, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdyż kapłan był powszednim zjawiskiem w pałacu.

W ten sposób dotarł do Zakazanego Ogrodu i ukrył się w jego gęstych zaroślach. Spoza ogrodu słyszał nawołujących się ludzi i domyślił się, że to jego tak skwapliwie poszukują.

Gdy siedział ukryty w zaroślach, zamyślony nad trzymanym w rękę nakryciem głowy, zauważył, że nie jest sam w ogrodzie. Odczuł cudzą obecność i wkrótce posłyszał kroki bosych stóp na murawie. Z początku mniemał, że to ktoś poszukujący go w Zakazanym Ogrodzie, wkrótce jednak ujrzał księżniczkę O-lo-a, samotnie idącą z pochyloną głową, jak gdyby w zamyśleniu — w smutnym zamyśleniu, gdyż na rżęsach jej były ślady łez.

Niebawem dosłyszał wejście innych osób do ogrodu — byli to mężowie, a kroki ich zdradzały, że nie szli ani powoli, ani w zamyśleniu. Podeszli wprost do księżniczki i Tarzan przekonał się, że byli to dwaj kapłani.

— O-lo-a, księżniczko pal-ul-donu — przemówił jeden z nich — obcy, który opowiedział nam, że jest synem Jad-ben-Otho, przed chwilą umknął przed gniewem Lu-dona, najwyższego kapłana, który go zdemaskował. Przeszukuje się świątynię, pałac i miasto, nam zaś polecono przeszukać Zakazany Ogród, ponieważ król Ko-tan powiedział, że właśnie dzisiejszego ranka zastał go tutaj, chociaż nie rozumie, w jaki sposób minął strażę.

— Nie ma go tutaj — rzekła O-lo-a — jestem w ogrodzie od dłuższego czasu i nikogo, prócz siebie samej, nie widziałam, ani słyszałam. Jednakże szukajcie, jeśli chcecie.

— Nie — rzekł ten sam kapłan — to zbyt ciężkie, gdyż bez twojej wiedzy i zgody straży nie mógł tu wejść, gdyby zaś to nawet uczynił, musiałby go zobaczyć kapłan, który nas tu poprzedził.

— Jaki kapłan? — zapytała O-lo-a.

— Niechybnie oddalił się innym wyjściem — zauważył drugi kapłan.

— Tak, niezawodnie — zgodziła się O-lo-a. — Ale dziwne to, że go wcale nie widziałam.

Kapłani skłonili się i odeszli.

— Głupi jak Buto, nosorożec — pomyślał Tarzan — łatwo byłoby ich wyprowadzić w pole.

Zaledwie oddalili się kapłani, rozległ się odgłos stóp, prędko biegnących przez ogród do księżniczki. Zarazem słychać było szybki oddech, jak gdyby kogoś bardzo zmęczonego, czy wzruszonego.

— Pan-at-lee — wykrzyknęła księżniczka — co ci się stało!

— Och, księżniczko pal-ul-donu — zawołała Pan-at-lee — byliby go zamordowali w świątyni. Byliby zabili tego cudzoziemca, który się podawał za Dor-ul-Otho!

— Ale on uciekł — rzekła O-lo-a. — Byłaś tam, opowiedz mi o tym.

— Główny kapłan chciał, by go pochwycono i zamordowano, ale gdy ruszyli ku niemu, on jednego z nich cisnął w twarz Lu-donowi z taką łatwością, jak ty rzuciłabyś we mnie swój napierśnik, potem skoczył na ołtarz i stamtąd na szczyt muru świątyni i znikł. Szukają go, ale, o księżniczko, modlę się, by go nie znaleźli.

— Dlaczego modlisz się o to? — zapytała O-lo-a. — Czy ten, kto popełnił takie bluźnierstwo, nie zasłużył na śmierć?

— Ach, ale go nie znasz — odparła Pan-at-lee.

— Więc ty go znasz — szybko dorzuciła O-lo-a. — Dziś rano zdradziłaś się, a potem usiłowałaś oszukać mnie. Niewolnicy O-lo-a nie dopuszczają się bezkarnie takich czynów. Więc to ten sam Tarzan-jad-guru, o którym mi opowiadałaś? Mów, kobieto, i mów ściśłą prawdę.

Pan-at-lee wyprostowała się, wysoko podnosząc głowę. Czyż nie była wśród swego ludu tyle warta, co księżniczka?

— Pan—at—lee, Kor—ul—janka — rzekła — nie kłamie dla swej obrony.

— Opowiedz mi więc, co wiesz o tym Tarzanie—jad—guru — nalegała księżniczka.

— Wiem, że to nadzwyczajny człowiek i bardzo odważny — rzekła Pan—at—lee — i że wyratował mnie od Tor—o—dona i od gryfa, jak ci to już mówiłam, i że to ten sam, który dziś rano wszedł do ogrodu. I nawet teraz nie wiem wcale, czy nie jest synem Jad—ben—Otho, bo jego męstwo i siła przekraczają męstwo i siłę zwykłych śmiertelników, jak również jego uprzejmość i honorowe postępowanie. Gdy mógł mnie skrzywdzić — obronił, gdy zaś mógł się sam uratować, dbał tylko o mnie. A wszystko to zrobił przez przyjaźń dla Om—ata, który jest gundem Kor—ul—ja i którego małżonką byłabym została, gdyby nie byli mnie uwięzili Ho—doni.

— Istotnie zdumiewający to człowiek — potwierdziła O—lo—a — i nie jest podobny do innych ludzi, nie tylko z kształtu rąk i nóg, lub z tego, że nie posiada ogona, lecz jest w nim coś, co go wywyższa nad innych.

— I — dodała Pan—at—lee, rada w swym wdzięcznym sercu przysłużyć się przyjacielowi — i czyż nie wiedział wszystkiego o Ta—denie, nawet o miejscu jego pobytu? Powiedz mi, księżniczko, że jeśli on nie jest bogiem, to jest przynajmniej czymś więcej niż Ho—donem lub Waz—donem. Szedł za mną z jaskini Es—sata w Kor—ul—ja przez Kor—ul—lul i dwa szerokie szczyty aż do samej jaskini w Kor—ul—gryfie, gdzie się ukryłam, chociaż dużo godzin upłynęło, odkąd przeszłam tę drogę, i chociaż moje bose stopy nie pozostawiły żadnych odcisków na ziemi. Jaki człowiek śmiertelny zdołałby uczynić coś podobnego? I gdzie w całym pal—ul—donie znalazłaby bezbronna dziewczyna przyjaciela i opiekuna w obcym mężczyźnie, prócz niego?.

— Może Lu—don jest w błędzie — może to naprawdę bóg — rzekła O—lo—a, ulegając wpływowi rozentuzjasmowanej niewolnicy.

— Bóg czy człowiek — nazbyt jest cudowny, by miał umrzeć — wybuchnęła Pan—at—lee. — Chciałabym móc go ocalić! Gdyby pozostał przy życiu, może znalazłby sposób, by ci oddać twego Ta—dena, Księżniczko!

— Ach, gdyby mógł — westchnęła O—lo—a — ale, niestety już za późno, bo jutro mam być dana Bu—lotowi.

— Temu, który wczoraj przyszedł z twym ojcem do twoich komnat? — zapytała Pan—at—lee.

— Tak, temu z obrzydliwa okrągłą twarzą i wielkim brzuchem! — zawołała księżniczka z obrzydzeniem. — Jest tak leniwy, że nigdy nie poluje, ani nie walczy. Nadaje się tylko do picia i jedzenia i jedyną rzeczą, o której myśli, to jego niewolnice. Ale pójdź, Pan—at—lee, narwij mi trochę tych pięknych kwiatów. Chciałabym przybrać nimi swe łożo dzisiejszej nocy, by rankiem zabrać ze sobą trochę zapachu, który najlepiej lubię i którego nie znajdę w wiosce Mo—sara, ojca Bu—lota. Pomogę ci i nazbieramy ich całe naręcze.

Obie dziewczyny zbliżyły się do zarośli, w których ukrył się Tarzan, lecz ponieważ we wszystkich krzakach pełno było kwiecica, Tarzan spodziewał się, że nie wejdą w głąb zarośli.

— Och, Pan—at—lee, popatrz — nagle zawołała O—lo—a — tam rośnie król wszystkich kwiatów — nigdy nie widziałam równie pięknego. Nie! Sama go zerwę — jest tak wielki i piękny, że nie chcę, by go kto inny dotknął.

Z tymi słowy księżniczka zagłębiła się w krzaki ku miejscu, gdzie niezwykle okazał kwitł nad samą głową Tarzana. Zbliżyła się tak nagle i nieoczekiwanie, że Tarzan nie zdążył uciec i siedział bez ruchu w nadziei, że losy będą dla niego łaskawe i odciągną córkę Ko—tana, zanim jej oczy go dostrzeżę. Ale dziewczyna, obcinając długą łodygę kwiatu, spojrzała wprost w uśmiechniętą twarz Tarzana—Jad—guru.

Ze stłumionym okrzykiem cofnęła się. Człowiek—małpa powstał i spojrzał jej w oczy.

— Nie lękaj się, księżniczko, pozdrawia cię przyjaciel Ta–dena — rzekł, podnosząc jej paluszki do swych warg.

Pan–at–lee nadbiegła podniecona.

— O Jad–ben–Otho! Oto on!

— A teraz, skoroście mnie znalazły — zapytał Tarzan — czy wydacie mnie Lu–donowi?

Pan–at–lee padła do stóp O–lo–a.

— Księżniczko! Księżniczko! Nie zdradzaj go przed jego wrogami!

— Ale Ko–tan, mój ojciec — bojaźliwie szepnęła O–lo–a — gdyby się dowiedział o mym wiarołomstwie, wpadłby w nieopisany gniew. Chociaż jestem księżniczką, Lu–don mógłby zażądać, by mnie ofiarowano na ołtarzu dla poskromienia gniewu Jad–ben–Otho. Między nimi dwoma jestem zgubiona.

— Ależ nigdy się nie dowiedzą — zawołała Pan–at–lee — żeś go widziała, o ile sama im tego nie powiesz, bo co do mnie, Jad–ben–Otho świadkiem, że cię nigdy nie zdradzę.

— Powiedz mi, o cudzoziemcze — błagalnie zwróciła się O–lo–a — czy jesteś naprawdę bogiem?

— Jad–ben–Otho nie jest nim więcej ode mnie — nie mijając się z prawdą — odparł Tarzan.

— Dlaczego więc usiłujesz ujść rąk śmiertelników, jeżeliś jest bogiem? — zapytała.

— Gdy bogowie schodzą między ludzi — odparł Tarzan — stają się jako ludzie. Nawet Jad–ben–Otho, gdyby ukazał się wcielony, mógłby ulec zabiciu.

— Widziałeś Ta–dena i mówiłeś z nim? — zapytała bez związku z otrzymaną odpowiedzią.

— Tak, widziałem go i mówiłem z nim — odrzekł człowiek–małpa. — W ciągu księżyca byłem z nim nierozłącznie.

— I on — zawahała się — potem spuściła oczy ku ziemi i rumieniec oblał jej policzki — on wciąż mnie kocha?

Tarzan wiedział, że ją zdobył.

— Tak — odpowiedział. — Ta–den wciąż mówi o O–lo–a i czeka i wygląda dnia, gdy ją zabierze.

— Ale jutro oddają mnie Bu–lotowi — ze smutkiem rzekła.

— Zawsze może być jutro, bo jutro nigdy nie nadchodzi — odparł Tarzan.

— Ach, ale przyjdzie nieszczęście i przez wszystkie jutra mego życia muszę trwać w rozpacz, bo Ta–den nigdy nie będzie moim.

— Gdyby nie Lu–don, byłbym ci pomógł — rzekł człowiek–małpa. — A kto wie, czy ci jednak nie pomogę?

— Ach, gdybyś mógł, Dor–ul–Otho — wykrzyknęła dziewczyna — wiem, że uczyniłbyś to, gdyby to było możliwe, bo Pan–at–lee opowiedziała mi, jak jesteś dzielny i uprzejmy zarazem.

— Jeden tylko Jad–ben–Otho zna przyszłość — rzekł Tarzan. — A teraz oddalście się, by kto nie nadszedł i nie nabrał podejrzeń.

— Odejdziemy, ale Pan–at–lee powróci z jadem. Spodziewam się, że zdołasz się ocalić i że Jad–ben–Otho jest zadowolony z mego postępu.

Dziewczęta oddaliły się, człowiek–małpa zaś wrócił do swej kryjówki w zaroślach.

O zmierzchu zjawiała się Pan–at–lee z jedzeniem. Tarzan zadał jej pytanie, które go od początku rozmowy z O–lo–a paliło.

— Powiedz mi wszystko, co wiesz o pogłoskach, o których wspominała O–lo–a, o tajemniczej obcej kobiecie, ukrytej w A–lurze. Czy słyszałaś o tym w czasie swego krótkiego tu pobytu?

— Tak — potwierdziła Pan–at–lee. — Słyszałam niewolników, mówiących o tym. Wszyscy o

tym szepczą, ale nikt nie śmie głośno mówić. Mówią, że obca kobieta ukryta jest w świątyni i że Ludon pragnie zrobić z niej kapłankę, Ko-tan zaś — swą żonę i że dotychczas żaden nie odważył się jej wziąć ze strachu przed drugim.

— Czy wiesz, gdzie ja ukrywają w świątyni?

— Nie. Skąd bym mogła wiedzieć. Nie wiem nawet, czy to nie bajka i powtarzam ci tylko, co inni mówią.

— Czy mówiono tylko o jednej osobie? — zapytał Tarzan.

— Nie, mówiono o kimś jeszcze, kto z nią przybył, ale zdaje się, że nikt nie wie, co się z tym drugim stało.

— Dziękuję ci, Pan-at-lee — rzekł — kto wie, czy nie pomogłaś mi więcej, niż oboje sądzimy.

— Mam nadzieję, że ci pomogłam — rzekła dziewczyna, skierowując się w stronę pałacu.

— I ja również mam tę nadzieję! — zawołał Tarzan z przejęciem.

# Rozdział XIV

## W świątyni Gryfa

Gdy noc zapadła, Tarzan przybrał się w maskę i martwy ogon kapłana, zabitego w podziemiach świątyni i przebywszy ogród po gałęziach drzew, zeskoczył na ziemię poza jego murem.

Minąwszy podwórzec pałacowy, zbliżył się do świątyni z odwrotnej strony od tej, którą się z niej był wymknął. Prawda, że dostał się w ten sposób na nieznaną teren, ale ufny w swój zmysł orientacyjny, śmiało ruszył poprzez podwórzec świątyni.

Kryjąc się w cieniu pod murami i napotkanymi drzewami i krzakami, dotarł do ozdobnego budynku, o przeznaczenie którego zapytywał Lu-dona i otrzymał odpowiedź, że to opuszczona budowla. Nic w tym nie byłoby dziwnego, gdyby nie widoczne wahania w słowach kapłana, które Tarzan zrozumiał jako kłamstwo.

Teraz stał nareszcie przed budynkiem trzypiętrowym, oddzielonym od wszelkich innych zabudowań świątyni. Zaryglowane wejście, wykute w żywej skale, przedstawiało głowę gryfa, którego szeroko rozwarta paszcza stanowiła drzwi. Głowa, kryza i przednie łapy obrobione były, jak gdyby potwór leżał, dolną szczękę ukrywając między łapy. Małe, owalne, zakratowane okna, widniały po obu stronach drzwi.

Tarzan popróbował rygli wchodowych, lecz przekonał się, że były przemyślnie umocowane jakąś nie znaną mu śrubą i że były niechybnie zbyt mocne, aby je skruszyć. Zawiedziony zwrócił się do okien. Tu kraty również nie zdradzały swej tajemnicy, ale Tarzan nie rozpaczał, nic spodziewał się bowiem innego wyniku.

Jeśli kraty nie ustępowały przed jego przebiegłością, ustąpią przed jego olbrzymią siłą, o ile nie znajdzie się inny sposób wtargnięcia do wnętrza. Trzeba najpierw jednak zbadać teren. Okrążywszy budynek, zobaczył inne okna, podobnie zakratowane. Często zatrzymywał się, nasłuchując i wypatrując, niczego jednak nie zobaczył, ani nie słyszał.

Spojrzał na mur budynku. Jak tyle innych murów miasta, pałacu i świątyni, był ozdobnie rzeźbiony — nie był to mur trudny do wdrapania się nań, zwłaszcza dla człowieka-małpy.

Ciężki i dziwaczny strój głowy zawadzał mu, położył więc go na ziemi u stóp ściany. Wspiąwszy się, dosięgnął okien drugiego piętra, nie tylko zakratowanych, ale zasłoniętych draperiami. Nie zatrzymał się tam, dążąc na dach, w którym spodziewał się znaleźć otwory jak w sali tronowej Kōtana. Jedno tylko było pytanie: czy te otwory okażą się dość obszerne dla jego szerokich ramion?

Zatrzymał się przy oknach trzeciego piętra i tu, pomimo zasłon, zobaczył, że wewnątrz było oświetlone, zarazem zaś nozdrza jego poczuły zapach, który uczynił z niego straszliwego samca z dżungli Kerczaka. Jak nagła i zupełna była przemiana, jaka w nim zaszła, że już był bliski wydania okropnego okrzyku wyzwania swego szczepu; chytry mózg zwierzęcy ustrzegł go przed tym błędem.

Teraz usłyszał wewnątrz głosy — przysięgłby, że to głos Lu-dona. Wyniośle i pogardliwie zabrzmiały słowa odpowiedzi, chociaż beznadziejność przebijała się w tym drugim głosie, który

doprowadził Tarzana do szczytu szалу.

Zapomniał o sklepieniu z otworami. Zapomniał o wszelkich nakazach ostrożności i ciszy i jednym potężnym uderzeniem zgruchotał kraty małego okienka.

Przez zrobiony wyłoni wetknął głowę i — omotany zasłoną ze skóry antylopiej — runął na podłogę komnaty. Zerwawszy się na nogi, ściągnął z głowy zawadzającą mu zasłonę i znalazł się wśród nieprzeniknionych ciemności i ciszy. Głośno zawołał imię, które od wielu męczących miesięcy nie wyszło z jego ust.

— Janino, Janino! — krzyknął. — Gdzie jesteś?

Odpowiedziało mu głuche milczenie.

Wołał i wołał, rozpostartymi rękoma macając wśród styksowych ciemności pewien, że małżonka jego była przed chwilą w tej właśnie komnacie. Gdybyż był zachował więcej ostrożności! Byłby ją trzymał teraz w ramionach z trupem Lu-dona pod nogami. Nie było jednak czasu na próżne żale.

Ślepo szedł naprzód, potykając się, aż nagle podłoga pod nim drgnęła i spadł w ciemności jeszcze gęstsze niż poprzednio na górze. Czuł, że ciało jego ociera się o gładką powierzchnię i rozumiał, że zsuwa się jak gdyby po wygładzonym łożysku, nad sobą zaś usłyszał drwiący śmiech i szyderczy okrzyk Lu-dona: — Wracaj do swego ojca, Dor-ul-Otho! Człowiek-małpa zatrzymał się nagle na skalistej podłodze. Wprost przed nim znajdowało się owalne okno z licznymi kratami. Za sobą zobaczył światło księżyca, igrające na wodzie błękitnego jeziora, poniżej leżącego. W pierwszej chwili słyszał tylko głos miasta, dochodzący przez okno, wyglądające na jezioro, ale niebawem doszły go ciche, zbliżające się kroki miękkich stóp.

Nadchodziły coraz bliżej. Wkrótce usłyszał oddech zwierzęcia. Nie widział go, wiedział jednak, że było niedaleko. Wtem wśród ponurych korytarzy, rozległ się ogłuszający ryk gryfa.

Nawykły już do ciemności i licząc na słaby wzrok potwora, Tarzan próbował uniknąć szalonego natarcia, któremu nie sprostałoby żadne żyjące stworzenie. Nie chciał też ryzykować próby za pomocą sposobu Tor-o-dona, który mu się tak dobrze niedawno z innym gryfem powiódł, gdyż inne były teraz warunki i ten obecny gryf nigdy może nie doświadczył na sobie przewagi ludzkiej.

Najrozumniejsze wydało się Tarzanowi ukryć się przed nacierającym zwierzęciem.

Cicho, jak bezcielesny duch, przekradł się na przeciwną stronę komnaty i podążył wzdłuż jej ściany. Ujrzał przed sobą czarny otwór korytarza, z którego wyłoniło się zwierzę, i bez wahania zapuścił się wewnątrz.

Korytarz był obszerny i wysoki, nie napotkał więc żadnych trudności, biegnąc jego wijącym się szlakiem. Czuł, że schodzi coraz niżej łagodnym spadkiem i ciekaw był, do jakiego odległego legowiska dojdzie, gdyż korytarz był nieskończenie długi. Czuł zbliżającego się za sobą gryfa. Grzmiące jego ryki wstrząsały skały, w których wykute były podziemne komnaty.

Tarzan biegł wciąż korytarzem świadom, że gryf go dogania.

Ciemności zaczęły się przerzedzać i za ostatnim zakrętem korytarza zobaczył światło księżyca. Z uczuciem ulgi szybko podskoczył naprzód i znalazł się w szerokim, okrągłym zagłębieniu, otoczonym ze wszystkich stron wysokimi, białymi ścianami — gładkimi prostopadłymi ścianami, na których powierzchni nie było najlżejszego nacięcia.

Na lewo znajdowała się sadzawka, obmywająca stopy tej ściany. Była to niechybnie sadzawka, przeznaczona do kąpieli i pojenia gryfa.

Potwór wyłonił się z korytarza. Tarzan cofnął się nad brzeg sadzawki, postanawiając stawić mu czoło. Nie miał kija, który by jego głosowi dodał powagi, stanął jednak, gdyż nie miał wyboru. W otworze korytarza gryf się zatrzymał, słabe swe oczy zwracając we wszystkich kierunkach, jak gdyby poszukiwał ofiary.

Chwila ta wydała się Tarzanowi odpowiednią. Podniósłszy głos, wydał okrzyk Tor-o-dona: „Whee-oo!” Wrażenie było natychmiastowe i zupełne — z przerażającym rykiem zwierzę pochyliło swe trzy rogi i jak szalone rzuciło się w kierunku głosu.

Nie było drogi do ucieczki ani na prawo, ani na lewo.

Za Tarzanem pluskały spokojnie fale sadzawki, przed nim grzmiało zniszczenie. Potężne cielsko już się nieomal nad nim wzniosło, gdy człowiek-małpa zawrócił i zanurzył się w ciemną toń.

\* \* \*

W sercu jej zamarła nadzieja. Nadzieja, która ją podtrzymywała w ciągu długich miesięcy więzienia, niebezpieczeństw i trudów, to gasnąc, to ożywając, zamarła teraz, gdy Janina Clayton zobaczyła Lu-dona, najwyższego kapłana, w swym więzieniu w apartamentach Świątyni Gryfa w Alurze. Ani czas, ani znoje nie zostawiły śladów na jej fizycznej piękności — zarysy jej doskonałych kształtów, blask jej olśniewającej urody wytrzymały wszystkie próby. Tej właśnie piękności należało przypisać grożące jej niebezpieczeństwo, bo Lu-don jej pożądał. Nic jej nie groziło ze strony niższych kapłanów, ale Lu-don nie był jako oni, gdyż najwyższe kapłaństwo w pal-ul-donie przechodziło z ojca na syna.

Ko-tan, król, pragnął jej także i to ją dotychczas chroniło, gdyż jeden obawiał się drugiego, ale Lu-don porzucił wreszcie ostrożność i wśród nocy przyszedł po nią. Odrzuciła go wyniośle, chcąc zyskać na czasie, choć nie umiała powiedzieć, czego oczekiwała. Na okrutnej twarzy kapłana widziała straszny uśmiech lubieżności i chciwości. Nie cofnęła się, ani padła na ziemię, lecz stała wyprostowana, z oczyma pełnymi pogardy i nienawiści. Postawa jej gniewała go, ale jednocześnie wzmagала pożądanie. Oto prawdziwa królowa, może nawet bogini! Małżonka godna najwyższego kapłana!

— Nie wąż się! — rzekła, gdy chciał jej dotknąć. — Jedno z nas umrze, zanim osiągniesz swój cel.

Staął tuż obok niej.

— Miłość nie zabija — zaśmiał się drwiąco.

Sięgnął po jej ramię, ale w tej właśnie chwili coś zgruchotało kraty w jednym z okien i głową na dół runęła do komnaty postać ludzka, omotana w skóry, zasłaniające okno.

Janina Clayton spostrzegła na obliczu wielkiego kapłana zdziwienie i jak gdyby przestrah, po chwili zaś ujrzała, jak skoczył i szarpnął za rzemień, zwisający ze sklepienia komnaty. Natychmiast zapadła przemyślnie zrobiona przegroda między nimi i intruzem, oddzielając go od nich całkowicie i pozostawiając w ciemnościach, gdyż jedyna lampa znajdowała się po ich stronie przegrody.

Spoza ściany Janina dosłyszała niewyraźnie jakiś głos, ale do kogo należał i jakie słowa wymówił?

Lu-don pociągnął inny rzemień i czekał na wynik. Zobaczyła, jak rzemień nagle się poruszył, jak gdyby szarpnięty z góry, po czym Lu-don, za pomocą nowego sygnału, puścił w ruch jakąś maszynę, która podniosła przegrodę na poprzednie miejsce w sklepieniu.

Przeszedłszy do tej części komnaty, którą przed chwilą zasłaniała przegroda, ukląkł na podłodze — odchyliwszy jej kawałek — ukazał czarny otwór szybu wiodącego na dół i z urągłym śmiechem zawołał:

— Wracaj do swego ojca, o Dor-ul-Otho.

Zamknawszy zasuwę na drzwiach pułapki, podniósł się i zawołał:

— Teraz, o Piękna! — a po chwili. — Ja-don! Co tu robisz?

Janina Clayton zobaczyła we framudze podwojów potężną postać wojownika, na surowym



obliczu którego widniał wyraz wielkiej powagi.

— Przybywam od Ko-tana, króla — odparł Ja-don — by piękną cudzoziemkę zaprowadzić do Zakazanego Ogrodu.

— Król rzuca mi wyzwanie, mnie, najwyższemu kapłanowi Jad-ben-Otho? — zawołał Lu-don.

— To rozkaz królewski — powiedziałem — warknął Ja-don, nie zdradzając ani lęku, ani szacunku.

Lu-don rzucił spojrzenie na ramię, zwisający ze sklepienia. Dlaczego by nie? Gdyby tylko zdołał zwabić Ja-dona na drugą stronę komnaty!

— Pójdź — rzekł pojednawczym tonem — pomówmy o tej sprawie — i ruszył ku miejscu, na które pragnął wciągnąć Ja-dona.

— Nie ma tu o czym mówić — odparł Ja-don, poszedł jednak za kapłanem, obawiając się jakiegś zdrady.

Janina bacznie ich śledziła. W twarzy i postaci wojownika odzwierciedlały się odwaga i poczucie honoru. Pełen hipokryzji, kapłan nie zdradzał żadnych cech dodatnich. Wybierając między nimi dwoma, wołała wojownika. Już sama zmiana więzienia mogła dać sposobność do ucieczki. Zważyła to wszystko i powzięła postanowienie, gdyż zrozumiała szybkie spojrzenie Lu-dona w kierunku rzemienia.

— Wojownik — przemówiła — jeśli miłe ci jest życie, nie wchodź do tamtej części komnaty.

Lu-don obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

— Milcz, niewolnico! — zawołał.

— Co mi grozi? — zapytał Ja-don, nie zważając na Lu-dona.

Kobieta wskazała na ramię. — Patrz — rzekła i zanim kapłan zdążył ją uprzedzić, chwyciła ten, który spuszczał się i podnosił przegrodę. Przegroda spadła, oddzielając Lu-dona od niej i wojownika.

Ja-don spojrzał na nią pytająco.

— Zgrabnie by mnie był oszukał, gdyby nie ty — rzekł — byłby mnie trzymał uwięzionego, ciebie zaś tymczasem ukryłby gdzieś w świątyni.

— Zrobiłby coś więcej — odparła Janina, pociągając za drugi ramię. — To otwiera zamknięcie w podłodze poza przegrodą. Gdybyś był na nie stanął, zostałbyś wrzucony do lochu pod świątynią. Lu-don często straszył mnie tym losem. Nie wiem, czy mówi prawdę, ale on twierdzi, że tam jest uwięziony demon świątyni — gryf.

— Jest gryf w świątyni — potwierdził Ja-don. — Kapłani żywią go więźniami, chociaż nieraz wśród ofiar znajdują się ci spośród naszego własnego ludu, do których Lu-don zapałał szczególną nienawiścią. Na mnie ma on już od dawna zwrócone oko. Dziś, gdyby nie ty, byłoby mu się powiodło. Powiedz mi, dlaczego mnie ostrzegłaś! Czyż nie jesteśmy wszyscy jednako twymi wrogami i strażnikami twego więzienia?

— Nikt nie może być okropniejszy od Lu-dona — odparła — a ty wyglądasz na dzielnego i pełnego honoru wojownika. Nadzieja zamarła we mnie, a jednak, może wśród tylu zbrojnych mężów, chociaż do innej niż ja rasy należą, znajdzie się jeden, który z honorem traktować będzie obcą kobietę.

Ja-don długą chwilę na nią spoglądał.

— Ko-tan chce uczynić cię królową — rzekł. — Sam mi to powiedział; chyba jest to postępowanie honorowe ze strony tego, kto może uczynić cię swą niewolnicą.

— Jak to, więc on chce zrobić ze mnie królową? — zapytała.

Ja-don zbliżył się, jak gdyby obawiał się podsłuchania.

— On wierzy, aczkolwiek nie powiedział mi tego, że pochodzisz z boskiego rodu. I dlaczego nie? Jad–ben–Otho jest bezogoniasty, nic więc dziwnego, że Ko–tan przypuszcza, że tylko bogowie nie mają ogonów. Jego królowa zmarła, pozostawiając mu tylko jedyną córkę. Pragnie syna, a cóż bardziej godnego pożądanego, jak zapoczątkowanie dynastii władców pal–ul–donu od bogów pochodzących?

— Ależ ja już jestem zaślubiona! — zawołała Janina. — Nie mogę poślubić innego. Nie chcę ani jego, ani jego tronu.

— Ko–tan jest królem — spokojnie odparł Ja–don, jak gdyby to wszystko wyjaśniało i upraszczało.

— Nie chcesz mi więc pomóc? — zapytała kobieta.

— Gdybyś była w Ja–lurze, mógłbym cię bronić nawet przed królem — odparł.

— Co to jest Ja–lur? Gdzie jest Ja–lur? — zapytała, chwytając się każdego źdźbła nadziei.

— To miasto, którym władam — odpowiedział. — Jestem jego wodzem i całej doliny dokoła.

— Gdzie to jest — nalegała — czy to daleko?

— Nie — odparł z uśmiechem — to niedaleko, ale nie myśl o tym — nigdy byś nie zdołała tam się dostać. Jeśli chcesz jednak wiedzieć, to ci powiem, że — leży nad rzeką, wpadającą do Jad–ben–lulu, którego wody całują mury A–luru — leży na zachodnim rozwidleniu, otoczone z trzech stron wodą. To miasto nie zdobyte, jedyne z miast pal–ul–donu, do którego nie wkroczył nigdy żaden nieprzyjaciel, odkąd zostało zbudowane wówczas gdy Jad–ben–Otho był jeszcze małym chłopięciem.

— I tam byłabym bezpieczna? — zapytała.

— Zapewne — odparł.

Westchnęła i potrząsnęła głową, zdając sobie sprawę z beznadziejności swego położenia.

— Jesteś mądra — rzekł Ja–don, zrozumiałwszy jej westchnienie. — Chodź, pójdziemy do apartamentów księżniczki, obok Zakazanego Ogrodu. Pozostaniesz tam z O–lo–a, córką królewską. Będzie ci tam lepiej niż w twym dotychczasowym więzieniu.

— A Ko–tan? — zapytała z dreszczem, który wstrząsnął jej smukłą postacią.

— Pewne obrzędy muszą potrwać długie dni, zanim zostaniesz królową, a jeden z nich trudno będzie odprawić — odrzekł i zaśmiał się.

— Co? — zapytała.

— Tylko najwyższy kapłan może dopełnić obrzędu królewskich zaślubin — objaśnił.

— Zwłoka! — szepnęła. — Błogosławiona zwłoka.

# Rozdział XV

## Krew u stóp tronu

Rozmawiając poprowadził ją Ja–don poprzez kamienne schody, korytarze i komnaty aż do drzwi, przy których trzymali straż z jednej strony kapłani, a z drugiej dwaj wojownicy. Pierwsi byliby chętnie zatrzymali Ja–dona, zobaczywszy, komu towarzyszył, gdyż całej świątyni znany był spór między królem i najwyższym kapłanem o piękną cudzoziemkę.

— Ona może przejść tylko na rozkaz Lu–dona — rzekł jeden, zagradzając drogę Janinie Clayton. Ja–don jedną dłoń położył na jej ramieniu, drugą sięgnął do noża.

— Ona idzie na rozkaz Ko–tana, króla — rzekł — mocą tego, że prowadzi ją Ja–don, wódz. Odsuń się!

Dwaj wojownicy wysunęli się naprzód.

— Jesteśmy tu, gundzie Ja–luru — rzekł jeden — by słuchać i wykonywać twoje rozkazy.

Wmieszał się drugi kapłan. — Przepuścić ich — upomniał towarzysza. — Nie otrzymaliśmy żadnego wyraźnego nakazu od Lu–dona, prawem zaś świątyni i pałacu jest, że wodzowie i kapłani mogą wchodzić i wychodzić bez przeszkód.

Doszli wreszcie do apartamentów księżniczki O–lo–a, gdzie przy głównym wejściu wałęsało się kilku wojowników pałacowych i mnóstwo czarnych eunuchów, należących do księżniczki i jej kobiet. Jednemu z nich Ja–don powierzył Janinę Clayton.

— Zaprowadź ją do księżniczki — rzekł — i bacz, by nie uciekła.

Eunuch poprowadził lady Greystoke poprzez liczne korytarze i komnaty i zatrzymał się wreszcie przed wejściem, zawieszonym zasłonami ze skóry jato. Uderzając pałką w ścianę zawołał:

— O–lo–a, księżniczko pal–ul–donu, oto obca kobieta, więzień świątyni.

— Niechaj wejdzie — usłyszała Janina miły głos.

Eunuch odsunął zasłony i lady Greystoke weszła do nisko sklepionej komnaty. W czterech jej rogach klęczące, kamienne postacie zdawały się podtrzymywać strop na swych ramionach. Postacie te miały przedstawiać niewolników waz–dońskich i nie były pozbawione piękna artystycznego. Sklepienie miało otwory, przepuszczające światło i powietrze. Z jednej strony komnaty znajdowały się liczne okna, pozostałe ściany miały tylko drzwi. Księżniczka leżała na stosie futer, ułożonych na niskim wzniesieniu kamiennym w kącie komnaty. Była sama, tylko jedna niewolnica waz–dońska siedziała u jej stóp na skraju wzniesienia.

Gdy Janina weszła, O–lo–a dała jej znak, by się zbliżyła. Uniósłszy się trochę na łożu wsparta na łokciu dziewczyna krytycznie przyglądała się stojącej przed nią Janinie.

— Jakże jesteś piękną — rzekła z prostotą.

Janina uśmiechnęła się smutnie, przekonała się bowiem, że piękność może stać się przekleństwem.

— Jest to prawdziwy komplement — szybko odrzekła — ze strony tak prześlicznej osoby jak

księżniczka O-lo-a.

— Ach! — z zachwytem zawołała księżniczka — władasz moim językiem. Mówiono mi, że jesteś innej ode mnie rasy i że pochodzisz z dalekiego kraju, o którym my w pal-ul-donie nic nie wiemy.

— Lu-don dbał o to, by kapłani nauczyli mnie waszej mowy — wyjaśniła Janina — pochodzę istotnie z dalekiej krainy i tęsknię za nią od dawna — i jestem bardzo nieszczęśliwa.

— Ale Ko-tan, mój ojciec, chce uczynić cię królową! — zawołała — powinnaś być bardzo szczęśliwa z tego powodu.

— A jednak nie jestem — odrzekła branka — kocham innego, któremu jestem poślubioną. Ach, księżniczko, gdybyś wiedziała, co to znaczy kochać i być zmuszoną do małżeństwa z kim innym, współczułabyś mi.

Księżniczka O-lo-a pogrążyła się w zadumie.

— Wiem — rzekła wreszcie — i bardzo mi cię żal. Jeśli jednak córka królewska nie może uniknąć takiego losu, któż wybawi niewolnicę, bo niewolnicą jesteś w rzeczy samej.

\* \* \*

Wcześniej niż zazwyczaj rozpoczęła się pijatyka w wielkiej sali biesiadnej pałacu Ko-tana, króla pal-ul-donu.

Król wyprawiał uroczystość z powodu rannych zaręczyn swej jedynej córki z Bu-lotem synem Mo-sara, wodza, którego pra-pradziad był królem pal-ul-donu i który był zdania, że on właśnie sam powinien być królem. Mo-sar był pijany i Bu-lot był pijany, i prawie wszyscy wojownicy, nie wyłączając króla, byli pijani. W sercu Ko-tana nie było miłości ani dla Mo-sara, ani dla Bu-lota, żaden też z nich nie kochał króla.

Ko-tan oddawał córkę Bu-lotowi w nadziei, że ten związek odwiedzie Mo-sara od jego roszczeń do tronu, gdyż obok Ja-dona Mo-sar był najpotężniejszym z wodzów, Ko-tan lękał się Ja-dona, nie obawiał się jednak, by Lwi-Mąż pokusił się o tron, chociaż nie umiał odgadnąć, w jaki sposób ten wyzyskałby swe wpływy na wypadek wypowiedzenia Ko-tanowi wojny przez Mo-sara.

Ludzie pierwotni nie grzeszą nadmiarem taktu i dyplomacji w stanie trzeźwym, cóż dopiero gdy są pijani. Bu-lot zapoczątkował całą sprawę.

— To — rzekł — piję za zdrowie O-lo-a — i jednym łykiem wychylił dzban.

— A to — wrywając sąsiadowi drugi, napełniony dzban — za zdrowie jej syna i mojego, który tron Pal-ul-doński przywróci prawym dziedzicom.

— Król jeszcze nie umarł! — krzyknął Ko-tan, zrywając się na nogi. — Ani Bu-lot nie zaślubił jeszcze jego córki — jeszcze czas uchronić pal-ul-don przed pomiotem zajęczego rodu!

Gniewny głos króla i jego obelżywy przytyk do znanego dobrze tchórzostwa Bu-lota nagle otrzeźwił i uciszył hałaśliwe towarzystwo. Wszystkie oczy zwróciły się na Bu-lota i Mo-sara, którzy siedzieli obok siebie na wprost króla. Bu-lot był bardzo pijany, tak pijany, że na chwilę zapomniał o swym tchórzostwie.

Zdarza się, że pijany i rozgniewany zając zdobędzie się na nagły czyn. Zerwawszy się nagle z siedzenia i wyrwawszy najbliższemu po prawicy wojownikowi nóż z pochwy, cisnął nim ze straszną siłą w Ko-tana. Wojownicy Pal-ul-dońscy wprawni są w rzucaniu nożem i maczugą, nie dziw więc, że z tak bliskiej odległości i bez ostrzeżenia rzucony nóż, trafił w samo serce.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Błady z przerażenia Bu-lot z wolna zaczął się wycofywać ku drzwiom, gdy rozgniewani wojownicy skoczyli, by przeszkodzić jego ucieczce i pomścić swego króla. Ale Mo-sar stanął obok syna.

— Ko-tan nie żyje! — zawołał. — Mo-sar jest królem! Niechaj wierni wojownicy Pal-ul-dońscy staną przy swym władcy.

Mo-sar miał liczną świtę i ta szybko otoczyła jego i Bu-lota. Dużo jednak noży wzniosło się przeciwko nim. Ja-don wysunął się na czoło tych ostatnich.

— Bierzcie ich obu! — zawołał. — Wojownicy Pal-ul-dońscy sami sobie wybiorą króla, gdy zabójca Ko-tana odpokutuje za swą zbrodnię.

Prowadzeni przez podziwianego i szanowanego wodza, ci którzy byli wierni Ko-tanowi, ruszyli na zastęp broniący Mo-sara.

Wywiązała się straszliwa i okrutna walka, podczas której Mo-sar i Bu-lot niepostrzeżenie wymknęli się z sali biesiadnej i pośpieszyli do zajmowanych przez siebie apartamentów pałacowych. Sługom i niższym wojownikom, którzy nie byli zaproszeni na ucztę, polecili jak najrychlejsze spakowanie rzeczy i przygotowanie się do bezzwłocznego opuszczenia A-luru, po czym Mo-sar szepnął do syna: — Księżniczka — nie możemy opuścić miasta bez niej — ona, to połowa wygranej w sprawie tronu.

Bu-lot, niezupełnie jeszcze trzeźwy, ociągał się. Dosyć już miał walk i nadstawiania skóry. — Uchodźmy spiesznie z A-luru — odrzekł — inaczej całe miasto zwróci się przeciwko nam. Ona nie pójdzie z nami bez oporu, a to opóźni nasz odwrót.

— Mamy dużo czasu — odparł Mo-sar. — W Pal-e-don—so wciąż jeszcze walczą. Nie prędko spostrzegą się, że nas nie ma, a z chwilą śmierci Ko-tana dużo czasu upłynie, zanim ktokolwiek pomyśli o zabezpieczeniu księżniczki. Teraz jest nasza chwila — sam Jad-ben-Otho dał ją nam. Chodź!

Niechętnie poszedł Bu-lot za ojcem, który zlecił wojownikom, by czekali na nich przed bramą pałacową. Szybko zbliżyli się obaj do apartamentów księżniczki. Przy wejściu trzymała straż tylko garstka wojowników, eunuchy już odeszły.

— W pal-e-don—so biją się — oświadczył straży Mo-sar z udanym przejęciem. — Król wzywa was natychmiast, a nam polecił strzec apartamentów księżniczki. Śpieszcie — dodał na widok wahania się ludzi.

Wojownicy znali go i wiedzieli, że rankiem księżniczka została zaręczona z jego synem, Bu-lotem, uważali więc za naturalne, że im właśnie powierzono pieczę nad nią; przy tym Mo-sar był potężnym wodzem, którego należało słuchać bez oporu. Udali się więc według rozkazu do sali biesiadnej.

Zaledwie znikli, Mo-sar wszedł za zasłony i wraz z Bu-lotem skierował się ku sypialni księżniczki. Wpadli tam bez ostrzeżenia. Na ich widok zerwała się O-lo-a.

— Co to znaczy! — zapytała z gniewem.

Mo-sar zbliżył się do mej. Postanowił wprowadzić ją w błąd. Jeśli mu się to powiedzie, rzecz pójdzie lepiej, niż gdyby trzeba było brać ją przemocą. Wtem oczy jego padły na Janinę Clayton. Zapatrzył się w nią w zdumieniu i podziwie, lecz otrząsnął się i wrócił do najpilniejszej w tej chwili sprawy.

— O-lo-a! — zawołał — gdy dowiesz się, co nas sprowadza, to nam wybaczysz. Przynosimy ci smutne wieści. W pałacu wybuchł bunt, król jest zamordowany. Pijani buntownicy zmierzają tutaj. Musisz uchodzić z A-luru, nie ma chwili do stracenia. Spiesz się!

— Mój ojciec nie żyje?! — zawołała O-lo-a i oczy jej rozwarły się szeroko. — A więc moje miejsce jest tu, wśród mego ludu! Jeśli Ko-tan umarł, ja jestem królową, dopóki wojownicy nie obiorą nowego władcy — takie jest prawo w pal-ul-donie. A skoro jestem królową, nikt nie zmusi mnie do poślubienia tego, kogo nie chcę, a wiadomo Jad-ben-Otho, że nigdy nie chciałam poślubić twego tchórzliwego syna. Odejdź! — rozkazująco wskazała mu smukłym paluszką wyjście. Mo-sar przekonał się, że przebiegłość ani namowy nic tu nie wskórają, a każda minuta była droga. Znowu spojrzął na piękną kobietę, stojącą obok O-lo-a. Nigdy jej dotychczas nie widział, wiedział jednak z plotek pałacowych, że to musi być owa boska cudzoziemka, którą Ko-tan zamierzał uczynić królową.

— Bu-lot! — zawołał — bierz swoją kobietę, ja zaś wezmę — swoją. Z tymi słowami skoczył nagle, objął kibić Janiny i zanim O-lo-a i Pan-at-lee zrozumiały jego zamiary, znikł za zasłonami, unosząc wrywającą mu się kobietę.

Bu-lot chciał porwać O-lo-a, ale O-lo-a miała przy sobie Pan-at-lee, małą dzielną tygrysicę z

Kor-ul-ja, i Bu-lot przekonał się, że nie da tym dwom rady. Gdy chwycił O-lo-a i chciał ją unieść, Pan-at-lee objęła go za nogi i powaliła na podłogę. Tłukł ją bez pamięci, ale ona go nie puszczała. Wreszcie zrozumiawszy, że nie tylko utraci księżniczkę, ale może zostać uwięziony, jeśli nie wyrwie się rychło tej uczonej do niego tygrysy, cisnął O-lo-a na podłogę i chwyciwszy Pan-at-lee za włosy, wyciągnął nóż i...

Zasłona nagle rozsunęła się za nim. Jakaś smukła postać dwoma skokami przebyła komnatę, chwyciła dłoń Bu-lota z tkwiącym w niej nożem i potężnym ciosem rozwalila mu czaszkę. Bu-lot — tchórz, zdrajca i morderca zginął, nie wiedząc nawet, kto go powalił.

\* \* \*

Gdy Małpi Tarzan wskoczył do sadzawki w gryfim lochu świątyni A-luru, można by sadzić, że uczynił to, by choć na chwilę oddalić nieunikniony koniec. Mylne byłoby to mniemanie. Zimne, szare oczy dojrzały jedyną drogę ratunku — wąską, księżycową poświata oblaną strugę wody, połyskującą przez ciasny otwór w skale na poziomie powierzchni sadzawki po przeciwnej stronie. Płynął szybkimi, śmiałymi rzutami. Za nim rzuciło się do wody olbrzymie zwierzę. Zbliżał się już do otworu — czy okaże się dość obszernym, by móc się przezeń precyzyjnie przeczisnąć? Ta część otworu, która widniała nad poziomem wody, wydawała się zbyt ciasną. Życie jego zależało od tego, czy pod wodą znajdowała się dalsza jego część. Zbawczy wyłom już był przed nim — gryf tuż za nim. Nie było wyboru, nie było innej nadziei. Wszystkie siły zebrał Tarzan w kilku ostatnich ruchach. Wyciągnął przed siebie ręce, dał nurka pod wodę i rzucił się ku otworowi.

Lu-don pienieł się z wściekłości, zobaczywszy jak zręcznie cudzoziemka zagrała z nim w jego własne karty. Oczywiście, mógł uciec ze Świątyni Gryfa, w której bystry dowcip kobiety chwilowo go uwięził, ale podczas tej zwłoki, jakkolwiek krótkiej, Ja-don zdążył wykraść ją ze świątyni i dostarczył Ko-tanowi. Odbierze ją jednak — najwyższy kapłan poprzysiągł to sobie w imię Jad-ben-Otho i wszystkich demonów swej wiary. Nienawidził Ko-tana. Potajemnie sprzyjał Mo-sarowi, który byłby w jego ręku bezwolną igraszką. Może to zdarzenie da mu dawno oczekiwaną sposobność — pretekst do wzniecenia buntu, który zdetronizuje Ko-tana i na jego miejsce wyniesie Mo-sara, z Lu-donem jako rzeczywistym władcą pal-ul-donu. Oblizwał swe cienkie wargi, poszukując okna, przez które wszedł był Tarzan, obecnie jedynej drogi ucieczki Lu-dona. Ostrożnie posuwał się po podłodze, macając rękoma, a gdy przekonał się, że pułapka została na niego zastawiona, brzydki uśmiech wyrwał się z jego gardła. — Diablica — szepnął — ale zapłaci mi za to, zapłaci — och, Jad-ben-Otho, jak mi za to zapłaci!

Wygramolił się przez okno i z łatwością zesunął na ziemię. Czy gonić Ja-dona i kobietę, czy też zaczekać aż zdrada i intrygi dopomogą osiągnąć mu pożądany cel? Naturalnie, wybrał ostatnie. Idąc do swych apartamentów, wezwał wielu kapłanów — najbardziej zaufanych i dzielających jego dążenie do absolutnej władzy świątyni nad pałacem — wszystkich, którzy nienawidzili Ko-tana.

— Nadszedł czas — powiedział im — wyniesienia autorytetu świątyni ponad autorytet pałacu. Ko-tan musi ustąpić Mo-sarowi, bo Ko-tan zuchwale urąga waszemu najwyższemu kapłanowi. Idź, Pan-sacie, i wezwij potajemnie Mo-sara do świątyni. Wy, inni, idźcie do miasta, napomnijcie wiernych wojowników, by byli gotowi, gdy czas nadejdzie.

Jeszcze godzinę roztrząsali szczegóły zamachu stanu, który miał obalić rząd pal-ul-donu. Jeden znał niewolnika, który, gdy zabrzmiał sygnał gongu świątyni, wsadzi nóż w serce Ko-tana za cenę wolności. Inny wiedział o oficerze pałacowym, który mógł wpuścić żołnierzy Lu-dona do różnych części pałacu; pewni byli powodzenia, rozeszli się więc robić przygotowania po mieście i w pałacu.

Pan-sat, wkroczywszy na teren pałacowy, usłyszał gwałtowne poruszenie w Pal-e-don-so, ze zdziwieniem też Lu-don ujrzał go po upływie paru minut powracającego bez tchu i w wielkim podnieceniu.



— Co się stało, Pan-sacie? — zawołał Lu-don. — Czy ścigają cię demony?

— O, panie, czas nasz nadszedł i minął, gdyśmy siedzieli tutaj, układając plany. Ko-tan nie żyje, Mo-sar uciekł. Jego przyjaciele biją się z wojownikami pałacowymi, ale nie mają wodza, gdy tymczasem tamtymi kieruje Ja-don. Niewiele mogłem się dowiedzieć od wystraszonych niewolników, którzy uciekli, gdy wybuchła zwada. Jeden z nich opowiedział mi, że Bu-lot zamordował króla i że widział, jak Mo-sar i zabójca uciekali z pałacu.

— Ja-don — szepnął najwyższy kapłan. — Ci głupcy ogłoszą go królem, jeśli nie zaczniemy działać i to szybko działać. Bieź do miasta, Pan-sacie, niech twe nogi niosą cię jak na skrzydłach. Podnieś krzyk, że Ja-don zamordował króla i chce O-lo-a pozbawić tronu. Siej wieści, jak umiesz najzręczniejsz, że Ja-don zagroził kapłanom zagładą i zniszczeniem ołtarzy w świątyni Jad-ben-lulu. Zbuntuj wojowników w mieście i skłoń ich do natychmiastowego wystąpienia. Poprowadź ich do świątyni tajnym wejściem, jedynie kapłanom znanym, a stąd rzucimy ich na pałac, zanim dowiedzą się prawdy. Idź, Pan-sacie, nie trać ani chwili.

— Czekaj! — zawołał, gdy niższy kapłan odwrócił się, by opuścić komnatę. — Czy widziałeś lub słyszałeś coś o obcej kobiecie, którą Ja-don wykradł ze Świątyni Gryfa, w której ją więziliśmy?

— Tyle tylko, że Ja-don zaprowadził ją do pałacu, gdzie groził kapłanom przemocą, jeśli go nie przepuszczą — odparł Pan-sat. — Opowiedzieli mi to, ale gdzie jest ona ukryta w pałacu, tego nie wiem.

— Ko-tan kazał zaprowadzić ją do Zakazanego Ogrodu — rzekł Lu-don — tam niechybnie ją znajdziemy. A teraz, Pan-sacie, idź wykonać moje zlecenia.

W korytarzu, wiodącym do komnaty Lu-dona, kapłan w obrzydliwej masce stał przytulony do zasłoniętego ołtarza. Jeśli podsłuchiwał, to musiał usłyszeć całą rozmowę między Pan-satem i najwyższym kapłanem. Że podsłuchiwał istotnie, zdradziło go to, że szybko cofnął się w cienie korytarza, gdy niższy kapłan ruszył ku wyjściu do komnaty. Pan-sat szedł dalej, nie wiedząc nic o bliskości kogoś, o kogo niemal się otarł, śpiesząc ku tajnemu przejściu, wiodącemu ze świątyni Jad-ben-Otho, pod pałacem aż ku miastu. Nie słyszał też kroków przezornej istoty, idącej jego śladem.

# Rozdział XVI

## Sam w obliczu tłumu

Zawiedziony gryf ryczał z wściekłego gniewu, gdy Tarzan dopadł do otworu w murze i wypłynął przezeń na jezioro. Człowiek-małpa z uśmiechem pomyślał, jak stosunkowo łatwo udało mu się udaremnić plany najwyższego kapłana, zachmurzył się jednak na wspomnienie poważnego niebezpieczeństwa, grożącego jego małżonce. Jedyne jego celem musi być jak najrychlejszy powrót do komnaty, w której ją zobaczył, na trzecim piętrze Świątyni Gryfa. Niełatwo było odnaleźć drogę powrotną. W blasku księżyca widział stromą skałę, wznoszącą się z wody wzdłuż wybrzeża, daleko od obrębu świątyni i pałacu. Wysoko sięgała przed nim niby nieprzebyta zaporą. Podpłynawszy ku niej, zaczął poszukiwać na jej gładkiej powierzchni najdrobniejszej choćby możliwości wdrapania się, najlżejszego śladu szczeliny. Widział nad sobą i wcale niezbyt wysoko liczne otwory, żadnej jednak możliwości dostania się do nich. Wreszcie dojrzał otwór na poziomie powierzchni wody. Kilku ostrożnymi, bezszelestnymi rzutami pośpieszył ku temu zbawiennemu otworowi i wpłynął do ponurego korytarza, słabo oświetlonego zacierającymi tam promieniami miesiąca. Droga poprowadziła go do wnętrza lochu. Napotkał gwałtowny zakręt, a następnie kilka schodów, wiodących do innego korytarza, biegnącego równoległe do powierzchni skały. To przejście było słabo rozjaśnione migotliwymi latarniami, z rzadka umieszczonymi po obu stronach w niszach. Człowiek-małpa zauważył liczne otwory w ścianach korytarza i dosłyszał dźwięki, z których wywnioskował, że znajdowały się tam niezbyt daleko istoty ludzkie, niechybnie kapłani.

Niepodobieństwem było przejść niepostrzeżenie przez to wrogie rojowisko. Trzeba było znowu zdobyć przebranie. Dobrze wiedząc z doświadczenia, jak wziąć się do tego, przekradł się pod najbliższe podwoje. Niby Numa — lew, tropiący czujną zwierzynę, z drgającymi nozdrzami posuwał się ku zasłonom komnaty. Po chwili znikł za nimi. Niebawem do pustego korytarza przedostały się jęki konania i zapadła cisza. Przeszła minuta, druga, trzecia — rozsunęły się zasłony i zjawił się kapłan w ponurej masce.

Posuwał się szybkimi krokami i miał właśnie skręcić do poprzecznej galerii, gdy uwagę jego zwróciły głosy, dochodzące z lewa. Zawrócił i stanął z uchem przyłożonym do skór, zasłaniających komnatę. Nagle odskoczył w cień poprzecznej galerii. Rozsunęły się zasłony i jakiś kapłan szybko poszedł głównym korytarzem. Pod słuchujący zaczął czekać chwilę, po czym cicho ruszył za nim.

Szli jakiś czas korytarzem, który biegł równoległe do powierzchni skały, po czym Pan-sat, wzięwszy z niszy ściennej latarnię, nagle zawrócił do małej komnaty po lewej ręce. Tropiciele zdążył zobaczyć promienie drgającego światła w otworze podłogi i dojrzeć szereg stopni.

Przekonawszy się z zadowoleniem, że przewodnik niczego nie podejrzewając idzie dalej, zeszedł cichaczem za nim, nadal go tropiąc. Korytarz był wąski i niski, przerywany częstymi schodami, wciąż na dół wiodącymi. Stopni bywało rzadko więcej nad sześć, często jeden tylko lub dwa, w sumie jednak tropiciel doszedł do przekonania, że opuścili się do siedemdziesięciu pięciu stóp poniżej

poziomu głównego korytarza. Nareszcie doszli do małej komnaty, w której leżał u jednej ściany stos głazów.

Postawiwszy latarnię na podłodze, Pan-sat zaczął spiesznie odrzucać złomy kamienia. U stóp skały ukazał się mały otwór, za którym widać było taki sam stos kamieni. Pan-sat i tę zawadę odrzucił, aż otrzymał dziurę dostatecznie dużą, by jego ciało mogło się przez nią przedostać. Pozostawiając zapaloną latarnię na podłodze, przelazł przez świeżo zrobiony otwór i znikł sprzed oczu tropiciela w cieniach wąskiego korytarza.

Tamten jednak ruszył natychmiast za nim i znalazł się na małym występie, między powierzchnią jeziora i szczytem skały. Występ stromo pochylał się do góry, kończąc się za budynkiem, stojącym na skraju skały. Drugi kapłan wszedł tam na czas, by dojrzeć Pan-sata, wkraczającego do miasta za budynkiem rozłożonego.

Gdy tamten znikł za najbliższym zakrętem, tropiciel wyszedł za drzwi i rozejrzał się po okolicy. Nad nim, może o jakieś sto łokci, połyskiwały białe ściany pałacu. Nie uważał za stracony czas, który mu dał sposobność poznania tajnego przejścia między świątynią a miastem, chociaż żałował każdej chwili, oddalającej go od głównego celu. Wydało się to mu nawet pożytecznym dla wykonania zuchwałego planu, jaki sobie ułożył na podstawie podsłuchanej rozmowy między Ludonem i Pan-satem, u zasłony komnaty najwyższego kapłana.

Sam przeciwko podejrziwemu i dzikiemu ludowi — nie mógł liczyć na pomyślny wynik wielkiego przedsięwzięcia, od którego zależało życie i szczęście najukochańszej istoty. Musiał zdobyć sobie sprzymierzeńców i w tym celu poświęcił cenne minuty. Teraz już jednak nie należało tracić czasu.

Bez trudności minął strażę przy wejściu pałacowym, gdyż przebranie kapłańskie usuwało wszelkie podejrzenia. Zbliżając się do wojowników, założył ręce z tyłu i zaufał losowi, że może światło pochodni nie zdradzi jego niepal-ul-dońskich stóp. Przywykli do widoku kapłana, strażnicy nie zwrócili na niego uwagi, dzięki temu bez przeszkody wszedł do pałacowego ogrodu.

Ogród był pusty, nigdzie śladu tej, której poszukiwał. Z podsłuchanej rozmowy dowiedział się, że tu ją wprowadzono, wiedział też, że najwyższy kapłan nie miał czasu, ani sposobności zabrać ją stąd. Wiedział, że ogród był przeznaczony wyłącznie na użytek księżniczki i jej kobiet. Z tego wszystkiego dawał się wysunąć wniosek, że jeśli Janinę przyprowadzono do ogrodu, stać się to mogło tylko na rozkaz Ko-tana. Rozumując dalej, doszedł do przekonania, że znajdzie ją w innej części apartamentów O-lo-a.

Nie wiedział, gdzie się znajdowały, należało jednak przypuszczać, że musiały przylegać do ogrodu. Znowu więc wspiał się na mur i okrążywszy go, skierował się ku wejściu, które według jego obliczeń powinno być prowadzić do części pałacu, leżącej najbliżej Zakazanego Ogrodu.

Ku swemu zdziwieniu zastał drzwi nie strzeżone. Z zewnętrznej komnaty dobiegły jego uszu podniesione, gniewne głosy. Kierując się tymi dźwiękami, spiesznie minął liczne korytarze i komnaty, aż stanął wreszcie przed zasłonami, oddzielającymi go od apartamentu, skąd dochodził odgłos sprzeczki. Lekko uniósłszy skóry, zajrzał do wnętrza. Dwie kobiety szamotały się z wojownikiem ho-dońskim. Jedną była córka Ko-tana, drugą — Pan-at-lee Kor-ul-janka.

W chwili gdy Tarzan podniósł zasłonę, wojownik powalił O-lo-a na ziemię i chwyciwszy Pan-at-lee za włosy, wyciągnął nóż i wznosił go nad jej głową. Człowiek-małpa odrzucił zawadzający mu strój z głowy, skoczył ku brutalowi i wymierzył mu potężny cios w głowę.

Kobiety natychmiast poznały Tarzana. Pan-at-lee padła na kolana i byłaby głową dotknęła jego stóp, gdyby niecierpliwym gestem nie nakazał jej powstać. Nie miał czasu na słuchanie jej dziękczynień, ani na odpowiadanie na niezliczone pytania, jakimi niewątpliwie zamierzały go

zasypać.

— Powiedzcie mi — zawołał — gdzie jest kobieta mojej rasy, którą Ja-don tu przyprowadził ze świątyni?

— Tylko co odeszła — zawołała O-lo-a — Mo-sar, ojciec tego tu oto — palcem wskazała trupa Bu-lota — porwał ją i uniósł.

— Którędy? Prędko mówcie, w jakim kierunku ją zabrał?

— Tędy! — zawołała Pan-at-lee, wskazując na drzwi, którymi Mo-sar wyszedł. — Chcieli zabrać księżniczkę i obcą kobietę do Tu-luru, grodu Mo-sara nad Ciemnym Jeziorem.

— Idę jej szukać — rzekł do Pan-at-lee. — To moja małżonka. Jeśli dożyję, znajdę sposób oswobodzenia cię i oddania Om-atowi...

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, znikł za zasłonami.

Korytarz, którym biegł, był źle oświetlony i wił się w górę i na dół, wreszcie skończył się podwórzem, pełnym wojowników. Była to część straży pałacowej, wezwana przez jednego z pomniejszych wodzów na pomoc wojownikom Ko-tana w walce, szalejącej w sali biesiadnej.

Na widok Tarzana, który w pośpiechu zapomniał nałożyć maskę, rozległy się okrzyki: — Bluźnierca! Pokalał świątynię! — nieliczne głosy odezwały się: — Dor-ul-Otho! — co wskazywało, że niektórzy wciąż jeszcze trwali w wierze w jego boskość.

Nawet dla olbrzymiego człowieka-małpy niepodobieństwem było z nożem tylko w ręku przebyć podwórzec, wypełniony zbrojnymi mężczyznami. Trzeba było uciec się do wybiegu, i to bezzwłocznie, bo już skupiali się dokoła niego.

— Stójcie! — zawołał, wznosząc ku nim dłonie. — Jam jest Dor-ul-Otho i przynoszę wam zlecenie Ja-dona, który z woli mego ojca ma zostać waszym królem po śmierci Ko-tana. Lu-don, najwyższy kapłan uplanował zając pałac i zniweczyć wiernych wojowników, by Mo-sar został królem — Mo-sar, który stałby się igraszką i narzędziem Lu-dona. Pójdźcie za mną. Nie ma czasu do stracenia, jeśli chcecie zdradcom, których Lu-don zorganizował w mieście, przeszkodzić we wkroczeniu do pałacu tajnym przejściem i pokonaniu Ja-dona wraz z wiernymi wojownikami.

Wahali się przez chwilę. Wreszcie jeden przemówił: — Jaką mamy pewność, że ty właśnie nas nie zdradzasz i odwodząc od bitwy w sali biesiadnej, nie chcesz spowodować porażki tych, którzy walczą po stronie Ja-dona.

— Moje życie jest w waszych rękach — odparł Tarzan. — Jeśli przekonacie się, że nie mówię prawdy, jest was dostateczna liczba, byście mogli wymierzyć mi karę. Ale pójdźcie, nie ma czasu do stracenia. Niżsi kapłani już gromadzą wojowników w mieście — i nie czekając dalej, ruszył wprost ku nim w kierunku bramy podwórca, wiodącej do głównego wejścia na tereny pałacowe.

Pociągnięci jego wyższą inicjatywą i potęgą nakazu, właściwą urodzonym przywódcom, poszli za nim — za olbrzymim człowiekiem-małpą z martwym ogonem, zamiatającym za nim ziemię — półbogiem w położeniu, w którym każdy inny wydałby się śmieszny. Poprowadził ich do miasta i w dół do skromnego budynku, ukrywającego potajemne przejście Lu-donowe z miasta do świątyni. Gdy okrążyli ostatni zakręt, ujrzeni gromadę wojowników, szybko się zwiększającą przybyszami ze wszystkich stron, gdyż zdrajcy A-lurscy zmobilizowali się na wezwanie kapłanów.

— Teraz — rzekł człowiek-małpa — gdy dopełniłem obietnicy, pójdę za Mo-sarem, który ciężką mi wyrządził krzywdę. Powiedzcie Ja-donowi, że Jad-ben-Otho z nim trzyma, nie zapomnijcie też powiedzieć mu, że to Dor-ul-Otho zniweczył plany Lu-dona opanowania pałacu.

— Nie zapomnę — odparł wódz. — Idź swoją drogą. Dostyc jest tu nas, by dać radę zdradcom.

— Powiedz mi — zapytał Tarzan — jak rozpoznam gród Tu-lur?

— Leży na południowym wybrzeżu drugiego jeziora poniżej A-luru — odrzekł wódz. — Jezioro

nazywa się Jad-in-lul.

Zbliżyli się do gromady zdrajców, którzy widocznie mniemali, że to nowy oddział ich bandy i nie bronili się, ani uciekali.

Nagle wódz wydał dziki okrzyk wojenny, podjęty natychmiast przez jego wojowników i oddział rzucił się na zaskoczonych buntowników.

Zadowolony z wyniku swego pomysłu i pewien, że zepsuł szyki Lu-donowi, Tarzan zwrócił swe kroki ku krańcom miasta w poszukiwaniu tropu, wiodącego na południe do Tu-luru.

# Rozdział XVII

## Na wolności

Janina, porwana przez Mo-sara, bezustannie walczyła o odzyskanie wolności. Próbował zmusić ją, by szła, mimo jednak jego gróźb i razów, nie chciała dobrowolnie jednego kroku zrobić w żądanym przez niego kierunku. Rzuciła się na ziemię, ilekroć chciał ją postawić na nogi, zmuszony więc był ją nieść. Musiał związać jej ręce i założyć knebel, by uchronić się od okaleczeń, gdyż pod piękną i smukłą powierzchownością kobiety kryły się odwaga i siła. Gdy nareszcie doszli do miejsca, gdzie oczekiwali jego wojownicy, z ulgą oddał ją pod opiekę swych ludzi, ci wszakże również musieli ją nieść.

W ten sposób zeszedli ze wzgórz, w których wykute jest A-lur, do łąk, okalających dolną część Jad-ben-lulu. Przy biegu jeziora stała flotylla mocnych łodzi i do jednej z nich, na znak dany przez Mo-sara, wrzucili wojownicy brankę, Mo-sar stanął obok niej, gdy tymczasem wojownicy zajmowali miejsca w łodziach i wybierali wiosła.

— Pójdź, o piękna — rzekł — bądźmy przyjaciółmi, a nie stanie ci się żadna krzywda. Mo-sar będzie łagodnym panem, jeśli będziesz mu posłuszną — i w nadziei, że to wywrze na niej dobre wrażenie, wyjął knebel z jej ust i rozwiązał ręce. Wiedział, że nie zdoła uciec, będąc otoczona wojownikami, a teraz, gdy się znaleźli na jeziorze, była tak dobrze uwięziona, jak gdyby trzymał ją za kratami.

Flotylla przy łagodnym plusku setki wiosła unosiła się po zakrętach rzek i jezior, przez które wody doliny Jad-ben-Otho, wsiąkają w wielkie trzęsawiska na wschodzie. Wojownicy, przyklękawszy na jedno kolano, wiosłowali, a Mo-sar, znużony bezowocnymi próbami wydobywania odpowiedzi od ponurej branki, skulił się na dnie łodzi i zasnął.

Płynęli tak wśród ciszy między zielonymi wybrzeżami wód, to w blasku księżyca, to wśród gęstych cieni wielkich drzew, obrastających rzekę, i wypłynęli wreszcie na wody jeziora.

Janina Clayton siedziała w tyle ostatniej łodzi, baczna na wszystko. Całe miesiące spędziła pod ścisłym nadzorem, najpierw jako więzień jednej bezlitosnej rasy, potem jako więzień innej znowu. Od dawno minionego dnia, gdy kapitan Fritz Schneider i jego oddział krajowych żołnierzy niemieckich zdradziecko dokonał dzieła zniszczenia w bungalowie Greystoke'a i zabrał ją do niewoli, ani razu nie odetchnęła swobodnie. Dobrotliwej Opatrzności przypisywała to, że przeżyła zdrowo i cało niezliczone niebezpieczeństwa.

Najpierw na rozkaz Głównego Dowództwa Niemieckiego trzymana była jako zakładniczka i przez te pierwsze miesiące obchodzono się z nią dobrze. Gdy zaś ku końcowi wschodnioafrykańskiej kampanii, powodzenie opuściło Niemców, postanowili odesłać ją dalej do Afryki. Teraz mściwość wyłącznie kierowała nimi, gdyż przestała już przedstawiać dla nich wartość militarną. Rozgoryczeni zaiste byli Niemcy przeciwko jej półdzikiemu małżonkowi, który przebiegle nękał ich wrogimi prześladowaniami i doprowadził do znacznego obniżenia ducha na odcinku, który obrał za teren

swych działań. Jemu przypisywali śmierć wielu oficerów i utratę całej sekcji okopów, która spowodowała zgubny dla Niemców zmianę w ustosunkowaniu do armii angielskiej. Tysiące razy żalowali wyrządzonej mu krzywdy, gdyż on tysiąckrotnie odplacił im za ich bezmyślne okrucieństwo. Teraz, niezdolni na nim wyrzucić zemsty, wpadli na pomysł zadawania cierpień jego żonie.

Wysyłając ją w głąb Afryki, jako eskortę dla niej wybrali porucznika Ericha Obergatza, który był w kompanii Schneidra i który jedynie uniknął niszczycielskiej zemsty człowieka-małpy. Obergatz długo trzymał ją w krajowej wiosce, której wódz wciąż był pod strachem okrutnych ciemężycieli niemieckich. Tu z początku przeżywała tylko ciężkie mozoły i niewygody, gdyż Obergatza na wodzy trzymały rozkazy odległych zwierzchników. Z czasem jednak życie stało się prawdziwym piekłem na widok okrucieństw, dokonywanych przez aroganckiego Prusaka nad wieśniakami i członkami jego krajowej kompanii. Czas ciążył porucznikowi i beczynność, połączona z osobistymi niewygodami, które musiał znosić, sprawiły, że jego i tak bynajmniej niełagodne usposobienie znajdowało ujście najpierw w drobnych utarczkach z krajowcami, później w znęcaniu się po prostu nad nimi.

Czego nie widział zaślepiony Prusak, to jasne było dla Janiny Clayton — że sympatie jego krajowych żołnierzy były po stronie wieśniaków i że wszyscy byli tak przemęczeni jego nadużyciami, że wystarczyłaby najdrobniejsza iskra, by wybuchła mina zemsty i nienawiści, usilnie przez tępego Prusaka wywoływanych.

Wreszcie przyszła owa iskra, z niespodzianego źródła, w postaci krajowca niemieckiego, który przybył z placu boju. Z opuchniętymi nogami, zmęczony i wycieńczony, przywłókł się do wioski pewnego popołudnia i zanim Obergatz spostrzegł jego obecność, cała wioska dowiedziała się, że skończyło się panowanie Niemców w Afryce. Niebawem krajowi żołnierze porucznika zrozumieli, że przestała istnieć władza, która trzymała ich na służbie i że wraz z nią znikła możliwość otrzymywania nędznego żołdu. Obergatz stał się dla nich tylko bezsilnym i znenawidzonym cudzoziemcem. Los jego szybko zostałby rozstrzygnięty, gdyby nie pewna kobieta miejscowa, która po psiemu przywiązała się do Janiny Clayton i pośpieszyła uprzedzić ją o dojrzewających planach morderczych, losy bowiem niewinnej kobiety związane były nierozłącznie z losami zbrodniczego Prusaka.

— Teraz kłóć się o to, który ma cię wziąć — powiedziała Janinie.

— Kiedy mają przyjść po nas? — zapytała Janina. — Słyszałaś, jak o tym mówili?

— Dzisiejszej nocy — odrzekła kobieta — gdyż jeszcze się go boją; chcą przyjść w nocy i zabić, gdy będzie spał.

Janina podziękowała kobiecie i odesłała ją czym prędzej, by nie wzbudziła podejrzeń w swych współplemieńcach, że ostrzegła białych, sama zaś poszła wprost do chaty, zajmowanej przez Obergatza. Nigdy tam nie chodziła, toteż Niemiec ze zdziwieniem spojrzął na swego gościa.

Pokrótkie opowiedziała mu, co wiedziała. Z początku skłonny był drwić arogancko, lecz ze stanowczością nakazała mu milczenie.

— Bezżyteczne to gadanie — rzekła. — Sam pan ściągnął na siebie nienawiść tych ludzi. Niezależnie od tego czy wiadomości, jakie otrzymali są prawdziwe, czy mylne, oni w nie wierzą. Pozostaje panu tylko ucieczka. Nim ranek nadejdzie, oboje umrzemy, jeśli nie zdołamy niepostrzeżenie umknąć z wioski. Jeśli pan pójdzie teraz do nich ze swymi głupimi wymaganiami posłuchu, umrze pan trochę wcześniej, oto i wszystko.

— Pani sądzi, że jest aż tak źle? — zapytał z wyraźną zmianą tonu i zachowania.

— Jest tak, jak panu mówię — odparła. — Dzisiejszej nocy przyjdą i zabiją pana podczas snu. Proszę mi dostarczyć pistoletów, karabinu i amunicji; udamy, że idziemy do dżungli na polowanie. Może to, że będę panu towarzyszyła, wzbudzi podejrzenia, ale to trudno. I proszę, panie poruczniku,

po swojemu kłąć i wymyślać i szturchać swych służących, aby nie zauważyli zmiany w pańskim zachowaniu i spostrzegłszy się, że pan jest w strachu, nie domyślili się, jakie są pańskie zamiary. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjdziemy na polowanie i więcej nie wrócimy. Musi pan jednak wpierw przysiąc, że mnie pan nie skrzywdzi, inaczej raczej wezwę wodza i wydam mu pana, po czym odbiorę sobie życie.

— Przysięgam — rzekł uroczyście — w imię Boga i mego cesarza, że żadna krzywda z mej strony nie spotka pani, lady Greystoke.

— Dobrze więc — powiedziała — zawieramy układ, że będziemy sobie nawzajem pomagali, aż do powrotu do świata cywilizowanego. Proszę jednak pamiętać, że nie żywię i nigdy żywić nie będę cienia szacunku dla pana. Tonący brzytwy się chwyta, a ja tonę. Miej to wciąż w pamięci, Niemcze.

Obergatz postarał się o broń dla Janiny i o amunicję. W swój zwykły, arogancki sposób wezwał służących i oświadczył im, że wraz z białą kali udaje się na polowanie. Przewodniczący mają pójść na północ, aż ku wzgórzom i okrążyć na wschód z powrotem do wioski. Niosącym broń nakazał z wolna ruszyć przodem ku wschodowi i zaczekać na niego i Janinę przy brodzie, o pół mili odległym. Czarni z większym niż zazwyczaj pośpiechem wykonali rozkazy. Janina i Obergatz zauważyli ich szeptem i śmiechy. — Świnie, uważają za świetny żart — mruknął Obergatz — że przed samą śmiercią idę po mięso dla nich.

Zaledwie służący znikli w dżungli, Europejczycy poszli tym samym tropem. Nikt im nie przeszkadzał, gdyż i żołnierze, i wieśniacy radzi byli, że biali przyniosą im po raz ostatni przed śmiercią zwierzyny.

Uszedłszy ćwierć mili, Obergatz zawrócił na południe od tropu, wiodącego do brodu, i oboje z Janiną spieszenie zaczęli oddalać się od wioski. Wiedzieli, że w nocy nie groziła im pogoń, gdyż wieśniacy w zbyt wielkim mieli poważaniu Numę — lwa, by bez potrzeby opuszczać swe palisady w czasie łowów króla zwierząt.

Zaczęły się straszne dni i pełne trwogi noce wśród przebijania się na południe poprzez niepojęte prawie trudy i niebezpieczeństwa, wybrzeże wschodnie było bliższe, ale Obergatz stanowczo odmówił obrania kierunku, który mógłby go narazić na spotkanie z Anglikami, naglił natomiast, by próbowali przedrzeć się przez nieznane, dzikie okolice do Afryki Południowej. Tam wśród Boerów, pewien był, że znajdzie życzliwych sympatyków, którzy pomogą mu w powrocie do Niemiec. Kobieta zmuszona była mu towarzyszyć. Wędrówka doprowadziła ich poprzez góry do doliny Jadben-Otho. Tam pochwycił ich oddział myśliwych ho-dońskich. Obergatz uciekł, Janina dostała się do niewoli i została zaprowadzona do A-luru. Od tego czasu nie doszedł ją żaden słuch o Niemcu, nie wiedziała więc, czy zginął, czy też udało mu się przedostać do Afryki Południowej.

Co do niej, więziono ją na przemian to w pałacu, to w świątyni, zależnie od tego, czy Ko-tanowi, czy Lu-donowi udało się chwilami wyrwać ją sobie nawzajem za pomocą wybiegów i intryg.

Teraz znalazła się w mocy nowego zdobywcy, o którym wiedziała z opowiadań w pałacu i świątyni, że był ambitny i znikczemiały. Znajdował się w ostatniej łodzi, wrogowie byli plecami do niej zwrócenii, a prawie u jej stóp chrapał Mo-sar.

Ciemne wybrzeże wznosiło się ku południowi, gdy Janina Clayton, lady Greystoke, wysliznęła się z łodzi do zimnej wody jeziora. Nie poruszyła się prawie, dopóki łodzi nie stały się ledwie widzialne w ostatnich promieniach zachodzącego księżyca. Wówczas popłynęła ku południowemu wybrzeżu.

Sama, bezbronna, naga nieomal, w okolicy, rojącej się od dzikich zwierząt i wrogich ludzi, poczuła po raz pierwszy od wielu miesięcy ulgę i radość. Była wolna! Wydostawszy się na ląd, z trudnością powstrzymała okrzyk szczęścia i triumfu.



Gdybyż jej potężny małżonek był tu obok niej! Cóż by to było za najwyższe szczęście i radość! Niczego więcej nie pragnęła. Nie nęciły jej rozkosze miejskie, wygody i zbytek miejsc cywilizowanych. Wszystko to było niczym wobec cudownej wolności dżungli.

W ciemnościach zaryczał lew, przenikając ją dreszczem. Włosy stały jej na głowie — nie czuła jednak strachu. Mięśnie, odziedziczone po jakimś pierwotnym przodku, instynktownie zareagowały na bliskość pradawnego wroga — ot i wszystko. Z wolna ruszyła w las. Lew powtórnie zaryczał — bliżej teraz. Poszukała gałęzi, której mogła ręką dosięgnąć, i z łatwością wzniosłszy się na drzewo, znalazła bezpieczne schronienie. Długa i uciążliwa wędrówka z Obergattem wyćwiczyła jej mięśnie i nerwy. Zimno jej było i niewygodnie, spała jednak, gdyż serce jej ogrzała odrodzona nadzieja i zmęczony jej mózg znalazł chwilowe zapomnienie udręczeń.

Spała dopóki nie zbudziło jej słońce, wysoko stojące na niebie. Czuła się wypoczęta, ciepło jej było, całą jej istotę przenikało uczucie szczęścia. Podniósłszy się na swym łagodnie bujającym się łożu, z rozkoszą przeciągnęła swe nagie członki. Leniwe ruchy gładkiego ciała, na którym słońce, przeświecające poprzez liście, malowało barwne plamy, nadawały jej podobieństwo do tygrysy. Baczenie rozejrzała się po ziemi, uważnie przysłuchiwała się, czy nie dochodzi ostrzegawczy dźwięk, który by zdradził bliskość wrogów, ludzi czy zwierząt; wreszcie uspokojona, że nic jej nie grozi, zeskoczyła na murawę. Łaknęła kąpieli, jezioro jednak było zbyt oddalone od drzew, zapewniających jej ochronę. Bez celu zaczęła krążyć po lesie, znajdując obfitość pożywienia. Nasyciwszy głód, spoczęła. Zbyt świeżą była odzyskana wolność, by ją psuć projektami na przyszłość. Chciałaby żyć tu w pokoju, czekając na niego. Odżyły dawne nadzieje. Wiedziała, że jeśli żyje, przyjdzie tu po nią. Wiedziała to zawsze, choć przypuszczała, że może zjawi się za późno. Jeśli żyje! Tak, jeśli żyje, przyjdzie po nią, jeśli zaś umarł, będzie jej równie dobrze tu jak gdzie indziej, gdyż wówczas pozostawałoby jej jedynie czekać cierpliwie śmierci.

Krążąc tak bez celu doszła do kryształowego źródła. Tu napiła się i wykapała pod drzewem, zapewniającym jej bezpieczeństwo. Było to piękne i spokojne miejsce i od razu je pokochała. Na dnie źródła widać było ładne kamyki i szkliste obsydiany\*. Zebrawszy garść tych odłamków, spostrzegła, że palce jej krwawią. Zaczęła szukać przyczyny skaleczenia i przekonała się, że rozcięła palce o jeden z obsydianów, którego brzeg był ostry jak brzytwa. Sam Bóg dawał jej w ręce materiał, z którego będzie mogła zrobić sobie broń.

Uradowana, nazbierała pełną torbę cennych kamieni, po czym wspięła się na drzewo, by je spokojnie obejrzeć. Jedne przypominały ostrze noża, inne nadawały się na koniec włóczni, drobniejsze zdawały się stworzone na końce strzał.

Najpierw spróbuję zrobić włócznię — to będzie najłatwiejsze. W pniu drzewa była dziupla, tam schowała swe skarby, prócz jednego, do noża podobnego ostrza. Zeszła na ziemię, wyszukała drzewo, wystrzelające w górę jak strzała. Ostрым kamieniem je nadcięła i podpiłowywała poty, póki go nie mogła ułamać, bez uszkodzenia miąższu. Miało średnicę w sam raz odpowiednią na drzewce włóczni — włóczni myśliwskiej takiej, jakiej najchętniej używali jej ukochani Waziri. Jakże często przyglądała się, gdy je wyrabiali. Od nich także nauczyła się władania także ciężkimi włóczniami wojennymi, a oni śmiali się i klaskali w ręce, patrząc na jej postępy w nauce.

Znała pnące się trawy, zawierające najdłuższe i najmocniejsze włókna; nazbierała ich i zaniosiła na drzewo wraz z przyszłą włócznią i nucąc piosenkę, zabrała się do roboty. Spostrzegłszy się, że nuci, uśmiechnęła się — pierwszy to raz od wielu miesięcy piosenka wyszła z jej ust i pogodny uśmiech przewinął się po jej wargach.

— Czuję — westchnęła — czuję nieomal, że John jest w pobliżu — mój John — mój Tarzan!

Ścięła drzewce włóczni do odpowiedniej długości i póty je wygładzała, aż jego powierzchnia

nabrała połysku. Na jednym końcu zrobiła szparę i osadziła w niej ostrze. Dokonawszy tego, odłożyła włócznię na bok i zabrała się do dzielenia grubych traw na włókna. Zeszła do źródła i tam je wymyła, po czym — wróciwszy na drzewo — mocno je uplotła dokoła szpary w drzewcu, które poprzednio nakarbowwała, jak również dokoła włóczni, również z lekka kamieniem nakarbowanej. Była to bardzo pierwotna włócznia, lepszej jednak nie mogła zrobić w tak krótkim czasie. Później — obiecywała sobie — zrobi inne, dużo innych, a będą to włócznie, którymi mogliby się poszczycić nawet najdzielniejsi Waziri.

# Rozdział XVIII

## W jaskini lwa

Tarzan prawie do świtania przeszukiwał krańce miasta, lecz nigdzie nie natrafił na ślad swej żony. Ranny powiew przyniósł mu od gór rozliczne zapachy, ale wśród nich nie wyczuł najlżejszej wskazówki co do poszukiwanej. Stąd prosty wniosek, że musiano ją gdzie indziej zabrać. W ciągu poszukiwań wielokrotnie mijał świeże trupy, wiodące ku jezioru i doszedł do przekonania, że w tym właśnie kierunku uprowadzono Janinę. Ruszył więc tym tropem ku brzegom Jad-ben-ulu, skąd wypłynął na ciche wody oddział Mo-sara w mocnych łodziach.

Wzdłuż wybrzeża znalazł dużo innych podobnych łodzi, siadł więc do jednej z nich i puścił się w pogoń. O świcie minął jezioro, leżące poniżej Jad-ben-ulu, i spieszenie wiosłując, przepłynął tuż obok drzewa, na którym Janina Clayton leżała uśpiona.

Gdyby wietrzyk, marszczący powierzchnię jeziora, powiewał od strony południowej, olbrzymi człowiek-małpa i Janina Clayton byliby się niezwłocznie spotkali, lecz zły los chciał inaczej i łódź niebawem wpłynęła na rzekę.

W jednej z zatok górnego biegu tej rzeki Mo-sar i jego wojownicy wylądowali i dopiero wówczas wódz zauważył nieobecność branki.

Ponieważ Mo-sar zasnął wkrótce po opuszczeniu A-luru, a żaden z wojowników nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ją po raz ostatni widział, niepodobna było nawet w przybliżeniu ustalić miejsce, w którym uciekła. Zgodnie jednak doszli do wniosku, że musiało się to stać w wąskiej rzece, wpadającej do Jad-ben-lulu, z jeziorem poniżej, zwanym Jad-bal-lul. Mo-sar wpadł we wściekłość, a ponieważ sam był głównym winowajcą, usilnie zwał winę na innych.

Wróciłby chętnie, gdyby nie obawa napotkania ścigających go oddziałów, wysłanych przez Jadona lub najwyższego kapłana, którzy obaj, jak dobrze wiedział, mieli słuszne powody do niezadowolenia z niego. Zamiast więc zawrócić na poszukiwanie zbiegłej, czym prędzej ruszył naprzód.

Poranne słońce rzucało właśnie pierwsze promienie na białe kopuły Tu-luru, gdy wiosłarze Mo-sara zatrzymali łodzie w przystani u skraju miasta. Czując się bezpieczny za własnymi murami i pod osłoną licznych wojowników, wódz poczuł dostateczny przyływ odwagi, by wysłać trzy łodzie na poszukiwanie Janiny Clayton, polecając im zarazem dotrzeć jak najbliżej A-luru, celem zasięgnięcia wiadomości, co zatrzymało Bu-lo-ta. Brak ostatniego w chwili ucieczki z północnego grodu nie powstrzymał był odjazdu Mo-sara, gdyż własne bezpieczeństwo było dla niego znacznie ważniejszą sprawą niż bezpieczeństwo syna.

Gdy trzy łodzie dosięgły zatoki, w której byli się poprzednio zatrzymali, wojownicy, wyciągający czołna na brzeg, spostrzegli dwóch kapłanów w lekkiej łódce, niosącej ich w kierunku Jad-in-lulu. Z początku mniemali, że to awangarda znaczniejszych sił zwolenników Lu-dona, chociaż wiedzieli, że kapłani nigdy nie puszczali się na niepewne losy wojny i nigdy nie walczyli, o ile nie zmuszała ich do

tego ostateczność. W głębi duszy Pal-ul-dońscy wojownicy mieli w pogardzie zniewieściały kler, toteż zamiast natychmiast przedsięwziąć kroki napastnicze, co byliby uczynili, gdyby ci dwaj byli wojownikami A-lurskimi, spokojnie oczekiwali zbliżenia kapłanów.

Ci na widok wojowników dali do zrozumienia, że przybywają w zamiarach pokojowych, a zapytani, czy są sami, odpowiedzieli twierdząco.

Dowódca wojowników Mo-sarowych pozwolił im się przybliżyć.

— Co tu robicie — zapytał — w krainie Mo-sara, tak daleko od własnego grodu?

— Wieziemy poselstwo Lu-dona Mo-sarowi — wyjaśnił jeden.

— Czy to poselstwo wojny, czy pokoju? — pytał dalej wojownik.

— Pokoju — odparł kapłan.

— Lu-don nie śle za wami wojowników? — zapytał zbrojny mąż.

— Sami jesteśmy — zapewnił kapłan. — Nikt w A-lurze, prócz Lu-dona, nie wie o naszej wyprawie.

— Jedźcie więc dalej — rzekł wojownik.

— Kto to? — zapytał nagle jeden z kapłanów wskazując na miejsce jeziora, gdzie wpadała do niego rzeka Jad-bal-lul.

Oczy wszystkich zwróciły się na samotnego wojownika, szybko wiosłującego w kierunku Tu-luru. Wojownicy i kapłani ukryli się w zaroślach.

— To ten straszliwy człowiek, który się nazwał Dor-ul-Otho — szepnął jeden kapłan. — Poznałbym tę postać, gdziekolwiek bym ją ujrzał.

— Nie mylisz się, kapłanie! — zawołał wojownik, który widział Tarzana w pałacu Ko-tana. — W samej rzeczy to ten, którego słusznie zowią Tarzan-jad-guru.

— Śpieszcie kapłani! — zawołał przywódca oddziału. — Macie dwa wiosła w lekkim czółenku. Możecie z łatwością wyprzedzić go i ostrzec Mo-sara o jego zbliżaniu się.

Kapłani wahali się przez chwilę, nie pragnęli bowiem spotkania z groźnym człowiekiem, ale wojownicy nalegali, posunęli się nawet do gróźb. Wzięli ich łódkę, pchnęli ją na jezioro i przemocą ich w niej usadowili. Niebawem kapłani znaleźli się w polu widzenia samotnego wiosłarza. Teraz już nie mieli wyboru. Tu-lur obiecywało im bezpieczeństwo, wzięli więc czym prędzej za wiosła.

Wojownicy ukryli się znowu w zaroślach. Jeśli Tarzan ich dojrzał i przyjdzie do nich, było ich trzydziestu przeciw jednemu, nie bali się więc wyniku zetknięcia. Nie uważali jednak za potrzebne wypływać na jezioro na jego spotkanie, gdyż wysłano ich na poszukiwanie zbiegłej branki, a nie w celu pochwylenia obcego wojownika, o którego męstwie i zręczności dużo słyszeli.

Ten dalej spiesznie wiosłował w kierunku miasta, nie zważając wcale na dwóch kapłanów, których teraz doskonale musiał widzieć. Gdy czółenko dobiło do przystani, kapłani wyskoczyli na brzeg i pośpieszyli do miasta, rzucając trwożliwe spojrzenia poza siebie. Zażądali natychmiastowego widzenia z Mo-sarem, ostrzegłszy przedtem straż o zbliżaniu się Tarzana.

Zaprowadzono ich bez zwłoki przed oblicze wodza, którego dwór był, w małych co prawda rozmiarach, wzorowany na dworze króla A-luru.

— Przybywamy od Lu-dona najwyższego kapłana — przemówił jeden z posłów. — Pragnie on przyjaźni Mo-sara, który zawsze był jego przyjacielem. Ja-don zbiera wojowników, by ogłosić się królem. Wśród wiosek ho-dońskich znajdują się tysiące, które chętnie dadzą posłuch rozkazom Lu-dona, najwyższego kapłana. Mo-sar może zostać królem li tylko z pomocą Lu-dona. Lu-don śle Mo-sarowi ostrzeżenie, że jeśli chce zachować przyjaźń Lu-dona, musi natychmiast zwrócić obcą kobietę, którą zabrał z apartamentów księżniczki O-lo-a.

W tej chwili wszedł bardzo podniecony wojownik. — Dor-ul-Otho przybył do Tu-luru i żąda

bezzwłocznie rozmowy z Mo-sarem — rzekł.

— Dor-ul-Otho! — wykrzyknął Mo-sar.

— Tak on mówi — odparł wojownik — i zaiste, nie jest on jak nasi ludzie z pa-ul-donu. Przypuszczamy, że to ten sam, o którym wojownicy, którzy wrócili z A-luru, opowiadali nam i którego niektórzy zwą Tarzan-jad-guru, inni zaś Dor-ul-Otho. Tylko syn boski ważyłby się sam jeden przybyć do obcego grodu, musi więc prawdą być, co o sobie mówi.

Mo-sar, pełen strachu i niepewności, zwrócił pytające spojrzenia na kapłanów.

— Przyjm go uprzejmie, Mo-sarze — doradzał ten, który przedtem przemawiał — przyjm go uprzejmie, a gdy nabędzie pewności, żeś dla niego życzliwie usposobiony, przestanie mieć się na baczności. Wówczas uczynisz z nim, co zechcesz. Wszakże, o ile to będzie możliwe i jeśli chcesz zasłużyć na wdzięczność do grobu ze strony Lu-dona, zachowaj go żywym dla mego pana.

Mo-sar skinął głową na znak, że zrozumiał, i rozkazał wojownikowi przyprowadzić gościa.

— Nie trzeba, by nas tu zastał — rzekł jeden z kapłanów.

— Daj nam odpowiedź dla Lu-dona, a odejdziemy, zanim się zjawi.

— Powiedźcie Lu-donowi — odparł wódz — że gdyby nie ja, kobieta byłaby dla niego na wieki przepadła. Chciałem ją sprowadzić do Tu-luru, by ukryć przed szponami Ja-dona i zachować dla najwyższego kapłana, ale uciekła w ciągu nocy. Powiedźcie Lu-donowi, że wysłałem trzydziestu wojowników na poszukiwanie jej. Dziwne, żeście ich po drodze nie napotkali.

— Spotkaliśmy ich — rzekli kapłani — ale nic nam nie mówili o celu swej podróży.

— Tak jest, jak wam mówię — powiedział Mo-sar. — Jeśli ją znajdą, zapewnijcie swego pana, że przechowam ją nietkniętą w Tu-lurze dla niego. Powiedźcie mu także, że wyślę swoich wojowników, by połączyli się z nim przeciwko Ja-donowi, skoro tylko przyśle wieść, że mu są potrzebni. Teraz oddalcie się, gdyż wkrótce nadejdzie Tarzan-jad-guru.

Skinął na niewolnika. — Zaprowadź kapłanów do świątyni — rozkazał — i poproś najwyższego kapłana Tu-luru, by ich nakarmił i pozwolił im powrócić do A-luru, gdy tego zechcą.

Gdy jednymi drzwiami wyprowadzono kapłanów, drugimi wkroczył do komnaty Tarzan-jad-guru, poprzedzany przez wojownika, którego obowiązkiem było go wprowadzić. Człowiek-małpa nie uczynił gestu powitania lub pokojowych zamiarów, lecz stanął wprost przed wodzem, który całej siły woli musiał użyć, by ukryć trwogą na widok olbrzymiej postaci i groźnego oblicza.

— Jestem Dor-ul-Otho — przemówił Tarzan spokojnym, jak stał zimnym, głosem. — Jestem Dor-ul-Otho i przybywam do Tu-luru po kobietę, którą wykradłeś z apartamentów księżniczki O-lo-a.

Zuchwalstwo, z jakim Tarzan wszedł do wrogiego miasta, dawało mu wielką przewagę moralną nad Mo-sarem i dzikimi wojownikami, stojącymi po obu stronach wodza. Mniemali, że nikt inny, prócz syna Jad-ben-Otho'a, nie ważyłby się na tak bohaterski czyn. Czyżby ośmielił się tak postępować zwykły śmiertelnik? Mo-sar chwiał się w swym postanowieniu oszukania przybyłego pozorami przyjaźni. Zbladł nawet na niespodziewaną myśl, że Jad-ben-Otho zna wszystko, nawet nasze najskrytsze zamiary. A jeśli ta istota była w rzeczy samej Dor-ul-Otho i czytała w tej chwili zdradzieckie plany, jakie kapłani mu podszeptali. Wódz poruszył się niespokojnie na ławie, w skale wykutej, która była jego tronem.

— Śpiesz się — warknął człowiek-małpa — gdzie jest kobieta.

— Nie ma jej tu! — zawołał Mo-sar.

— Jad-ben-Otho świadkiem, że nie ma jej w Tu-lurze — upierał się wódz. — Możesz przeszukać pałac i świątynię, i całe miasto i nie znajdziesz, bo nie ma jej tu.

— Więc gdzie jest — zapytał człowiek-małpa. — Porwałes ją z pałacu A-lurskiego. Jeśli jej tu

nie ma, gdzie jest? Nie waz się powiedziec, że spotkało ją coś złego — i groźnie postąpił ku Mo-sarowi.

— Zaczekaj! — zawołał przerażony wódz. — Jeśli jesteś istotnie Dor-ul-Otho, to musisz wiedzieć, że mówię prawdę. Wziąłem ją z pałacu Ko-tana, by zachować ją dla Lu-dona, najwyższego kapłana, w obawie, że wraz ze śmiercią Ko-tana Ja-don sobie ją zabierze. Ale podczas nocy uciekła ode mnie pomiędzy Tu-lurem i A-lurem i właśnie wysłałem na jej poszukiwanie trzy dobrze obsadzone łodzie.

Coś w głosie i zachowaniu wodza przekonało Tarzana, że ten mówił częściowo prawdę i że oto znowu naraził się na nieobliczalne niebezpieczeństwa i stratę czasu — niepotrzebnie.

— Czego chcieli kapłani Lu-dona, którzy przybyli tu przede mną? — zapytał.

— Przybyli w celu podobnym do twojego — odparł Mo-sar. — Żądali zwrotu kobiety, którą Lu-don sądził, że mu wykradłem, krzywdząc mnie równie niesprawiedliwie jak ty, o Dor-ul-Otho!

— Wypytam kapłanów — rzekł Tarzan. — Wezwij ich tutaj. Jego rozkazujące i aroganckie zachowanie się pogrzyżyło Mo-sara w niepewności co do tego, jak ma postąpić. Przede wszystkim jednak uważał, że najważniejszy jest wzgląd na osobiste bezpieczeństwo. Znalazł sposób wydobywania się z kłopotu, przynajmniej chwilowo.

— Sam po nich pójde, Dor-ul-Otho — rzekł — i opuścił komnatę. Spiesznymi krokami udał się do świątyni i znalazłszy posłów Lu-dona w towarzystwie najwyższego kapłana własnej świątyni, powtórzył im rozkazy człowieka-malpy.

— Co zamierzasz z nim uczynić? — zapytał jeden z kapłanów.

— Nie mam z nim zwady — odparł Mo-sar. — Przyszedł do mnie w pokoju, niechaj odejdzie w pokoju, bo kto wie, czy to istotnie nie Dor-ul-Otho?

— My wiemy, że tak nie jest — odrzekł poseł Lu-dona.

— Mamy wszelkie na to dowody, że to zwykły śmiertelnik, przybysz z obcego kraju. Lu-don ofiarował swe życie Jad-ben-Otho, jeśli błądzi w swej wierze, że ta istota nie jest synem boga. Jeśli najwyższy kapłan A-luru, który jest zarazem najwyższym kapłanem całego pa-ul-donu, tak jest przekonany, że to zwykły szalbierca, kim jesteśmy my, by wierzyć samozwaństwu tego obcego? Nie, Mo-sarze, nie lękaj się go. To tylko wojownik, którego można zwyciężyć tą samą bronią, jaką odnosisz przewagę nad zwykłymi, zbrojnymi mężczyznami. Gdyby nie własny rozkaz Lu-dona, że ma być żywcem ujęty, radziłbym, byś rzucił swych wojowników na niego i kazał go zabić; ale rozkazy Lu-dona są rozkazami samego Jad-ben-Otho a i nie wolno nam ich przekraczać.

Resztki wątpliwości niepokoiły jednak tchórzliwego Mo-sara, skłaniając go do pozostawienia innym inicjatywy przeciwko cudzoziemcowi.

— Należy on więc do was — rzekł — róbcie z nim co chcecie. Nie mam z nim zwady. Co rozkażecie, będzie rozkazem Lu-dona, najwyższego kapłana. Nie chcę mieć nic do czynienia z tą sprawą.

Kapłani zwrócili się do wielkiego kapłana Tu-luru. — Czy nie obmyśliłeś żadnego planu? Wysoko zaiste stanie w oczach Lu-dona i Jad-ben-Otho ten, kto znajdzie sposób pochwylenia żywcem bluźniercy.

— Jest tu lwi loch — szepnął wielki kapłan. — Teraz jest pusty. Gdzie mieści się ja i jato, tam zmieści się i ten obcy, o ile nie jest Dor-ul-Otho.

— Zmieści się — rzekł Mo-sar — można tam pomieścić nawet i gryfa, ale najpierw musicie tam go wsadzić.

Kapłani zamyślili się nad tą mądrą radą, po czym przemówił jeden z przybyłych z A-luru. — Nie będzie to trudne, jeśli skorzystamy ze sprytu, jakim Jad-ben-Otho nas obdarzył w zamian za mięśnie,

przekazane nam przez naszych ojców i matki, a które nie posiadają tej nawet mocy, jaką mają mięśnie czworonogów.

— Lu-don mierzył swój spryt ze sprytem cudzoziemca i przegrał — zauważył Mo-sar. — Ale to wasza sprawa. Załatwcie ją, jak umiecie najlepiej.

— W A-lurze Ko-tan uroczyście przyjmował tego Dor-ul-Otho i kapłani oprowadzili go po świątyni. Nie wzbudzi to w nim żadnych podejrzeń, jeśli postąpisz podobnie i skłonisz wielkiego kapłana Tu-luru, by go zaprosił do świątyni i w otoczeniu wszystkich kapłanów okazał wiarę w jego pokrewieństwo z Jad-ben-Otho. Cóż naturalniejszego nad to, że wielki kapłan zechce oprowadzić go po świątyni, jak to zrobił Lu-don w A-lurze na rozkaz Ko-tana. Jeśli przypadkiem poprowadzi się go przez lwi loch, będzie to rzeczą niosących pochodnie nagle je zgasić. Zanim obcy zda sobie sprawę z tego, co zaszło, można będzie zatrzasnąć kamienne wrota, zamykając go w ten sposób.

— Ale w lwim lochu są okna, przez które przedostaje się światło — wtrącił wielki kapłan — gdy więc nawet pochodnie zgasną, będzie mógł dobrze widzieć i umknąć, zanim się zatrzaśnie wrota kamienne.

— Poślijcie kogoś, kto szczelnie zasłoni okna skórami — poradził kapłan z A-luru.

— Plan jest dobry — rzekł Mo-sar — bo nie będzie wymagał obecności wojowników, widząc zaś samych kapłanów dokoła, nie poweźmie podejrzeń.

Mo-sar wrócił do pałacu potajemną okreśną drogą, trzej zaś kapłani udali się do Tarzana i pokornie zaprosili go w imieniu wielkiego kapłana, by raczył odwiedzić świątynię, obiecując przyprowadzić mu A-lurskich kapłanów i przyrzekając, że otrzyma od nich odpowiedź na wszystkie swoje pytania.

Człowiek-małpa ufny w to, że trwanie w brawurze może mu tylko wyjść na dobre i zarazem, że jeśli Mo-sar i jego otoczenie umocnią się w swych wątpliwościach co do jego ooskości, w świątyni nie będzie mu gorzej niż w pałacu, przyjął wyniośle zaproszenie wielkiego kapłana.

Poszedł do świątyni i został tam przyjęty odpowiednio do swej godności. Wypytał dwu kapłanów A-lurskich i otrzymał od nich w odpowiedzi powtórzenie opowiadania Mo-sara. Wreszcie wielki kapłan zaproponował mu oględziny świątyni.

Zaprowadzono go na podwórzec ołtarzowy, zupełnie taki sam jak w A-lurze. Ten sam krwawy ołtarz po stronie wschodniej, ten sam basen do topienia po stronie zachodniej, te same dziwaczne maski na głowach kapłanów. Prowadzono go przez komnaty i korytarze podziemne i wreszcie, z pochodniami dla oświetlenia drogi, przez ciemny i ponury labirynt do obszernej komnaty, gdzie powietrze ciężkie było jeszcze od wyziewów lwa. Tu kapłani tu-lurscy wykonali swój plan.

Pochodnie nagle zagasły. Rozległ się tupot bosych stóp, biegnących po kamiennej podłodze. Zabrzmiał głośny huk zapadających ciężkich wrót kamiennych. Człowieka-małpę otoczyły ciemności i cisza grobowa.

# Rozdział XIX

## Spotkanie w puszczy

Janina upolowała pierwszy swój łup i bardzo była z tego dumna. Nie było to wielkie zwierzę — zając jedynie, stanowiło to jednak epokę w jej życiu. Nie była już więcej ograniczona do samych dzikich owoców i jarzyn. Mogła teraz sobie pozwolić na mięso, dające siły i wytrzymałość, tak potrzebne dla pomyślnego borykania się z trudnościami istnienia.

Następnym krokiem był ogień. Nie dbała o niego, póki nie był jej potrzebny, teraz wszakże miała mięso do gotowania. Pośpieszyła do swego drzewa. Wśród skarbów, zebranych na dnie strumienia, były obsydiany; znalazła między nimi jeden wkłęsły. Zeskoczyła na ziemię, zebrała garść spróchniałej kory, bardzo suchej, trochę opadłych liści i trawy, które wysuszyły się na słońcu, ułożyła tuż obok suchych gałęzi — dużych i małych.

Drżąc ze wzruszenia, trzymała nad próchnem kawałek szkła, z wolna je poruszając, dopóki nie zogniskowała w nim promieni słonecznych. Czekwała z zapartym tchem. Jakże powoli to szło. Czyjej wielkie nadzieje rozwieją się w nicość? Nie!

Wąska smuga dymu wykwitła w spokojnym powietrzu. Próchno zatliło się i nagle wybuchło płomieniem. Janina wydała okrzyk zachwyty. Rozpaliła ogień!

Nałożyła trzask i większych gałęzi, wreszcie wsunęła małe polano w ogień, wesoło trzaskający. Był to najmiłszy dźwięk, jaki od wielu miesięcy usłyszała. Nie mogła doczekać się popiołu, w którym zamierzała upiec zającą. Spiesznie odarła swą zdobycz ze skóry, oczyściła ją, zakopała skórę i wnętrzności. Nauczyła się tego od Tarzana. Dwie rzeczy miało to na celu: zachować obozowisko w czystości i ukryć wyziewy, które najłatwiej mogłyby zwabić pożeraczy ludzi.

Nadziała zającą na patyk i trzymała go nad płomieniem. Częstym obracaniem chroniła go przed spaleniem, pozwalając jednocześnie mięsu upiec się dokładnie ze wszystkich stron. Z gotową potrawą wdrapała się na drzewo, by w spokoju się nią rozkoszować. Nigdy, myślała lady Greystoke, nie kosztowała smaczniejszego jadła.

Dni miała zapełnione praca, nie starczało jej czasu na wykonanie wszystkich zamierzeń. Postanowiła, że w dodatku do dobrej włóczni, musi mieć nóż, łuk i strzały. Kto wie, czy zdobywszy to, nie pomyśli poważnie o przedarciu się do najbliższych miejscowości cywilizowanych. Tymczasem należało zbudować sobie rodzaj schronienia, gdzie czułaby się bezpieczniejsza, gdyż wiedziała, że każdej nocy mogła oczekiwać odwiedzin pantery, chociaż żadnej dotychczas w jej części doliny nie spotkała.

Ścinanie długich żerdzi na szałas zajmowało jej cały czas, wolny od poszukiwania pokarmu. Żerdzie zaniósła wysoko na drzewo i zbudowała z nich podłogę, oparta na dwu mocnych gałęziach, wiążąc żerdzie ze sobą i przymocowując je do gałęzi za pomocą włókien pnących roślin, obficie rosnących nad potokiem. W podobny sposób zrobiła ściany i dach, pokrywając go strzechą z licznych warstw wielkich liści. Wykonanie okratowanych okien i drzwi było rzeczą bardzo ważną i



wymagającą pomysłowości. Okna — było ich dwoje — zrobiła duże i okratowane, drzwi zaś małe, z otworem wystarczającym zaledwie, by mogła przedostać się przez nie na czworakach, co ułatwiało ich barykadowanie. Straciła liczbę dni, pochłoniętych przez budowę domu. Czas był tanim artykułem, miała go pod dostatkiem.

Teraz odważała się zapuszczać dalej w poszukiwaniu pokarmu. Dotychczas zdobyczą jej bywały tylko gryzonie, marzyła zaś o antylopie, która, prócz mięsa, mogłaby jej dać skórę, nieocenioną na chłodniejszą porę, jaka niechybnie nadejdzie wraz z deszczami, i ciężki do łuku. Widywała przelotnie te czujne zwierzęta i pewna była, że zazwyczaj przechodzą potok w jednym, stałym miejscu, powyżej jej obozowiska. Tam się udała, by na nie zapolować. Cicho jak pantera skradała się przez las okrążając, by iść pod wiatr, często się zatrzymując w obawie, czy sama nie jest przedmiotem łowów. Wreszcie dotarła do upatrzonego miejsca. Co za szczęście! Piękny kozioł pił wodę w potoku. Kobieta położyła się na brzuchu, za małym krzakiem, na odległość rzutu od zwierzyny. Musi jednocześnie prawie zerwać się i rzucić włócznia, a rzucić musi z wielką siłą i niechybną trafnością. Drżała z podniecenia; gdy jednak powstała i rzuciła pocisk, miała ruchy spokojne i pewne. Zaledwie na szerokość palca odchyliło się ostrze od miejsca, w które wycelowała. Kozioł podrzucił się wysoko i padł martwy na brzegu potoku. Janina Clayton skoczyła ku swej zdobyczy.

— Bravo! — odezwał się męski głos z zarośli po przeciwnej stronie potoku. Janina Clayton zatrzymała się, skamieniała niemal ze zdumienia. Wyłoniła się dziwna, rozczochna postać mężczyzny. W pierwszej chwili nie poznała go, gdy zaś nareszcie to nastąpiło, cofnęła się instynktownie.

— Porucznik Obergatz! — wykrzyknęła. — Czy to rzeczywiście pan?

— Ja, rzeczywiście — odrzekł Niemiec. — Dziwny widok przedstawiam, niewątpliwie, ale to ja, Erich Obergatz. A pani? Pani także się zmieniła, nieprawdaż?

Spoglądał na jej nagie ciało, złote napierśniki, przepaskę ze skóry jato, przybory i ozdoby, stanowiące strój kobiety ho—dońskiej — wszystko, w co ją był przybrał Lu—don, najwyższy kapłan. Nawet córka Ko—tana nie posiadała piękniejszego stroju.

— Ale dlaczego pan tu przebywa? — dopytywała się. — Pewna byłam, że pan jest już od dawna wśród ludzi cywilizowanych, o ile pan zachował życie.

— Gott — wykrzyknął — sam nie wiem, po co wciąż jeszcze żyję. Modliłem się o śmierć i nie mogłem jej napotkać. Nie ma już żadnej nadziei. Skazani jesteśmy na pozostanie w tym wstrętnym kraju aż do śmierci. Bagno! Przerazające bagno! Poszukując przejścia przez nie, okrążyłem całą tę ohydłą krainę. Wkroczyliśmy tu względnie łatwo; ale od tego czasu spadły deszcze i teraz żaden człowiek nie przejdzie przez oślizgły muł trzęsawiska, rojącego się od głodnych gadów. Czyż nie próbowałem tego dokazać? A dzikie zwierzęta, których tu mrowie w tym przeklętym kraju. Dniem i nocą polują na mnie!

— Jakże się pan przed nimi zdołał uchronić? — zapytała.

— Nie wiem — odparł ponuro. — Uciekałem, uciekałem, wciąż uciekałem. Nieraz całymi dniami przesiadywałem głodny i spragniony na wierzchołku drzewa. Zrobiłem sobie broń — maczugi i włócznie — nauczyłem się nimi władać. Zabiłem lwa maczugą. Tak właśnie walczy szczur w pułapce. A my jesteśmy w położeniu szczurów w pułapce w tym zdumiewającym kraju, pani i ja. Ale niech mi pani opowie o sobie!

Opowiedziała mu wszystko pokrótce, wciąż przemyśliwając nad tym, w jaki by się sposób go pozbyć. Nie mogła wyobrazić sobie istnienia w jego towarzystwie. Lepiej, tysiąc razy lepiej, być samej. Jej nienawiść i pogarda dla niego nie zmniejszyły się w ciągu długich miesięcy stałego

przebywania razem, teraz zaś, gdy nie mógł jej dopomóc do przedostania się między ludzi cywilizowanych, wstrętem ją przejmowała myśl codziennego widywania go. Prócz tego — napawał ją trwoga. Nie ufała mu nigdy, ale teraz dziwne jakieś błyski miał w oczach. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, wiedziała tylko, że budzą w niej złe przeczucia i lęk nieznany.

— Więc pani długo mieszkała w mieście A-lur? — przemówił w języku Pal-ul-dońskim.

— Nauczył się pan tej mowy? — zapytała. — W jaki sposób?

— Dostałem się między Waz-ho-donów, do wyklętego szczepu, żyjącego w skałami otoczonej odnodze, przez którą główna rzeka doliny wpada do trzęsawiska. Są bardzo głupi i przesądni i gdy mnie pierwszy raz zobaczyli i zauważyli, że nie mam ogona i posiadam inne niż oni ręce i nogi, bardzo się przerazili. Sądziли, że jestem albo bogiem, albo demonem. Nie mogąc ani się bronić, ani uciec, stawilem się zuchwale i skłoniłem ich, żeby mnie zaprowadzili do swego miasta Bu-lur. Tam mnie nakarmili i uprzejmie się ze mną obesli. Gdy się nauczyłem ich mowy, zacząłem próbować przekonać ich, że jestem bogiem i to mi się powiodło.

Ale pewien starzec, rodzaj kapłana czy znachora, pozazdrościł mi powodzenia. To było początkiem końca i omal nie stało się zupełnym końcem. Wmówił Waz-ho-donom, że jeśli jestem bogiem, to nie spłynę krwią, gdy rzucą we mnie nożem — jeśli zaś spłynę krwią, będzie to dowód, że nie jestem bogiem. Bez mojej wiedzy naznaczył pewną noc na sąd boży przed oczyma całej wioski. Wybrał noc, gdy jedzą i piją na cześć Jad-ben-Otho, swego pogańskiego bóstwa. Pod wpływem podłego trunku zgodziliby się na wszelkie krwiożercze pomysły znachora. Jedna z kobiet opowiedziała mi o projekcie — nie bez zamiaru ostrzeżenia mnie, ale jednocześnie wiedziona kobiecą ciekawością, czy będę, czy też nie będę krwawił. Nie mogła się widocznie doczekać widowiska, chciała dowiedzieć się natychmiast. Gdy ją przyłapałem, dlaczego to robi, z całą naiwnością wyjaśniła mi, o co chodzi. Wojownicy już rozpoczęli pijatykę — nie pozostawało mi nic innego, prócz ucieczki. Powiedziałem kobiecie, że jestem bardzo obrażony tymi wątpliwościami co do mej boskości i że w dowód niełaski opuszczę ich, pozostawiając wioskę własnemu losowi.

— Wróć natychmiast do nieba! — zawołałem. — Chciała to zobaczyć, ale jej wytłumaczyłem, że oślepląby od płomieni, które otoczą moje zniknięcie, i że musi się oddalić i nie wracać przed upływem godziny. Zapewniłem ją też, że gdyby ktokolwiek zbliżył się w ciągu tego czasu do tego miejsca, to nie tylko oni, ale także i ona, wpadliby w płomienie i zostali przez nie pochłonięci.

Zrobiło to na niej wielkie wrażenie. Oddaliła się spieszenie, wołając, że jeśli istotnie zniknę za godzinę, wówczas ona i cała wioska będzie wiedziała, że jestem Jad-ben-Otho we własnej osobie. I tak myślą niechybnie, gdyż zapewniam panią, że oddaliłem się przed upływem godziny i odtąd nie odważyłem się zbliżyć do miasta Bu-lur. — Roześmiał się dziwnym, chrapliwym głosem, który dreszczem przejął Janinę.

Słuchając tego opowiadania, Janina wyciągnęła włócznię z antylopy i zaczęła ściągać z niej skórę. Niemiec nie próbował jej pomóc, tylko mówiąc i przyglądając się jej, bezustannie brudnymi palcami przebierał swe rozwichrzone włosy i brodę. Twarz i ciało miał zawalane błotem, był nagi, prócz podartej i zbrukanej skóry na biodrach. Broń jego składała się z maczugi i noża, ukradzionych w mieście Bu-lur. Większe jednak wrażenie, niż brud i ubranie, robił na kobiecie jego szczególny śmiech i dziwny wyraz oczu.

Wyprostowała się i spojrzała mu w twarz. — Poruczniku Obergatz — rzekła — zbiegiem okoliczności znowu się spotkaliśmy. Niewątpliwie nie szukał pan tego spotkania, również jak i ja go nie szukałam. Nic nie ma między nami wspólnego, prócz niezmiennych we mnie uczuć wstrętu i nieufności do pana, jednego ze sprawców całej tej nędzy i cierpień, jakie przez niezliczone miesiące znosiłam. Ten mały zakątek świata należy do mnie prawem odkrycia go i objęcia w posiadanie.

Odejdź pan i zostaw mnie w spokoju. Mniej nie może pan uczynić, by naprawić zło, mnie i moim wyrządzone.

Niemiec wpatrywał się w nią przez chwilę swymi rybimi oczyma, po czym wybuchnął niesamowitym śmiechem.

— Odejść! Opuścić panią! — wykrzykiwał. — Znalazłem panią. Zostaniemy przyjaciółmi. Nikogo nie ma na świecie, prócz nas dwojga. Nikt nigdy się nie dowie, co robimy lub co się z nami stanie, a pani żąda, bym odszedł i sam żył w tej piekielnej samotni! — I znowu się roześmiał, choć ani jego oczy, ani usta nie odzwierciedlały śladu wesołości — był to pusty dźwięk, naśladowający śmiech.

— Przypomnij pan sobie swą obietnicę — powiedziała.

— Obietnica! Obietnica! Co to są obietnice? Daje się je, by je łamać — nauczyliśmy tego świat pod Liège i pod Louvain. Nie, nie! Nie odejdę. Pozostanę i będę się panią opiekował.

— Nie potrzebuję opieki — upierała się. — Widział pan sam, że umiem władać włócznią.

— Tak — rzekł — ale nie byłoby słusznie pozostawiać tu panią samą. Pani jest tylko kobietą. Nie, nie, jestem oficerem kajzera i nie mogę pani opuścić.

Zaśmiał się znowu. — Moglibyśmy tu być bardzo szczęśliwi — dodał.

Kobieta nie umiała powstrzymać dreszczu odrazy, nie usiłowała też wcale ukryć wstrętu.

— Pani mnie nie lubi? — zapytał. — Przykro mi bardzo, ale nadejdzie dzień, gdy mnie pani pokocha. — I znów ohydny śmiech.

Kobieta zebrała mięso antylopy do skóry i zarzuciła sobie na plecy. W drugiej ręce trzymała włócznię. Spojrzała w twarz Niemcowi.

— Odejdź pan! — rozkazała. — Dosyc słów straciliśmy. To moja kraina i będę jej broniła. Jeśli pana jeszcze raz spotkam, zabiję. Rozumie pan?

Wściekłość wykrzywiła rysy Obergatza. Podniósł maczugę.

— Stać! — nakazała, wznosząc włócznię do rzutu. — Widział pan, jak zabiłam antylopę, i słusznie powiedział, że nikt nigdy się nie dowie, co tu robimy. Zestaw te oba fakty i wyciągnij z nich odpowiednie wnioski, zanim zrobisz drugi krok ku mnie.

Mężczyzna zatrzymał się i opuścił rękę z maczugą.

— Lady Greystoke — poprosił pojednawczym tonem — bądźmy przyjaciółmi. Możemy oddać sobie nawzajem wielkie usługi, a ja obiecuję, że nie wyrządę pani żadnej krzywdy.

— Pomnij pan na Liège i Louvain — przypomniała mu drwiąco. — Odchodzę — proszę pamiętać, by nie iść za mną. Granice mego państwa rozciągają się tak daleko, jak daleko może pan zajść od tego miejsca we wszelkich kierunkach. Jeśli spotkam pana kiedykolwiek w obrębie tych granic, zabiję.

Niemiec stał, ponuro patrząc, jak się oddalała, po czym znikł w lesie.

# Rozdział XX

## Nocna wizyta

A-lur przechodził z rąk do rąk. Kapłani wzywali wojowników, by bronili wiary ojców przed bluźniercami, zapewniali, że Lu-don pragnie tylko nie dopuścić do pochwycenia władzy przez Ja-dona, plugawiącego świątynię, dopóki, zgodnie z prawami ho-dońskimi, nowy król nie zostanie obrany. Dzięki temu wielu wojowników pałacowych przyłączyło się do miejskich. Lu-don widząc, że liczba jego zwolenników przekracza liczbę wiernych pałacowi, rzucił jednych na drugich. Wynik był taki, że mnóstwo padło, garstka tylko pozostałych wiernych zabarykadowała się w pałacu.

Kapłani uprowadzili swoich tajnym przejściem do świątyni, kilku zaś wiernych odszukało Ja-dona i opowiedziało mu, co zaszło. Walka w sali biesiadnej rozszerzyła się na znaczną część obszarów pałacowych i przyniosła chwilową porażkę przeciwnikom Ja-dona. Ci uciekli do świątyni i teraz stało się rzeczą jasną, że wojna toczy się między Ja-donem i Lu-donem.

Ja-don, dowiedziawszy się o tym, co zaszło w apartamentach O-lo-a i o udziale Tarzana w poprowadzeniu jego ludzi przeciwko wojownikom Lu-dona, poczuł dla człowieka-mały jeszcze większą, niż poprzednio, życzliwość i żałował, że ten opuścił miasto.

Świadectwo O-lo-a i Pan-at-lee wzmocniło wiarę w boskość Tarzana w Ja-donie i wśród jego wojowników do tego stopnia, że zjawilo się dążenie do uczynienia Dor-ul-Otho'a przedmiotem walki z Lu-donem.

Na nieszczęście nie było Tarzana, by natchnąć stronników Ja-dona świętym zapałem, który rychło rozstrzygnąłby spór na korzyść starego wodza. A ponieważ ich usilne modły nie mogły sprowadzić o wiele mil odległego, słabsi duchem zaczęli wątpić, czy bóg sprzyja ich sprawie. W efekcie zaczęły wzrastać siły Lu-dona, Ja-dona zaś topnieć. Nastąpiła ze świątyni wycieczka, wynikiem była porażka sił pałacowych. Wprawdzie obrońcy pałacu ustąpili w porządku, ustąpili jednakże, pozostawiając pałac Lu-donowi, który teraz został istotnym władcą pal-ul-donu.

Ja-don, zabrawszy ze sobą księżniczkę, jej kobiety i niewolnice, włącznie z Pan-at-lee, jak również żony i dzieci wiernych sobie wojowników, opuścił nie tylko pałac, ale i miasto A-lur i cofnął się do swego własnego miasta Ja-luru. Tu zaczął gromadzić nowe siły wśród okolicznych wiosek, gdzie był ceniony i kochany.

Gdy wypadki te rozgrywały się na północy, Tarzan-jad-guru leżał w lwim lochu w Tu-lurze. Tymczasem posłowie krążyli tam i z powrotem, między Mo-sarem i Lu-donem, gdyż mężowie ci targowali się o tron pal-ul-donu. Mo-sar posiadał dosyć chytryści, by rozumieć, że w razie otwartego zerwania z Lu-donem, będzie mógł na własny użytek wykorzystać swego więźnia, doszły go bowiem poszepty, dowodzące, że wśród własnego jego ludu szerzyła się wiara w boskość cudzoziemca. Lu-don pragnął Tarzana dla siebie. Chciał własnymi rękoma złożyć go w ofierze na wschodnim ołtarzu wobec zgromadzonych tłumów.

Dzięki sposobowi, w jaki wielki kapłan Tu-luru schwytał go w pułapkę, Tarzan zachował przy

sobie broń, jak również i torbę, zawierającą różne drobiazgi. W torbie tej znajdowały się, między innymi, kawałki obsydianu, pióra do strzał, kilka krzemieni, trochę krzesiwa, stary nóż, igła z kości i struny kiszkowe.

Gdy Tarzan spostrzegł się, jakiego splątano mu figła, przygotował się na pojawienie się lwa. Przede wszystkim zbadał swe więzienie.

Zauważywszy skórą przykryte okna, odsłonił je. Wpuszczone w ten sposób światło przekonało go, że jakkolwiek komnata znajdowała się głęboko pod poziomem świątyni, wznosiła się też zarazem na wiele stóp nad podstawą wzgórza, w którym świątynia była wykuta. Okna były bardzo gęsto zakratowane. Widać przez nie było pobliskie błękitne wody Jad-in-lulu i góry, wznoszące się poza zielonymi brzegami rzeki. Komnata była dosyć obszerna, z dwu stron zaopatrzona w drzwi — większe dla ludzi, mniejsze — dla lwów. Okna były małe i okratowane żelaznymi sztabami — było to pierwsze żelazo, jakie Tarzan spotkał w pal-ul-donie. Drzwi były zamknięte ciężkimi złomami z kamienia, wpuszczonymi w wyżłobienia, sięgające aż do podłogi, kraty okien były umieszczone w otworach framugi — ucieczka zdawała się niemożliwa. A jednak po upływie kilku minut Tarzan obmyślił plan ucieczki. Starym nożem, znalezionym w torbie, zaczął zeskrobywać i wydłubywać kamień dokoła sztab w oknie. Była to żmudna praca, ale Tarzan był cierpliwy.

Przyniesiono mu strawę i wodę, szybko je wsuwając przez pomniejsze drzwi, które podniesiono tyle tylko, by mogły się zmieścić kamienne naczynia. Więzień wobec tego zaczął przypuszczać, że przeznaczono go nie tylko dla lwów, było mu to jednak obojętne — jeśli zaczekają parę dni, nie zastaną go tu więcej.

\* \* \*

Pewnego dnia Pan-sat, główne narzędzie Lu-dona, przybył do Tu-luru z poselstwem od najwyższego kapłana do Mo-sara. Lu-don postanowił, że Mo-sar ma zostać królem i zapraszał go, by natychmiast udał się do A-luru. Pan-sat, po udzieleniu mu tej wieści, poprosił o pozwolenie pomodlenia się w świątyni Tu-lurskiej i tam odszukał wielkiego kapłana, któremu Lu-don potajemnie przesłał prawdziwe zlecenia. Zamknęli się obaj w małej komnatce i Pan-sat szepnął na ucho wielkiemu kapłanowi:

— Mo-sar chce być królem i Lu-don chce być królem. Mo-sar chce zatrzymać obcego, który podaje się za Dor-ul-Otho, a Lu-don pragnie go zabić; jeśli zaś — tu jeszcze bliżej nachylił się do ucha wielkiego kapłana — jeśli zaś ty zostaniesz najwyższym kapłanem A-luru, będzie w twej mocy zadowolić Lu-dona.

Wielki kapłan był pod silnym wrażeniem. Zostać najwyższym kapłanem A-luru! Równało się to niemal królowaniu nad całym pal-ul-donem, wielką bowiem była władza tego, kto odprawiał obrzędy na ołtarzach A-luru.

— W jaki sposób? — szepnął. — W jaki sposób mogę zostać najwyższym kapłanem A-luru?

Pan-sat znowu blisko się przysunął. — Zabijając jednego, przyprowadzając drugiego do A-luru — odrzekł i oddalił się pewien, że tamten połknął haczyk.

Nie omylił się Pan-sat, ale zaszło drobne nieporozumienie. Wielki kapłan gotów był dopuścić się zbrodni i morderstwa, byle otrzymać godność najwyższego kapłana A-luru, nie zrozumiał tylko, którą z ofiar należy zamordować, którą zaś dostarczyć Lu-donowi i pewien był, że ma zabić Tarzana, a Mo-sara zaprowadzić do A-luru. Sądził też, że po dokonaniu tych czynów, zostanie najwyższym kapłanem A-luru, nie wiedział jednak, że już był upatrzony kapłan, który miał go zamordować, gdy tylko się zjawi w A-lurze, i że przygotowany już był tajny grób dla niego w podziemnej komnacie świątyni, nad którą marzyło mu się sprawowanie rządów.

Zamiast więc przygotowywać zabójstwo swego zwierzchnika, poprowadził dwunastu ciężko uzbrojonych wojowników ciemnymi korytarzami pod świątynią do lwiego lochu. Noc już zapadła. Jedna tylko pochodnia przyświecała skradającym się mordercom. W ciemnej celi człowiek-małpa zajęty był zmuśnym skrobaniem i wydłubywaniem. Bystre jego uszy pochwyciły kroki, zbliżające się do większych drzwi. Dotychczas zawsze niewolnik przynosił mu strawę przez mniejsze drzwi. Teraz słyhać było kroki więcej niż jednego człowieka, przy tym ta nocna wizyta nie wróżyła nic dobrego. Tarzan dalej skrobał i dłużał. Usłyszał, że zatrzymano się za drzwiami. Naokół była cisza, przerywana tylko zgrzytem niezamordowanego noża.

Ci, za drzwiami, usłyszeli też dźwięk i nasłuchując próbowali go sobie wyjaśnić. Cichym szepem porozumiewali się między sobą.

Dwu z nich szybko podniesie drzwi, reszta wpadnie do wnętrza i rzuci swe maczugi w więźnia.

Wielki kapłan podał hasło — drzwi podsunęły się do góry i mordercy wpadli do komnaty z wzniesionymi maczugami. Trzy ciężkie pałki poleciały ku ciemnemu cieniowi na przeciwległej ścianie. Blask pochodni w dłoniach wielkiego kapłana oświetlił wnętrze i ujrzeli, że ciemny cień, w

który rzucili maczugi, był to stos skór, zerwanych z okien, i że komnata była pusta.

Jeden z nich pospieszył do okna. Wszystkie sztaby, prócz jednej, wypadły, do pozostałej zaś uwiązany był koniec sznura, upleciony z rzemieni, wyciętych ze skórzanych zasłon okiennych.

\* \* \*

Do zwykłych niebezpieczeństw, grożących Janinie Clayton, przybyło nowe — Obergatz znalazł jej miejsce pobytu. Mniej obawiała się lwa i pantery, niż powrotu pozbawionego skrupułów Prusaka. Wstręt, jaki w niej zawsze budził, wzrósł jeszcze wskutek jego brudnego wyglądu, dziwnego śmiechu i nienaturalnego zachowania. Bała się go teraz nowym lękiem, jak gdyby stał się nagle wcieleniem nieznanego okropności. Zdrowe życie na powietrzu, jakie wiodła, umocniło i odnowiło jej system nerwowy, a jednak zdawało się jej, że gdyby ten człowiek dotknął jej kiedykolwiek, krzyknęłaby, może nawet zemdlałaby. W ciągu następnego dnia po tym niespodziewanym spotkaniu, bezustannie wyrzucała sobie, że go nie zabiła, jak uczyniłaby, gdyby jej istnieniu lub bezpieczeństwu zagrażały ja czy jato, czy inne zbrojeckie stworzenie. Postanowiła, że gdyby zadrwił z jej ostrzeżenia i zjawił się na jej obszarze — spotka go ten sam los, jaki by ją spotkał.

Tej nocy przytulne gniazdko, wysoko zawieszane na drzewie, wydało się jej mniej pewnym schronieniem niż dotychczas, gorzej też spała niż zazwyczaj. Budziła się za najłżejszym szmerem i leżała, wyęzając słuch, by rozpoznać źródło odgłosu. Raz obudził ją szelest czegoś, poruszającego się na jej własnym drzewie. Słuchała z napięciem, wstrzymując oddech. Tak, znowu się coś porusza. Coś ociera się o twardą korę drzewa. W ciemnościach sięgnęła po włócznię. Teraz poczuła, że jeden z konarów, „podtrzymujących jej szalas, pochylił się, jak gdyby to nieznanne coś” wciągało się na gałąź. Zbliżyło się. Słyszała jego oddech. Było za drzwiami. Słyszała jak je obmacuje. Co to mogło być? Nie wydawało żadnego głosu, po którym mogłaby je rozpoznać. Na czworakach cichutko podkraśniała się pod drzwi, mocno dzierząc w dłoni włócznię. Cokolwiek to było — chciało wejść bez obudzenia jej. Chroniła ją mizerna przegroda z cienkich prętów, które powiązała trawą i nazwała drzwiami. Ukląwszy lewą ręką wyszukała miejsce, gdzie skrzywiona gałąź zostawiła otwór na parę cali szeroki i w ten otwór wetknęła ostrze włóczni. Owo coś musiało usłyszeć jej ruchy, gdyż poniechało cichego zakradania się i gniewnie wstrząsnęło przeszkodą. Janina z całej siły pchnęła włócznią i poczuła, że dosięgła żywego ciała. Z zewnątrz rozległ się okrzyk i przekleństwo, następnie łoskot upadku.

Był to Obergatz, poznała go po klątwie. Żaden dźwięk nie dochodził z dołu. Czyżby go zabiła? Modliła się o to z całego serca. Resztę nocy spędziła bezsennie, wciąż nasłuchując. Wyobrażała sobie, że pod drzewem leży martwy człowiek z ohydą twarzą, skąpaną w blaskach księżycowych.

Modliła się, by nadszedł ja i odciągnął trupa, ale w ciągu całej nocy nie usłyszała żadnych więcej szmerów, prócz zwykłych odgłosów dżungli. Rada była, że umarł, lękała się jednak ponurego obrzędu, który ją nazajutrz czeka, gdyż trzeba będzie pochować szczątki Ericha Obergatza i żyć nad grobem człowieka, którego zabiła.

Wyrzucała sobie swą słabość, wciąż powtarzając, że zabiła dla samoobrony, że czyn jej jest usprawiedliwiony. Była jednak współczesną kobietą i mocno ciążyły nad nią żelazne prawa nakazu społecznego, który złamała.

Nadeszło wreszcie późne świtanie. Ociągała się z otwarciem drzwi i rzuceniem w dół spojrzenia. Wreszcie odwiązała rzemienie z surowej skóry przytrzymujące drzwi i wyjrzała —



zobaczyła tylko trawę i kwiaty. Zeszła z wolna z drzewa, bacznie się rozglądając i nasłuchując.

U stóp drzewa była kałuża krwi i wąski trop czerwonych kropeł na trawie, wiodący wzdłuż wybrzeża Jad-bal-lulu. A więc go nie zabiła! Doznała dziwnego uczucia ulgi i żalu zarazem. Będzie żyła w ciągłej niepewności — może powrócić, ale przynajmniej nie będzie mieszkała nad jego mogiłą.

Był to dzień ciągłych nerwowych wstrząśnień za każdym niespodzianym odgłosem. Poprzedniego dnia przysięgłaby, że ma żelazne nerwy. Jutro będzie już zapewne inaczej, wiedziała jednak, że jej szalasik i ścieżka do lasu i dżungli, które swoją własnością nazywała, już nigdy nie będą teraz tym, czym były dotychczas. Wisieć będzie nad nimi groźba powrotu tego człowieka. Nigdy już nie zazna spokojnego snu po nocach. Na zawsze został zakłócony spokój jej maleńkiego świata.

Tej nocy zabezpieczyła swe drzwi dodatkowymi rzemieniami, wykrajanymi ze skóry antylopy, którą zabiła wówczas, gdy natknęła się na Obergatza. Bardzo była znużona, gdyż mało spała ubiegłej nocy, długo jednak leżała, wpatrując się w ciemności szeroko rozwartymi oczyma. Co tam widziała? Wizje, które łzami napełniły jej piękne i odważne oczy: wizję bungalowu, który był jej domem i który już nie istniał, zniweczony przez tę samą, okrutną moc, która prześladowała ją nawet w tym zapadłym zakątku świata; wizję silnego człowieka, którego opiekuńcze ramię nigdy już nie przygarnie jej do siebie; wizję smukłego syna, który patrzył na nią z uwielbieniem swymi śmiałymi, śmiejącymi się oczyma tak podobnymi do ojcowskich. Zasnęła wreszcie snem ostatecznego wyczerpania. Nie wiedziała jak długo to trwało. Obudziła się nagle i znowu usłyszała ocieranie się ciała o korę drzewa i znowu konar pochylił się pod wielkim ciężarem. Powrócił! Zrobiło się jej zimno, drżała jak w febrze. Czyżby to był on, lub też, o Boże! Czyżby go zabiła i to był...? Próbowała odpędzić przerażającą myśl, gdyż czuła, że grozi jej obłąd.

I znowu podkradła się pod drzwi, gdyż coś, jak poprzedniej nocy, stało za nimi. Drżącymi rękami wetknęła w otwór koniec włóczni. Czekwała, czy krzyknie spadając.

# Rozdział XXI

## Nieoczekiwany sprzymierzeniec

Gdy Tarzan usłyszał szept zbirów, odjął był już ostatnią sztabę, by otrzymać dostatecznie obszerny otwór, przez który mógłby się przedostać. Przedtem już upłócił sznur ze skórzanych rzemieni, gdy tymczasem tamci się naradzali, brązowe ciało wyslizgnęło się przez okno.

Uciekając z lochu, znalazł się Tarzan w murem otoczonym obszarze, obejmującym pałac i zabudowania świątyni. Przed nim ciągnęła się kręta i bezludna zwykle aleja, wiodąca ku zewnętrznej bramie, która prowadziła z obszarów pałacowych ku miastu.

Ciemności ułatwiały mu ucieczkę. Jeśli uda mu się minąć strażę pałacową, reszta pójdzie łatwo. W ciemnościach mógł ujść za Ho-dona. Istotnie, po opuszczeniu bezludnej alei napotkał wielu przechodniów i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Gdy doszedł do straży przed bramą pałacową, złożonej z sześciu wojowników, spróbował obojętnie ich minąć. Udałoby mu się to, gdyby nie nadbiegł ktoś od strony świątyni z okrzykiem: „Nikogo nie puszczać za bramę! Więzień uciekł z Pał-ul—ja!”

Jeden z wojowników zagroził drogę Tarzanowi i poznał go bezzwłocznie. — X ot tor! — zawołał. — Oto on! Rzućcie się na niego! Na bok! Na bok, bo cię zabiję!

Nadeszli inni. Trudno powiedzieć, że się rzucili. Jeśli chcieli się rzucić na niego, to znać było wybitny brak zapału, jak gdyby chcieli kogoś innego namówić, by na niego napadł. Zbyt dużo rozpowiadano o jego waleczności. Bezpiecznie było trzymać się w pewnej odległości i rzucać maczugą. Tak też uczynili.

Tarzan odparowywał pociski z jedną wciąż myślą — tak się umieścić, by dosięgnąć jednego z przeciwników. Ale tamci mieli się na baczności i starali się trzymać między nim i bramą, wciąż wzywając posiłków.

Wedle swej zwykłej taktyki, dwu lub trzech wojowników wciąż krążyło poza nim, podnosząc rzucone maczugi, gdy uwaga Tarzana gdzie indziej była zwrócona. On również dużo ich pochwycił i ciskał z tak dobrym skutkiem, że pozbył się dwu napastników. Nadbiegła jednakże pomoc. Nie było czasu do stracenia. W każdej ręce trzymał po maczudze; cisnął jedną i trafił wojownika, gdy zaś ten się zachwiał, rzucił się ku niemu i pochwycił go, jednocześnie drugą maczugą rzucając w innego przeciwnika. Złapany Ho-don sięgał po nóż, ale człowiek-małpa chwycił go za rękę. Ciała ich się splotły, rozległ się trzask kości i okrzyk przedśmiertny. Tarzan wzniosł wojownika do góry i jako tarczę trzymał go między sobą a pozostałymi, cofając się ku bramie. Obok stała pochodnia, oświetlająca wejście do obszarów pałacowych. Wojownicy spieszyli na pomoc towarzyszowi, gdy człowiek-małpa podniósł jeńca wysoko nad głowę i cisnął nim w twarz najbliższemu napastnikowi. Ten rozciągnął się jak długi i wyrócił dwu za nim biegnących. Wówczas Tarzan chwycił pochodnię i rzucił ją na nacierające posiłki.

W ciemnościach jakie teraz zapanowały, Tarzan uciekł do miasta, leżącego za bramą pałacu.

Słyszał przez chwilę odgłosy pościgu, które zwróciły się w kierunku Jad-in-lulu i wkrótce zamarły. Szukali go po błędnym tropie, gdyż on umyślnie zawrócił na południe od Tu-luru, by zmylić pogoń.

Wiedział, że na drodze spotka jezioro Jad-bal-lul, które będzie musiał okrążyć, potem rzekę, którą trzeba przebyć przy wielkim jeziorze, nad którym leżał A-lur. Nie wiedział, jakie jeszcze przeszkody może napotkać, pewien był jednak, że lepiej iść pieszo, niż próbować ukraść łódź i jednym wiosłem dążyć w górę rzeki. Zamiarem jego było jak najbardziej oddalić się od Tu-luru przed nocą, gdyż wiedział, że Mo-sar z nastaniem dnia, wcześniej może, wyśle za nim pogoń.

Oddaliwszy się o milę lub dwie od miasta, wszedł do lasu i tu poczuł się tak bezpieczny, jak nigdy się nie czuł na otwartej przestrzeni, lub w miastach. Ruszył drogą drzewną i chociaż było ciemno a las nieznany, posuwał się z łatwością i pewnością siebie. Słyszał ja, wyjącego gdzieś nad sobą, i sowę, ponuro hukającą z prawej strony — dawne, znane dobrze głosy — starych znajomych.

Doszedł wreszcie do małego potoku, do miejsca, gdzie drzewa nie stykały się ze sobą, musiał więc spuścić się na ziemię i przebrnąć przez wodę. Na przeciwległym brzegu zatrzymał się, zamieniony nagle w posąg marmurowy. Tylko drgające nozdrza zdradzały pulsujące w nim życie. Stał tak długą chwilę, po czym spiesznie, acz z wrodzoną ostrożnością, ruszył naprzód. Doszedł do stóp wysokiego drzewa, zatrzymał się i wśród liści dojrzał niewyraźne zarysy czworobocznej masy. Z dziwnym uczuciem wspiał się na gałęzie. Jak gdyby serce jego napełniało wielkie szczęście, czy wielka trwoga.

Nasłuchując zatrzymał się przed ształasem, zbudowanym wśród gałęzi. Z wnętrza doszedł go ten sam delikatny zapach, który zwrócił jego uwagę nad potokiem, o milę odległym. Przykucnął na gałęzi tuż za drzwiczkami.

— Janino, duszo mej duszy, to ja! — zawołał. Jedyną odpowiedzią było nagłe odetchniecie, na wpół westchnienie i odgłos padającego na podłogę ciała. Tarzan chciał rozwiązać rzemienie, umocowujące drzwi, lecz były zawiązane od wewnątrz, chwycił więc niecierpliwą ręką kruchą zaporę i oderwał ją jednym wysiłkiem swej potężnej dłoni. Wszedł do środka i znalazł martwe na pozór ciało swej żony na podłodze.

Pochwycił ją w ramiona; serce jej biło, oddychała — zrozumiał, że zemdląca.

Gdy Janina Clayton odzyskała przytomność, znalazła się w silnych ramionach, z głową złożoną na szerokiej piersi, na której tak często dawniej znajdowała uspokojenie swych lęków i ukojenie cierpienia. Z początku sądziła, że to tylko sen. Nieśmiało sięgnęła ręką do jego policzka.

— John — szepnęła — powiedz mi, czy to ty naprawdę?

W odpowiedzi przycisnął ją do siebie. — Tak, to ja — odrzekł. — Ale mam coś w gardle, co mi przeszkadza mówić.

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego. — Bóg jest dobry dla nas, Małpi Tarzanie — powiedziała.

Milczeli czas jakiś. Wreszcie mogli zacząć mówić, a gdy wzeszło słońce, wciąż jeszcze rozmawiali. Tyle mieli do powiedzenia sobie nawzajem, tyle było pytań do zadania i do odpowiedzi!

— A Jack — zapytała — gdzie jest?

— Nie wiem — odparł Tarzan. — Gdy ostatnio o nim słyszałem, był na froncie aragońskim.

— Ach, więc nasze szczęście nie jest zupełne — rzekła z odcieniem smutku w głosie.

— Nie — odpowiedział — ale w tym samym położeniu są niezliczone rodziny angielskie. Duma musi zastąpić szczęście.

Potrząsnęła głową. — Chcę swego chłopca.

— I ja także — odparł Tarzan — i mam nadzieję, że będziemy go mieli. Był zdrow i cały według ostatnich wiadomości, jakie otrzymałem. A teraz musimy myśleć o naszym powrocie. Czy chciałabyś,

byśmy odbudowali bungalow i zebrali resztki naszych Waziri, czy wolałabyś wrócić do Londynu?

— Tylko po to, by odnaleźć Jacka — rzekła. — Wciąż śnię o bungalowie, nigdy zaś o mieście. Ale, Johnie, możemy tylko marzyć, bo Obergatz powiedział mi, że okrążył całą tę krainę i nie znalazł miejsca, w którym by można przejść przez trzęsawiska.

— Ja nie jestem Obergatz — przypomniał jej Tarzan z uśmiechem. — Dziś odpoczniemy, jutro zaś skierujemy się na północ. To dzika kraina, ale skoro raz ją przeszliśmy, potrafimy przejść i powtórnie.

Następnego ranka Tarmangani i jego małżonka wyruszyli w podróż przez dolinę Jad–ben–Otho’a. Przed nimi byli srodzy ludzie i dzikie zwierzęta, i wyniosłe góry pal–ul–donu; za górami gady i trzęsawiska, za tymi zaś suche, cierniami porośłe stepy i znowu dzikie zwierzęta i ludzie, i męczące, wrogie mile nieprzebytego pustkowia dzielące ich od zwęglonych ruin ich domu.

\* \* \*

Porucznik Erich Obergatz na czworakach czołgał się po trawie, zostawiając za sobą ślady krwi. Po wydaniu pierwszego okrzyku, zachował milczenie w obawie, że ta diabelska kobieta puści się za nim w pogoń. Czołgał się tylko, poszukując gęstwiny, w której by się mógł ukryć.

Pewien był, że umrze, ale nie umarł i rankiem przekonał się, że rana była tylko powierzchowna. Włócznia przeszła mu bok, zadając mu ranę bolesną, ale nie śmiertelną. Postanowił jak najdalej się odsunąć od Janiny Clayton. Ruszył na czworakach wyobrażając sobie, że w ten sposób najlepiej się ukryć przed pościgiem. Uciekając obmyślał jednocześnie plany zemsty. Zapłaci mu ona za zadanie cierpienia. Zapłaci za odtrącenie go. Nie próbując wyjaśnić sobie, dlaczego to robi, uciekał i krył się. Ale powróci. Powróci i zamorduje. Wciąż to sobie powtarzał i zaczął się śmiać tym strasznym, niesamowitym śmiechem, który tak przeraził Janinę. Spostrzegł, że kolana go bolą i krwawią. Ostrożnie obejrzał się poza siebie. Nikogo nie było widać. Nadstawił uszu. Nie było słychać pogoni.

Podniósł się na nogi i poszedł dalej, pokryty krwią i błotem, z brodą i włosami rozczochranymi, pełnymi śmiecia, zaschłego mułu i nieopisanego brudu. Stracił rachubę czasu.

Żywił się owocami, jagodami i korzeniami, które palcami wydłubywał z ziemi. Szedł brzegiem jeziora i rzeki, aby być w pobliżu wody, a gdy zawył lub zaryczał ja, wdrapywał się, drżący, na drzewo.

Doszedł w ten sposób do południowego wybrzeża Jad–ben–lulu i zatrzymał się nad rzeką. Za błękitną wodą połyskiwało w słońcu białe miasto. Długo na nie spoglądał, jak sowa mrugając oczyma. W zamglonym mózgu zaczęło się z wolna budzić wspomnienie. To A–lur, Gród Światłości. Asocjacja myśli przywiodła mu na pamięć Bu–lur i Waz–ho–donów.

Wyprostował się i zaczął się przechadzać nad wybrzeżem. — Jam jest Jad–ben–Otho — wykrzykiwał — jam jest Wielki Bóg. W A–lurze moja świątynia i mój najwyższy wielki kapłan. Co robi Jad–ben–Otho sam jeden w dżungli?

Wszedł do wody i podnosząc głos, wykrzykiwał w kierunku A–luru:

— Jam jest Jad–ben–Otho. Przyjdźcie, niewolnicy, zabierzcie swego boga do świątyni.

Znaczna jednak odległość dzieliła go od A–luru, nikt nie przyszedł. Osłabiony umysł zajął się innymi sprawami — ptakiem, bujającym w powietrzu, rybkami, pływającymi u jego stóp. Spróbował je złapać i na czworakach zaczął pełzać po wodzie, na próżno usiłując schwycić płochliwe stworzenia. Przyszło mu do głowy, że jest lwem morskim. Zapomniał o rybach, położył się i spróbował pływać, bijąc po wodzie nogą, jak gdyby to był ogon. Trudy, niedostatek, trwoga, w ciągu zaś ostatnich tygodni brak odpowiedniego pokarmu uczyniły z Ericha Obergatza niemal idiotę.

Wąż wodny wypłynął na powierzchnię jeziora. Podążył za nim na czworakach. Wąż popłynął ku wybrzeżu, ku ujściu rzeki, gdzie gęsto rosły wysokie trzciny, Obergatz pośpieszył za nim, jak wieprz chrząkając. Zgubił węża wśród trzciny, znalazł za to co innego — czółno, ukryte przy samym brzegu. Obejrzał je ze śmiechem. Były tam dwa wiosła — wyjął je i puścił z biegiem rzeki. Spoglądał na nie przez chwilę, po czym usiadł obok czółna i zabawiał się pluskaniem ręką w wodzie. Podobał mu się dźwięk plusku i widok bryzgających kropli. Lewe ramię potarł prawą dłonią. Zeszedł brud i

zostawił białą plamę, która zwróciła jego uwagę. Potarł się po ciele, pokrytym krwią i błotem. Nic zamierzał się umyć, bawiły go tylko dziwne wyniki.

— Staję się biały! — wykrzyknął.

Od swego ciała, z którego teraz zeszła krew i brud, odwrócił oczy ku białemu miastu, iskrzącemu się w gorącym słońcu.

— A—lur, Gród Światłości! — krzyknął.

Przypomniał mu się Tu—lur i że Waz—ho—doni uważali go za Jad—ben—Otho.

— Jestem Jad—ben—Otho! — wrzasnął i wzrok jego padł znowu na czołno. Przyszła mu nowa myśl do głowy. Spojrzał po sobie i widząc brudną przepaskę, nasiąkła wodą, i jeszcze bardziej niż poprzednio poszarpaną, zdarł ją z siebie i cisnął do jeziora. — Bogowie nie noszą podartych łachmanów — rzekł głośno. — Niczego nie noszą, prócz wieńców i girland z kwiatów. Jestem bogiem — jestem Jad—ben—Otho — idę do swego świętego miasta A—luru!

Przebrał palcami swe zwichrzone włosy i brodę. Woda zmiękczyła śmiecie, ale ich nie wymiotła. Potrząsnął głową. Włosy i woda nie harmonizowały z jego boskim dostojenstwem. Zaczął jaśniej myśleć, gdyż wielka idea skupiła jego umysł na jednym, określonym celu, wciąż był jednak prawie wariatem. Teraz był wariatem, mającym wytknięty cel. Nazbierał kwiatów i paproci i wplótł je w brodę i we włosy. Gdy doszedł do przekonania, że wygląd jego odpowiada jego boskości, wrócił do czołna, odepchnął je od brzegu i wskoczył w nie. Popłynęło z biegiem rzeki ku jezioru. Nagi człowiek stał wyprostowany w małej łódce z ramionami, założonymi na piersiach. Głośno wykrzykiwał w kierunku miasta: — Jam jest Jad—ben—Otho! Niechaj najwyższy kapłan i niżsi kapłani przyjdą mi służyć!

Był na środku jeziora, gdy zauważył go ktoś z muru pałacu. Gdy się zbliżył, zebrał się tłum wojowników, kobiet i dzieci nad wybrzeżem. Na mury świątyni wyległo wielu kapłanów i Lu—don między nimi. Na widok dziwacznej postaci i na dźwięk jej słów, zwęziły się chytre oczy najwyższego kapłana. Wiedział on już o ucieczce Tarzana i obawiał się, że w razie jego przyłączenia się do armii Ja—dona, Dor—ul—Otho nawet samozwańczy może pokrzyżować mu plany.

Czołno zbliżało się. Niżsi kapłani czekali na rozkazy Lu—dona.

— Przyciągnijcie go tutaj! Jeśli to jest Jad—ben—Otho, poznam go — powiedział.

Kapłani pośpieszyli na obszar pałacowy i zawezwali wojowników.

— Przyprawdźcie tego obcego do Lu—dona. Jeśli to jest Jad—ben—Otho, poznamy go.

Przyprowadzono porucznika Ericha Obergatza przed oblicze najwyższego kapłana A—luru. Lu—don bacznie przyglądał się nagiemu człowiekowi o fantastycznie przybranej głowie.

— Skąd przybywasz? — zapytał.

— Jestem Jad—ben—Otho! — wykrzyknął Niemiec. — Przychodzę z nieba. Gdzie mój najwyższy kapłan?

— Jam jest najwyższy kapłan — rzekł Lu—don.

Obergatz zaklaskał w dłonie.

— Obmyć mi nogi i przynieść jedzenie — rozkazał.

Lu—don pochylił się tak nisko, że czołem dotknął stóp przybysza. Zrobił to wobec kapłanów i wojowników pałacowych.

— Hej, niewolnicy! — zawołał podnosząc się — przynieście wody i jadła dla Wielkiego Bożyszczka...

Wielki kapłan w obliczu swego ludu uznał boskość porucznika Obergatza. Niezadługo wieść o tym rozeszła się po pałacu, po mieście i po wioskach między A—lurem i Tu—lurem.

Przyszedł Bóg prawdziwy — Jad—ben—Otho we własnej osobie, by stanąć po stronie Lu—dona.

Mo-sar bez straty czasu oddał się w rozporządzenie Lu-dona, przestał też wspominać o swych roszczeniach do tronu. Uważał się za szczęśliwego, że pozwolono mu spokojnie przebywać na dawnym stanowisku w Tu-lurze i nie mylił się co do tego. Mógł się jednak na coś przydać. Lu-don więc pozostawił go przy życiwi i kazał mu przybyć do A-luru ze wszystkimi wojownikami, gdyż rozeszły się wieści, że Ja-don zbiera wielką armię na północy i wkrótce wyruszy na Gród Światłości.

Obergatz w pełni używał swego boskiego stanowiska. Obfitość jadła, spokój i wypoczynek przywróciły mu częściowo rozum, ale pod jednym względem bardziej niż kiedykolwiek był obłąkany: żadna moc świata nie zdołałaby go przekonać, że nie był bóstwem. Dano mu do rozporządzenia niewolników, z którymi obchodził się w zwykły sobie sposób. Przyrodzone mu okrucieństwo dogadzało usposobieniu Lu-dona, trwali więc w najlepszej ze sobą harmonii.

W głównej świątyni wzniesiono przed wschodnim ołtarzem tron, na którym Jad-ben-Otho mógł zasiadać i osobiście przypatrywać się ofiarom, składanym mu co dzień o zachodzie słońca. Okrutny, pół obłąkany mózg tak rozkoszował się tym widokiem, nieraz nalegał, by mu pozwolono włączyć nożem ofiarnym. W takich wypadkach kapłani i lud padali na twarz, pełni czci dla groźnego bóstwa.

Jeśli Obergatz nie nauczył ich więcej miłować ich boga, to nauczył lękać się go tak, jak nigdy przedtem. Imię Jad-ben-Otho szeptem wymawiano, a małe dzieci skłaniały się do posłuszeństwa na samą o nim wzmiankę. Lu-don przez kapłanów i niewolników szerzył wieści, że Jad-ben-Otho nakazał wszystkim swym wiernym zgromadzić się pod sztandarem najwyższego kapłana A-luru, że wszyscy inni byli wyklęci zwłaszcza Ja-don i nikczemny bluźnierca, który podawał się za Dor-ul-Otho. Skutek był niezwłoczny — rekruci napływali, ofiarując swe usługi Lu-donowi.

# Rozdział XXII

## Sprzymierzeniec Ja-dona

Tarzan i Janina poszli brzegiem Jad-bal-lulu i przepawili się przez rzekę w górę jeziora. Posuwali się z wolna, nie śpiesząc się, dbając o wygody i bezpieczeństwo, gdyż człowiek-małpa, odnalazszy wreszcie żonę, postanowił unikać wszystkiego, co mogłoby ich rozłączyć, opóźnić lub uniemożliwić ucieczkę z pal-ul-donu. Pełni byli szczęścia z powodu połączenia się po tak długiej rozłące, dużo mieli do opowiadania sobie nawzajem o swych nadzwyczajnych przygodach.

Tarzan postanowił obrać drogę obok A-luru i wiosek ho-dońskich, przechodząc między mmi górami, by w ten sposób ominąć zarówno Ho-donów, jak Waz-donów, gdyż owa przestrzeń była terytorium neutralnym, przez żaden z tych szczepów nie zamieszkałym. Wędrowałby więc w kierunku północno-zachodnim aż do Kor-ul-ja, gdzie zamierzał odwiedzić Om-ata, zanieść mu wieść o Pan-at-lee i przedstawić plan uwolnienia jej.

Trzeciego dnia podróży, gdy dochodzili do rzeki, przepływając A-lur, Janina pochwyciła nagle ramię Tarzana i ukazała na skraj lasu, do którego się zbliżali. W cieniu wielkiego drzewa leżało olbrzymie zwierzę.

— Co to? — szepnęła Janina.

— Gryf — odrzekł człowiek-małpa. — Spotkaliśmy go w najgorszym miejscu, jakie można wybrać. Nie ma w pobliżu wysokiego drzewa prócz tego, pod którym on właśnie stoi. Musimy zawrócić. Módlmy się, by nas nie zauważył.

— A jeśli zauważy?

— Będę musiał zaryzykować.

— Co zaryzykować?

— Próbę ujarznienia go, jak to już raz mi się udało. Pamiętasz — opowiadałem ci o tym.

— Tak, ale nie wyobrażałam sobie, że to tak olbrzymie stworzenie. Przecież on jest tak wielki jak statek wojenny.

Człowiek-małpa roześmiał się.

— Niezupełnie, chociaż muszę przyznać, że gdy naciera, wygląda groźnie.

Powolutku, by nie zwrócić uwagi zwierzęcia, zaczęli się cofać.

Rozległ się ryk, podobny do dalekich grzmotów. Tarzan potrząsnął głową.

— Zaczyna się wielkie przedstawienie — zażartował. Przycisnął żonę do piersi i ucałował ją. — Nie wiadomo, co będzie Janino. Zrobimy, co możemy. Daj mi włócznię i — nie uciekaj.

Zwierzę wyłoniło się z lasu i poszukiwało ich swym słabym wzrokiem. Tarzan podniósł głos i wydał dziki okrzyk Tor-o-dona: „Whee-oo! Whee-oo!”. Zwierzę stało chwilę bez ruchu. Człowiek-małpa przybliżył się wraz z żoną.

— „Whee-oo!” — powtórzył rozkazującym głosem. Odpowiedziało mu niskie huczenie i zwierzę z wolna ku nim ruszyło.



— Świetnie! — zawołał Tarzan. — Wiedzię się nam. Nie boisz się? Ale niepotrzebnie o to pytam.

— Nie mam trwogi, gdy jestem z Małpim Tarzanem — odpowiedziała.

Zbliżyli się do potwora i stanęli w cieniu jego potężnego grzbietu.

— Whee—oo! — wykrzyknął Tarzan i uderzył straszną mordę końcem włóczni.

— Chodź — rzekł do Janiny i wzięwszy ją za rękę, posadził ją na grzbiecie straszdyła. — Teraz pojedziemy na sposób naszych przodków. Czy chciałabyś przegalopować przez Hyde Park na tym wierzchowcu?

— Obawiam się, że nasze stroje nie spodobałyby się policjantom — zaśmiała się.

Tarzan skierował gryfa na upatrzoną przez siebie drogę.

Jechali, śmiejąc się i rozmawiając. Raz natknęli się niespodziewanie na dwunastu wojowników ho—dońskich, którzy leżeli w cieniu samotnego drzewa na polance. Na widok potwora, zerwali się z okrzykiem, na co gryf odpowiedział rykiem wyzwania i natarł na nich. Wojownicy się rozbiegli. Tarzan póty kłut zwierzę włócznią po pysku, aż udało mu się je poskromić, w chwili gdy gryf już zabierał się do jednego biedaka, którego widocznie sobie upatrzył. Z gniewnym chrząkaniem gryf się zatrzymał, a ścigany znikł w dżungli. Człowiek—małpa był rozpromieniony. Wątpił czy mu się uda poskromić zwierzę w razie, gdyby temu przyszło do głowy napaść jaką ofiarę i zamierzał porzucić je, zanim dosięgną Kor—ul—ja. Teraz zmienił projekt — do samej wioski Om—ata wjadą na gryfie. Chodziło mu nie tylko o Janinę, chociaż wiedział, że na grzbiecie najstrasznego Pal—ul—dońskiego stworzenia będzie zabezpieczona zarówno przed ludźmi, jak przed zwierzętami.

Gdy zbliżali się z wolna do Kor—ul—lulu, garść przerażonych wojowników przybiegła do A—luru szerząc dziwaczne wieści o Dor—ul—Otho, tylko że żaden z nich nie śmiał nazwać go głośno Dor—ul—Otho. Natomiast mówili o nim jako o Tarzanie—jad—guru i opowiadali, że spotkali go na grzbiecie potężnego gryfa obok pięknej, obcej kobiety, którą Ko—tan chciał być uczynić królową pal—ul—donu. Doszła ta historia do Lu—dona, który kazał przywołać wojowników przed swe oblicze. Szczegółowo ich wybadawszy, uwierzył, że prawdę mówili. Gdy wskazali mu, w jakim kierunku ci dwoje jechali, wywnioskował, że dążyli do Ja—luru, by połączyć się z Ja—donem, i postanowił nie dopuścić do tego za wszelką cenę.

Jak zazwyczaj, gdy się znajdował w potrzebie, wezwał Pan—sata i długo się z nim naradzał. Po skończonej rozmowie Pan—sat niezwłocznie udał się do swej komnaty, gdzie zdjawszy z siebie szaty kapłańskie, przybrał się w strój i uzbrojenie wojownika, po czym wrócił do Lu—dona.

— Wybornie! — zawołał najwyższy kapłan. — Nikt cię teraz nie pozna. Nie trać czasu, Pan—sacie, wszystko zależy od twego pośpiechu i pamiętaj: jeśli zdołasz, zabij mężczyznę, ale kobietę dostarcz mi żywą. Rozumiesz?

— Tak, panie — odparł kapłan.

Samotny wojownik wyruszył z A—luru i udał się na północny—zachód w kierunku Ja—luru.

\* \* \*

Najbliższy wawóz nad Kor-ul-ja jest nie zamieszkanym, tu więc Ja-don postanowił zmobilizować swą armię. Dwa względy nim kierowały: po pierwsze mógł tu zachować w tajemnicy przed nieprzyjacielem swe plany, po wtóre mógł swych ludzi utrzymać z dala od plotek miejskich, krążących o zjawieniu się Jad-ben-Otho we własnej osobie na pomoc Lu-donowi w jego wojnie przeciwko Ja-donowi. Już zdarzały się dezercje i sprawie Ja-dona zdawała się grozić zagłada.

Z początku Ja-don podał w wątpliwość prawdomówność informatora, ale jako dobry wódz, nie mógł nawet oczywiście fałszywej wieści pozostawić nie zbadaną. Postanowił udać się osobiście na wzgórze i przekonać się, jaki widok napędził strachu wartownikom. Zająwszy miejsce obok żołnierzy, zobaczył coś czego nigdy w swym długim życiu nie widział — o jakieś ćwierć mili dwoje ludzi jechało na szerokim grzbiecie gryfa.

W pierwszej chwili nie dowierzał własnym oczom, poznał jednak niebawem jeźdźca i zerwał się z okrzykiem:

— To on! To Dor-ul-Otho we własnej osobie!

Gryf i jadący na nim usłyszeli okrzyk, chociaż słów nie rozróżnili.

Pierwszy przerażająco ryknął i ruszył ku wzgórzom, a Ja-don wraz z kilku odważniejszymi wojownikami pobiegł na spotkanie. Tarzan, pragnąc uniknąć wmieszania się w niepotrzebne sprawy, usiłował zawrócić gryfa, trudne jednak do poskromienia zwierzę wymagało zazwyczaj kilku minut, zanim uległo woli swego pana. Toteż obie strony były już blisko siebie, zanim człowiekowi-małpie udało się powstrzymać szalony pęd rozwścieczonego wierzchowca.

Ja-don i jego wojownicy zrozumieli, że to ryczące stworzenie zdążyło ku nim z niedobrymi zamiarami i czym prędzej wspięli się na drzewa. Pod tymi właśnie drzewami Tarzan zatrzymał gryfa.

— Jesteśmy przyjaciółmi! — zawołał Ja-don. — Ja jestem Ja-don, wódz Ja-luru, i wraz ze swymi wojownikami, ścielemy się w prochu u stóp Dor-ul-Otho i błagamy go, by raczył nam dopomóc w naszej sprawiedliwej wojnie z Lu-donem najwyższym kapłanem.

— Czy go dotąd jeszcze nie poraziliście? — zapytał Tarzan. — A ja myślałem, że już od dawna jesteś królem pal-ul-donu.

— Nie — odparł Ja-don. — Lud boi się najwyższego kapłana, odkąd zaś ma on w swej świątyni kogoś, kto podaje się za Jad-ben-Otho, trwoga zdjęła wielu moich wojowników. Gdyby się dowiedzieli, że Dor-ul-Otho powrócił i błogosławi sprawie Ja-dona, pewien jestem, że naszym byłoby zwycięstwo.

Tarzan długo się namyślał, zanim przemówił.

— Ja-don — rzekł — był jednym z niewielu, którzy mnie wierzyli i którzy pragnęli, by się ze mną odpowiednio obchodzono. Mam dług do spłacenia Ja-donowi i porachunki do załatwienia z Lu-donem nie tylko z mego własnego powodu, ale głównie z powodu mej małżonki. Pójdę z tobą, Ja-donie, by wymierzyć Lu-donowi zasłużoną karę. Powiedz mi, wodzu, w jaki sposób Dor-ul-Otho może najlepiej przysłużyć się ludowi swego ojca?

— Udając się wraz ze mną do Ja-luru i pobliskich wiosek — pośpieszył Ja-don z odpowiedzią

— ażeby lud mógł się naocznie przekonać, że jesteś prawdziwie Dor-ul-Otho i sprzyjasz sprawie Ja-dona.

— Sądziś, że teraz łatwiej uwierzy we mnie niż poprzednio?

— Któż ośmieli się wątpić, że ten, co jeździ na gryfie, nie jest bogiem? — odparł stary wódz.

— A jeśli udam się z wami na wojnę, czy zapewnicie bezpieczeństwo mej małżonce podczas mojej nieobecności?

— Pozostanie w Ja-lurze wraz z księżniczką O-lo-a i mymi własnymi kobietami — rzekł Ja-don. — Będzie tam bezpieczna, gdyż polecę ją opiece zaufanych wojowników. Powiedz, że pójdziesz z nami, o Dor-ul-Otho, a czara mego szczęścia wypełni się po brzegi, gdyż nawet Ta-den, mój syn, prowadzi armię z północnego-zachodu. Jeżeli zaatakujemy A-lur, z Dor-ul-Otho na czele, od strony północno—wschodniej, zwycięstwo będzie po naszej stronie.

— Stanie się jak pragniesz, Ja-donie — odparł Tarzan — ale przede wszystkim musisz nakarmić mego gryfa.

— Dużo zabitej zwierzyny leży w obozie — rzekł Ja-don, gdyż moi ludzie niewiele mieli do roboty, oprócz polowania.

— Doskonale! — zawołał Tarzan. — Przynieście ją natychmiast.

Gdy przyniesiono mięso i położono je w pewnej odległości, człowiek-małpa zesunął się z grzbietu swego groźnego wierzchowca i nakarmił go własnymi rękami.

— Dbajcie, by miał zawsze pod dostatkiem mięsa — rzekł do Ja-dona, pomny na to, że szybko skończyłoby się jego panowanie, gdyby dopuścił do wygłodzenia potwora.

Nazajutrz rankiem wyruszyli do Ja-luru, a Tarzan znalazł gryfa, leżącego tam, gdzie go był poprzedniego wieczora zostawił — obok świeżych trupów dwu antylop i lwa, z których nie pozostało ani śladu.

— Paleontolodzy mówią, że on był trawożerny — rzekł Tarzan, gdy zbliżył się wraz z Janiną do zwierzęcia.

Drogę do Ja-luru odbywali między rozrzuconymi wioskami, gdzie Ja-don spodziewał się wzbudzić nowy zapał dla swej sprawy. Poprzedzał ich oddział wojowników, by należycie przygotować lud nie tylko na widok gryfa, ale i przyjęcia Dor-ul-Otho odpowiednio do jego wysokiej godności. Osiągnęli wyniki, oczekiwane przez Ja-dona. W żadnej z mijanych wiosek nie znalazł się nikt, kto by wątpił w boskość przybysza.

Gdy już zbliżali się do Ja-luru, przyłączył się do nich obcy, nikomu nime znany wojownik. Powiedział, że przybywa z jednej z południowych wiosek i że jeden z wodzów Lu-dona źle był się z nim obszedł. Z tego powodu porzucił zastępy najwyższego kapłana i udał się na pomoc, w nadziei znalezienia przytułku w Ja-lurze. Stary wódz rad z przybytku każdego nowego wojownika, pozwolił mu przyłączyć się do orszaku i dzięki temu razem przybyli do Ja-luru.

Tam powstało pytanie, co robić z gryfem podczas ich pobytu w mieście. Z trudnością powstrzymał Tarzan dziką bestię od rzucenia się na wszystkich, gdy zbliżył się do obozu Ja-dona w nie zamieszkanym wąwozie Kor-ul-ja. Wprawdzie podczas pochodu do Ja-luru zwierzę zdawało się znacznie ujarzmione, trudno jednak byłoby puścić je wolno w mieście. Postanowiono w końcu zamknąć je w otoczonej murem przestrzeni na obszarach pałacowych.

Ja-don poprowadził Tarzana i Janinę do komnat księżniczki O-lo-a, która na widok człowieka-małpy padła na ziemię, czołem dotykając jego stóp. Pan-at-lee, jej nierozłączna towarzyszka, była równie uszczęśliwiona, że znów spotyka Tarzana-jad-guru. Gdy się dowiedziały, że Janina była jego małżonką, zaczęły spoglądać na nią z nie mniejszym uwielbieniem. I nie dziw, gdyż nawet najbardziej sceptycznie nastrojeni wojownicy Ja-dona głęboko wierzyli, że goszczą w mieście Ja-lurze boga i

boginię, którzy spowodują rychłe zwycięstwo Ja–dona i objęcie przez starego Lwiego Męża tronu Pal–ul–dońskiego.

Tarzan dowiedział się od O–lo–a o powrocie Ta–dena i że połączą się węzłem małżeńskim po bitwie pod A–lurem.

Garnęli się teraz do miasta nowozaciężni. Postanowiono, że nazajutrz Tarzan wróci do głównej armii, znajdującej się w ukrytym obozie, i że pod osłoną nocy niezwłocznie wykona napad na zastępy Lu–dona pod A–lurem. Zawiadomiono o tym Ta–dena, który ze swymi wojownikami oczekiwał po północnej stronie Jad–ben–lulu, o kilka mil od A–luru.

By wykonać te zamiary, trzeba było Janinę pozostawić w pałacu Ja–dona w Ja–lurze. Była tam jednak O–lo–a ze swymi kobietami i liczni wojownicy, pozostawieni celem ich pilnowania, Tarzan pożegnał więc swą małżonkę, żadnych obaw nie żywiąc. Dosiadłszy znowu gryfa, opuścił miasto wraz z Ja–donem i jego wojownikami.

U wejścia do wąwozu zsiadł z olbrzymiego wierzchowca, który przestawał mu być obecnie potrzebny. Mieli wykonać atak nazajutrz przed świtem, stracony byłby więc i tak efekt jego pojawienia się na gryfie. Kilku uderzeniami włóczni odpędził zwierzę w kierunku Kor–ul–gryfu, bynajmniej nie żałując utraty złośliwego i nienasyconego wierzchowca.

Niezwłocznie po przybyciu do wąwozu rozpoczęto pochód na A–lur.

# Rozdział XXIII

## Dor-ul-Otho uwięziony

Z zapadnięciem nocy z pałacu Ja-lurskiego jakiś wojownik przemknął się ostrożnie na obszar świątyni, udał się do pomieszczeń niższych kapłanów i wszedł do komnaty, w której po wieczornym posiłku zgromadziło się wielu kapłanów. Skończone były obrzędy i ofiary i aż do wschodu słońca nie mieli żadnych religijnych obrządków do spełnienia.

Nie było tajemnicą w całym niemal pal-ul-donie, że słaby węzeł łączył świątynię z pałacem Ja-lurskim i że Ja-don znosił obecność kapłanów i zezwalał na ich okrutne obrzędy dlatego tylko, że był to obyczaj, od niezliczonych wieków trwający, i że niełatwa była to walka z kapłaństwem. Powszechnie było wiadomo, że Ja-don nigdy nie przekraczał progów świątyni, jak również wielki kapłan — progów pałacu. Lud jednak odwiedzał świątynię i znosił swe ofiary, odprawiano tam obrzędy, jak we wszystkich innych świątyniach w pal-ul-donie.

Wojownik wiedział o tym wszystkim, wiedział może lepiej nawet, niż przystało zwykłemu wojownikowi.

Wszedłszy do komnaty, powitał zebranych kapłanów w sposób przyjęty w pal-ul-donie. Jednocześnie wszakże uczynił znak palcem, który mógłby pozostać nie zauważony przez nie wtajemniczonych. Że niektórzy z obecnych do takich nie należeli, pokazało się niebawem, gdyż natychmiast dwu kapłanów zbliżyło się do niego, witając go takim samym znakiem.

Po krótkiej chwili rozmowy wojownik opuścił komnatę. Niezadługo potem jeden z kapłanów, który z nim rozmawiał, wyszedł również, wkrótce zaś po nim i drugi.

W korytarzu znaleźli oczekującego ich wojownika i powiedli do małej komnaty. Tu wszyscy trzej porozmawiali szeptem, po czym wojownik wrócił do pałacu, a kapłani do swych pomieszczeń.

Komnaty w pałacu Ja-lurskim znajdują się wszystkie po jednej stronie długiego korytarza. Każda posiada drzwi, wychodzące na korytarz i okna — na ogród. W jednej z tych komnat spała Janina. Na obu końcach korytarza stał wartownik, oddział zaś straży mieścił się w komnacie, tuż przy głównym wejściu do apartamentów kobiecych.

Pałac spał. Ja-lur był spokojnym miastem w porównaniu ze stolicą A-lurem, jednakże zawsze czuwała straż przy wejściu do komnaty Ja-dona i jego najbliższej rodziny, jak również przy bramach wiodących do świątyni i do miasta.

Były to nieliczne straże, złożone z pięciu lub sześciu ludzi, z których jeden czuwał, podczas gdy pozostali spoczywali. Tak właśnie było, gdy zjawilo się dwu wojowników, po jednym na każdym końcu korytarza. Wartownikom, pilnującym bezpieczeństwa księżniczki O-lo-a i Janiny Clayton, powtórzyli zwykłe hasło, oznajmiające im zwolnienie i zawiadomili, że oni mają ich zastąpić. Bez żadnych wątpliwości tamci dwaj przyjęli zastępców i szybko się oddalili.

Wówczas zjawił się trzeci wojownik i wszyscy trzej zbliżyli się do drzwi śpiącej małżonki Tarzana... Jeden z nich był owym obcym wojownikiem, który spotkał Tarzana i Ja-dona ubiegłego

dnia u wrót Ja-luru; był tym samym wojownikiem, który niedawno był w świątyni.

Cicho unieśli zasłony u drzwi i wślizgnęli się do wnętrza. W rogu komnaty, na stosie skór, leżała pogrążona we śnie lady Greystoke. Bose stopy intruzów nie sprawiały żadnego szmeru po kamiennej posadzce. Promień księżyca, zagładający przez okno, jasno oświetlał piękne zarysy jej ramion i doskonały profil, mocno odcinając się na tle czarnych futer.

Na podłodze komnaty leżało dużo kobierców futrzanych. Dowódca trójki podniósł jeden z nich i zbliżywszy się do uśpionej, rozpostarł nad jej obliczeni.

— Teraz — szepnął i owinął głowę kobiety kobiercem.

Pomocnicy jego chwycili Janinę, za ramiona i postawili ją na nogi. Szybko, w milczeniu, związali jej ręce i zakneblowali usta. Wszystko to odbyło się tak cicho i sprawnie, że żaden dźwięk nie przemknął do przyległych komnat.

Próbowali ją zmusić, by zbliżyła się do okna, ale ona oparła się temu i rzuciła się na podłogę. Doprowadziło to ich do wściekłości i chętnie byliby okrucieństwami wymogli na niej posłuszeństwo, gdyby nie obawa przed gniewem Lu-dona w razie uszkodzenia cennej zdobyczy,

Musieli ją więc ponieść. Nie było to łatwe zadanie, bo branka utrudniała im je z wszystkich sił, wyrywając się i odtrącając zbirów. Wreszcie udało im się przesunąć ją przez okno do ogrodu. Stamtąd jeden z Ja-lurskich kapłanów poprowadził pozostałych ku małej, zakratowanej bramie w południowym murze. Bezpośrednio za bramą znajdowały się kamienne schody, wiodące w dół, ku rzece. U stóp schodów stał szereg łodzi. Pan-sat umieścił kobietę w jednej z nich, wsiadł sam i ujął za wiosło. Wspólnicy odwiązali łódź i odepchnęli ją od brzegu. Dokonawszy zdradzieckiego dzieła, wrócili do świątyni, podczas gdy Pan-sat, dzielnie wiosłując, szybko płynął w dół rzeki ku Jad-ben-lulowi i A-lurowi.

\* \* \*

Księżyc zaszedł, na wschodzie nie było jeszcze żadnej zapowiedzi zbliżającego się świtu, gdy długi szereg wojowników ukradkiem przemykał się do A-luru. Zdawało się, że nic nie stanie na przeszkodzie ziszczeniu się planów. Wysłano posła do Ta-dena, którego zastępy leżały na północnym-zachodzie od grodu. Tarzan z niewielkim oddziałem miał kroczyć do świątyni przez tajemne przejście, jemu tylko znane, Ja-don zaś, większymi siłami, miał zaatakować wrota pałacowe.

Człowiek-małpa, na czele małego oddziału, skradał się poprzez kręte aleje A-luru i niepostrzeżenie dotarł do budynku, kryjącego potajemne wejście. Miejsce to, jako jedynie kapłanom znane, nie było strzeżone. By ułatwić małej kompanii przedostanie się przez wąski, kręty, nierówny tunel, Tarzan zapalił pochodnię, umyślnie w tym celu przygotowaną, i poszedł na czele wojowników ku świątyni.

Wiedział, że wiele dokaże, jeśli mu się uda swym oddziałkiem dostać się do wewnętrznych komnat. Atak na ten punkt wprowadziłby zamieszanie wśród mało na ogół wojowniczych kapłanów i pozwoliłby rzucić się od tyłu na wojska pałacowe, gdy tymczasem Ja-don zajmowałby ich uwagę od strony bramy pałacu, armia zaś Ta-dena zjawiłaby się na murach północnych.

Istnieje przysłowie Pal-ul-dońskie, które w wolnym przekładzie brzmi: — Ten, kto idzie trafnym tropem, dochodzi częstokroć do mylnego celu. — Podobny los czekał wielkiego wodza północy i jego sprzymierzeńca.

Tarzan, lepiej od swych towarzyszy obeznany z krętym korytarzem i przy tym korzystający z pełnego światła pochodni, znacznie ich wyprzedził. Przejęty gorącym pragnieniem jak najrychlejszego zetknięcia się z nieprzyjacielem, mało dbał o tych, którzy mieli mu być pomocą. Pozostawiwszy daleko za sobą wojowników, dostał się do wyższego korytarza, do którego otwierały się komnaty Lu-dona i niższych kapłanów i ujrzał, że przed nim, wyszedłszy z innego korytarza, idzie jakiś wojownik, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc postać kobiecą. Natychmiast rozpoznał związaną i zakneblowaną branę, o bezpieczeństwo której w pałacu Ja-dona był dotychczas spokojny.

Jednocześnie tamten spostrzegł Tarzana.

W korytarzu było wejście do małej komnaty — tam Pan-sat skoczył wraz z kobietą. Małpi Tarzan rzucił się za nim. Cisnął precz pochodnię i wyciągnął długi, ojcowski niegdyś nóż. Z rozpędem nacierającego byka wpadł do komnaty za Pan-satem i gdy opadły za nim zasłony, znalazł się w nieprzeniknionych ciemnościach. Rozległ się zgrzyt kamienia, zakładanego na kamień przed nim, po chwili zaś podobny zgrzyt poza nim. Zrozumiał, że stał się znowu jeńcem w świątyni Lu-dona.

Z wolna oczy jego przywykły do ciemności i po pewnym czasie dojrzał mdłe światło, przedostające się przez jakiś otwór; po kilku minutach odkrył jego źródło. W powale komnaty dostrzegł mały otwór, może trzech stóp średnicy. Teraz mógł już dojrzeć zarysy celi więziennej. Na czworakach, zachowując jak największą ostrożność, zbadał powierzchnię podłogi. W samym środku, wprost pod otworem w powale, znajdowała się znana mu pułapka, wiedział już więc, że tego miejsca należy unikać. Następnie zajął się badaniem ścian. Miały tylko dwa otwory: drzwi, przez które sam wszedł i drugie, po przeciwnej stronie, którymi wojownik wyniósł Janinę. Jedne i drugie

były zabarykadowane kamiennymi płytami.

Lu–don, najwyższy kapłan, oblizwał swe wąskie wargi i zatarł białe, kościste dłonie, gdy Pan–sat przyniósł Janinę i złożył ją u jego stóp.

— Doskonale, Pan–sacie! — zawołał. — Otrzymasz nagrodę za tę usługę. Teraz, byleśmy tylko dostali w swą moc fałszywego Dor–ul–Otho, cały pał–ul–don legnie u naszych stóp!

— Panie, mam go! — wykrzyknął Pan–sat.

— Co! — zawołał Lu–don. — Masz Tarzana–jad–guru! Zabiłeś go zapewne. Mów, nadzwyczajny Pan–sacie, mów prędko. Serce moje drży z pragnienia usłyszenia tej wiadomości.

— Żywcem go ująłem, Lu–donie, panie mój — odparł Pan–sat. — Jest w małej komnatce, którą nasi przodkowie wybudowali, by chwytać w zasadzkę tych, którzy byli zbyt potężni, aby ich można było wziąć żywcem w inny sposób.

— Dobrze uczyniłeś, ja... Wylękniony kapłan wpadł do komnaty.

— Śpiesz, panie, śpiesz — krzyknął — korytarze są pełne żołnierzy Ja–dona!

— Oszalałeś! — zawołał najwyższy kapłan. — Pałac i świątynia są w rękach moich wojowników.

— Prawdę mówię, panie — rzekł kapłan — w korytarzu są wojownicy i zbliżają się do tej właśnie komnaty. Idą od strony tajnego przejścia, wiodącego tu z miasta.

— Możliwe, że tak jest, jak on mówi! — zawołał Pan–sat. — Z tej właśnie strony nadchodził Tarzan–jad–guru, gdy go spostrzegłem i wciągnąłem w zasadzkę. Prowadził swych wojowników do samego świętego świątyni.

Lu–don pobiegł ku drzwiom i wyjrzał na korytarz. Szło dwustu wojowników, ale robili wrażenie zmieszanych i bynajmniej nie pewnych siebie. Najwyższy kapłan odgadł, że pozbawieni dowództwa Tarzana czuli się zablakani w nieznanym labiryncie podziemi świątyni.

Wróciwszy do komnaty chwycił sznur rzemienny, zwisający od sklepienia. Mocno nim zatargał i po świątyni zabrzmiały głębokie tony metalowe gongu. Pięciokrotnie rozległy się donośne dźwięki po korytarzach.

— Weźcie kobietę i idźcie za mną — rzekł do kapłanów. Wyszedł małymi drzwiami, tamci za nim niosąc Janinę. Mijając liczne korytarze i schody, skręcając to na prawo, to na lewo, wydostali się na powierzchnię największego podwórca, tuż za wschodnim ołtarzem.

Ze wszystkich stron rozległy się spieszne kroki. Pięć uderzeń wielkiego gongu wezwało wiernych na pomoc Lu–donowi. Towarzysze Tarzana znaleźli się teraz nie tylko bez przewodnika, ale wobec znacznie przeważających sił. Byli to dzielni ludzie, ale bezsilni w podobnych warunkach, cofnęli się więc i zawrócili drogą, którą byli przyszli. Gdy dotarli do krańca wyższego tunelu, pewni byli, że są uratowani, gdyż w tym miejscu jeden tylko naraz wróg mógłby ich zaatakować. Ale plany ich zostały zniweczone i może nawet cała ich sprawa stracona, a to z powodu wielkiego zaufania Ja–dona do powodzenia ich przedsięwzięcia.

Gdy rozległ się jęk gongu, Ja–don pewien był, że to Tarzan i jego oddział uderzyli weń, przypuścił więc szturm do bramy pałacowej. Lu–don w wewnętrznym podwórku świątyni usłyszał dzikie okrzyki wojenne, zapowiadające rozpoczęcie bitwy. Pozostawiwszy Pan–sata i innych kapłanów na straży kobiety, pośpieszył do pałacu, by osobiście pokierować swymi wojownikami, jednocześnie zaś posłał dowiedzieć się o wyniku walki w podziemnych korytarzach. Innemu posłowi zlecił szerzenie wieści, że fałszywy Dor–ul–Otho został uwięziony w świątyni.



\* \* \*

Gdy pod A-lurem rozległa się wrzawa bitwy, porucznik Erich Obergatz obrócił się na swym miękkim łożu z futer i usiadł. Przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Ciemno jeszcze było na dworze.

— Jam jest Jad-ben-Otho! — krzyknął. — Kto się ośmiela zakłócać mój sen?

Niewolnica, skulona na podłodze u stóp jego łoża, zadrżała i czołem dotknęła podłogi. — Musieli nadciągnąć nieprzyjaciele, o Jad-ben-Otho.

Wpadł kapłan i rozpląszczywszy się na podłodze, bił czołem o kamienne płyty.

— O Jad-ben-Otho! — zawołał — wojownicy Ja-dona zaatakowali pałac i świątynię. Walczą w korytarzach obok komnat Lu-dona Najwyższy kapłan błaga, byś przyszedł do pałacu i swą obecnością tchnął ducha w swych wiernych wojowników.

Obergatz skoczył na nogi.

— Jam jest Jad-ben-Otho! — wrzasnął. — Piorunami porażę bluźnierców, którzy wąż się napadać na święty gród A-lur.

Krążył przez chwilę obłąkańczo i bezcelowo po komnacie. Kapłan i niewolnica trwali w bezruchu z czołami na kamiennych płytach.

— Chodźcie! — krzyknął Obergatz, wymierzając bolesnego szturchańca w bok dziewczyny. — Chodźcie! Czy chcecie czekać tu cały dzień, podczas gdy moce ciemności ujarzmią Gród Światłości?

Drżący ze strachu, jak wszyscy, zmuszeni do służenia mu, powstali oboje i poszli za Obergatzem do pałacu.

Ponad okrzyki wojowników wznosiły się bezustanne wołania kapłanów:

— Jad-ben-Otho jest tutaj, a fałszywy Dor-ul-Otho jest uwięziony w świątyni!

Wytrwałe wołania doszły nawet do uszu nieprzyjaciela, zgodnie z zamierzeniem kapłanów.

# Rozdział XXIV

## Ich troje

Wschodzące słońce ujrzało siły Ja–dona wciąż jeszcze u bramy pałacowej stojące. Stary wódz zdobył wysoki budynek tuż za pałacem i na jego szczycie umieścił wojownika z poleceniem patrzenia ku północnym murom pałacu, gdzie Ta–den miał przypuścić szturm. Godziny mijały, a nie pojawiły się żadne posiłki. Natomiast w pełnym świetle dziennym na dachu jednej z budowli pałacowych ukazali się: Lu–don, najwyższy kapłan, Mo–sar, pretendent do tronu i obcy, nagi człowiek, z wplecionymi w długie włosy i brodę świeżymi kwiatami i paprociami. Za nimi z piersi dwudziestu niższych kapłanów dobywały się uniżone pienia:

— Oto Jad–ben–Otho! Złóżcie broń i poddajcie się! Powtarzali to bezustannie, przeplatając od czasu do czasu okrzykiem: — Fałszywy Dor–ul–Otho jest uwięziony! Spośród zwolenników Ja–dona rozległy się wołania:

— Pokażcie Dor–ul–Otho. Nie wierzymy wam!

— Czekajcie! — odrzekł Lu–don. — jeśli go wam nie pokażę, zanim słońce się wzniesie do własnej szerokości, to bramy pałacu otworzą się przed wami, a moi wojownicy złożą broń.

Zwrócił się do jednego z kapłanów i wydał krótkie polecenie.

Człowiek–małpa chodził tam i na powrót po swej ciasnej celi. Gorzko wyrzucał sobie głupotę, która go wtrąciła do tej pułapki. Czy to jednak była głupota? Czyż nie powinien był rzucić się na ratunek swej żonie. Zachodził w głowę, w jaki sposób wykradziono ją z pałacu Ja–dona.

Nagle przypomniała mu się twarz wojownika, który ją niósł. Dziwnie była znajoma. Wyteżał myśl, by przypomnieć sobie, gdzie widział tego człowieka i wreszcie znalazł. Wszak to ten sam obcy wojownik, który przyłączył się do oddziału Ja–dona pod Ta–lurem owego dnia, gdy Tarzan na gryfie jechał z nie zamieszkanego wąwozu obok Kor–ul–ja do stolicy północnego wodza. Ale kim mógł być ten człowiek? Tarzan wiedział, że nie widział go nigdy, aż do owego dnia.

Usłyszał dźwięk gongu i słaby odgłos kroków i okrzyków. Domyślił się, że spostrzeżono jego wojowników i że bitwa była w toku. Burzył się i pieniał na los, który go pozbawił w niej udziału. Próbował drzwi swego więzienia i pułapki w podłodze, ale nie ustępowały przed żadnym wysiłkiem. Wyteżał wzrok ku otworowi w górze, niczego jednak nie mógł dojrzeć, chodził więc nadal po cicii jak lew w klatce.

Powoli płynęły godziny. Donosiły się słabe odgłosy, jak gdyby wykrzykujących ludzi z wielkiej odległości. Bitwa się rozwijała. Ciekaw był, czy Ja–don osiągnie zwycięstwo, a jeśli tak, czy przyjaciele odnajdą go kiedyś w tej ukrytej komnacie, w samym sercu wzgórza? Wątpił bardzo.

Gdy znowu spojrzął ku otworowi w dachu, zdało mu się, że coś stamtąd zwisa. Podszedł bliżej i wyteżył wzrok. Tak, coś tam było, jak gdyby sznur. Wyciągnął ręce ku niemu. Mógł z łatwością dosięgnąć końca. Zawiesił się na nim, by wypróbować, czy wytrzyma jego ciężar. Puścił i znow dotykał pleczonego, rzemiennego sznura, to mu się przyglądał, wciąż nasłuchując.

Wreszcie uwiesił się na sznurze, szeroko rozstawiając nogi, by w razie upadku na podłogę, nie wpaść do pułapki. Sznur wytrzymał jego ciężar. Z wolna, ostrożnie wciągał się po nim do góry. Zbliżał się do powały. Za chwilę oczy będzie miał nad poziomem górnego piętra. Już wyciągnięte ramiona sięgały do komnaty nad nim położonej, gdy nagle coś zacisnęło się dokoła jego rąk, zatrzymując go zawieszzonego w powietrzu, niezdolnego ani do posunięcia się naprzód, ani do cofnięcia wstecz.

W komnacie ponad nim zabłysnęło światło. Zobaczył odrażającą maskę kapłana wpatrującą się w niego. Kapłan trzymał w ręku pasy rzemienne i zawiązywał mu ręce i ramiona od łokcia prawie aż do palców. Za tym kapłanem stali inni i niebawem pochwycili go i wciągnęli przez otwór.

Teraz dowiedział się, w jaki sposób wpadł w zasadzkę. Dwie pętlice otaczały otwór do górnej komnaty. Przy końcu każdego sznura, po przeciwnych końcach komnaty, czuwał kapłan. Gdy Tarzan wdrapał się dosyć wysoko po sznurze, umyślnie na przynętę spuszczonego do jego więzienia, i ramiona jego znalazły się w sidłach, obaj kapłani szybko pociągnęli sznury i pochwycili jeńca z łatwością, uniemożliwiając mu wszelki opór.

Związali mu nogi aż po kolana i wynieśli z komnaty.

Bitwa znowu rozgorzała. Ta–den nie przybył. Słabnące wysiłki armii Ja–dona zdradzały, że wzrasta wśród niej zniechęcenie. Naraz na dach pałacu kapłani przynieśli Tarzana–jad–guru i ukazali go wojownikom obu walczących stron.

— Oto fałszywy Dor–ul–Otho! — wrzasnął Lu–don.

Obergatz, którego wstrząśnięty mózg nie zdawał sobie całkowicie sprawy z tego, co się dokoła działo, rzucił obojętne spojrzenie na związanego jeńca. Gdy zobaczył szlachetne oblicze człowieka–małpy, oczy jego rozwarły się szeroko ze zdumienia i przerażenia, blada jego twarz posiniała. Raz w życiu widział Małpiego Tarzana, często jednak śnił o nim i zawsze wówczas olbrzymi człowiek–małpa wywierał pomstę za krzywdy, wyrządzone mu przez trzech niemieckich oficerów, którzy sprowadzili krajowe wojska na jego cichy dom. Kapitan Fritz Schneider zapłacił za swe bezcelowe okrucieństwa; podporucznik von Goss również zapłacił. Teraz Obergatz, ostatni z trójki, stał twarzą w twarz z mścicielem, który trapił go we snach w ciągu długich, męczących miesięcy. To że był związany i bezsilny, nie zmniejszało trwogi Niemen — nie zdawał sobie jak gdyby sprawy, że ten człowiek nie może wyrządzić mu nic złego. Wił się i szwargotał niezrozumiale. Lu–don przeląkł się, że inni też to zobaczą i wywnioskują, że ten wąsaty idiota nie jest bogiem, że z tych dwu — Tarzan–jad–guru bardziej jest bogu podobny. Już zauważył, że niektórzy z pałacowych wojowników, bliżej stojący, szeptali między sobą. Zbliżył się do Obergatza.

— Jesteś Jad–ben–Otho — szepnął — wyprzyj się go. Niemiec oprzytomniał. Wielka trwoga i słowa Lu–dona podsunęły mu środek ratunku.

— Jam jest Jad–ben–Otho! — wrzasnął.

Tarzan spojrział mu prosto w oczy.

— Jesteś porucznik Obergatz z niemieckiej armii — przemówił doskonałą niemczyzną. — Jesteś ostatnim z trzech, którego tak długo poszukiwałem, i w swym zgniłym sercu wiesz dobrze, iż nie na próżno Bóg dozwolił, byśmy się spotkali.

Umysł porucznika Obergatza zaczął wreszcie działać jasno i sprawnie. Dojrzał pytające spojrzenie na twarzach dokoła siebie. Dojrzał wojowników obu obozów, bezczynnie stojących przy bramie, z oczami zwróconymi na niego i na człowieka–małpę. Zrozumiał, że brak pewności oznacza śmierć. Oстрым, naszczekującym głosem pruskiego oficera, tak niepodobnym do poprzednich idiotycznych wrzasków, warknął:

— Jam jest Jad–ben–Otho! Ten tu nie jest moim synem. Ku przestrodze wszystkim bluźniercom

zginie na ołtarzu z rąk boga, którego zbezczeszczył. Zabierzcie go sprzed mych oczu. Gdy słońce dosięgnie zenitu, niechaj wierni zgromadzą się w podwórzu świątyni, a będą świadkami gniewu tej boskiej ręki — i wzniosł do góry prawicę.

Ci, którzy przynieśli Tarzana, zabrali go według rozkazu Obergatza. Niemiec zwrócił się do wojowników przy bramie:

— Złóżcie broń, „wojownicy Ja–dona — zawołał — bym nie ściągnął swych gromów, które was zmiotą! Będzie przebaczone tym, którzy posłuchają mego rozkazu. Złóżcie broń!

Niechętnie ruszyli się wojownicy Ja–dona, błagalnie spoglądając na swych dowódców i z obawą na postacie, stojące na dachu pałacu. Ja–don skoczył między swych ludzi.

— Niechaj tchórze i służalcy złożą broń i wnijdą do pałacu — zawołał — ale przenigdy Ja–don i wojownicy Ja–lurscy nie pokłonią się Lu–donowi i jego fałszywemu bogu. Wybierajcie — zwrócił się do swych stronników.

Kilku rzuciło broń i z owczym spojrzeniem przeszło przez bramę do pałacu, za nimi poszli inni. Wiernie i niezachwianie wytrzymała większość przy swym wodzu, a gdy ostatni słabego serca opuścił ich szeregi, Ja–don wydał dziki okrzyk i poprowadził swych zwolenników do ataku. Znowu rozgorzała bitwa przy bramie pałacowej.

Zmienne były losy walki.

Ta–den z posiłkami nie przybywał. Zbliżało się południe. Lu–don wybrał ludzi, którzy nie byli niezbędni dla obrony bramy, i pod wodzą Pan–sata wysłał ich przez tajne przejście. Napadli oni na Ja–dona od tyłu, podczas gdy od przodu walili w niego tamci przy bramie.

Wzięte we dwa ognie przez znacznie przeważające siły, resztki armii Ja–dona skapitulowały. Starego wodza przyprowadzono jako jeńca przed Lu–dona.

— Zaprowadźcie go na podwórzec świątyni — zawołał najwyższy kapłan. — Niechaj patrzy na śmierć swego współwinowajcy, a może Jad–ben–Otho wyda na niego taki sam wyrok.

Wewnętrzny podwórzec świątyni zapchany był ludźmi. Po obu stronach wschodniego ołtarza stali Tarzan i jego żona, związani i bezsilni. Zamilkły odgłosy bitwy. Człowiek–małpa ujrzał Ja–dona ze związanymi przed sobą rękoma. Tarzan spojrzał na Janinę, skinął w stronę Ja–dona.

— Wygląda to na koniec — rzekł spokojnie. — Był on naszą ostatnią nadzieją.

— Odnaleźliśmy się nareszcie, Johnie — odparła Janina — razem spędziliśmy ostatnie dni życia. Modłę się o to jedynie, by jeśli ciebie zabiją, mnie nie oszczędzili.

Tarzan nic nie odpowiedział, gdyż trapiła go ta sama bolesna myśl — nie strach, że go zamordują, ale obawa, że ją zachowają przy życiu. Naciągnął pęta, ale zbyt dużo ich było, zbyt były mocne. Kapłan, obok stojący, spostrzegł to i z urągliwym uśmiechem uderzył go w twarz.

— Bydlę! — krzyknęła Janina Clayton. Tarzan uśmiechnął się.

— Bywałem tak uderzany, Janino — rzekł — i zawsze ten, kto mnie uderzył, ginął.

— Masz jeszcze nadzieję? — zapytała.

— Jeszcze żyjemy — odrzekł, jak gdyby to była wystarczająca odpowiedź. Kobieta była Janina i nie posiadała odwagi tego nie znającego trwogi człowieka. W głębi serca wiedziała, że on w samo południe zginie na ołtarzu, gdyż powtórzył jej wyrok Obergatza. Wiedziała też, że Tarzan wiedział, że umrze, lecz zbyt był odważny, by przyznać się do tego nawet przed samym sobą.

Nadeszli Lu–don i nagi Obergatz. Najwyższy kapłan powiódł Niemca na jego miejsce za ołtarzem, sam zaś stanął po jego lewicy. Lu–don szepnął coś do Obergatza, wskazując na Ja–dona.

— Po fałszywym bogu przyjdzie kolej na fałszywego proroka — krzyknął Prusak, pokazując palcem Ja–dona. Oczy jego zatrzymały się na Janinie.

— Czy i kobieta także? — zapytał Lu–don.

— Sprawą kobiety zajmę się później — odparł Obergatz. — Wieczorem z nią pomówię, by dać jej czas do rozmyślań nad skutkami budzenia gniewu Jad–ben–Otho.

Wzniósł oczy ku słońcu. — Czas się zbliża — rzekł do Lu–dona. — Przygotuj ofiarę.

Lu–don skinął na kapłanów, skupionych dokoła Tarzana. Chwycili człowieka–małpę i ponieśli na ołtarz, gdzie go złożyli głową na południowym skraju monolitu, o parę kroków od miejsca, gdzie stała Janina. Zanim zdołali ją powstrzymać, skoczyła i nachyliwszy się, ucałowała czoło małżonka.

— Żegnaj, Johnie — szepnęła.

— Żegnaj — odpowiedział z uśmiechem.

Kapłani odciągnęli Janinę. Lu–don wręczył nóż ofiarny Obergatzowi. Jam jest Wielki Bóg — krzyknął Niemiec — tak boski mój gniew porazi wszystkich mych wrogów!

Spojrzał na słońce i wzniósł nóż do góry.

— Tak umierają ci, którzy bluźnią Bogu! — wrzasnął.

W tej chwili suchy trzask rozległ się nad oniemiałym i oszołomionym tłumem. W powietrzu zasyczał przeciągły gwizd i Jad–ben–Otho powalił się na ciało swej niedoszłej ofiary. Drugi taki sam odgłos — padł Lu–don, trzeci — Mo–sar runął na ziemię. Lud i wojownicy, poszukując źródła nieznanego dźwięku, obrócili się ku zachodniemu krańcowi podwórca.

Na szczycie muru świątyni ujrzeli dwie postacie — wojownika ho–dońskiego i obok niego nagą istotę rasy Tarzana–jad–guru, trzymającą w rękach błyszczący przedmiot z drzewa i metalu, z którego końca dobywała się cienka smuga błękitnoszarego dymu.

Nad milczącym tłumem zabrzmiał wyraźnie głos wojownika ho–dońskiego.

— Tak przemawia prawdziwy Jad–ben–Otho przez swego Posła Śmierci. Rozetnijcie więzy jeńców. Rozetnijcie więzy Dor–ul–Otho i Ja–dona, króla pal–ul–donu, i kobiety.

Pan–sat, fanatyk, ujrzawszy ruinę chwały i potęgi tej władzy, której służył, przypisywał ją istocie, leżącej na ołtarzu ofiarnym, która sprowadziła śmierć Lu–dona i podeptała sny o potędze, kiełkujące i z dnia na dzień wzrastające w głowie niższego kapłana.

Nóż ofiarny leżał na ołtarzu tak, jak był wypadł z martwych palców Obergatza. Pan–sat podkraść się do ołtarza i sięgnął poń. Gdy zakrzywione palce kładły się na rękojeści, dziwna rzecz w rękach dziwnej istoty na murze świątyni przemówiła i Pan–sat padł z krzykiem na trupa swego pana.

— Chwytać wszystkich kapłanów! — krzyknął Ta–den na wojowników.

Wojownicy i lud, na widok tak namacalnej potęgi boskiej, przeszli na stronę Dor–ul–Otho i Ja–dona, rzucili się więc szybko na kapłanów i otoczyli ich. Gdy spojrzeli znowu na zachodni mur świątyni, ujrzeli wielki zastęp wojowników. Zdumiało ich to, że wielu z nich byli to czarni, kudłaci Waz–doni.

Na ich czele szedł obcy z błyszczącą bronią, po jego prawicy Ta–den, Ho–don, po lewicy — Om–at czarny gund Kor–ul–ja.

Jeden z wojowników chwycił nóż ofiarny i poprzecinał więzy Tarzana, Ja–dona i Janiny.

Wszyscy troje stali obok ołtarza. Gdy nowo przybyli zaczęli się ku nim zbliżać, oczy kobiety szeroko się rozwarły ze zdumienia, pomieszanego z niedowierzaniem i nadzieją. Obcy rzucił się ku niej i przycisnął do piersi.

— Jack! — krzyknęła łkając — Jack, mój synu!

# Rozdział XXV

## Powrót

W godzinę po śmierci Lu-dona i Mo-sara wodzowie i wyżsi wojownicy pal-ul-donu zebrali się w wielkiej sali tronowej pałacu A-lurskiego, na stopniach wyniosłej piramidy, i umieściwszy na jej szczycie Ja-dona, ogłosili go królem. Z jednej strony starego wodza stał Małpi Tarzan, z drugiej Korak, godny syn potężnego człowieka-małpy.

Gdy skończył się krótki obrzęd i wojownicy ze wzniesionymi maczugami, zaprzysięgli wierność nowemu władcy, Ja-don wysłał zaufany oddział do Ja-luru po O-lo-a, Pan-at-lee i swoje własne kobiety.

Wojownicy rozprawiali o przyszłości pal-ul-donu. Poruszyli sprawę zarządu świątyniami i losy kapłanów, którzy bez wyjątku bywali nielojalni względem rządu królewskiego, mając zawsze na względzie tylko własną władzę, bogactwa i wzrost potęgi. Ja-don zwrócił się do Tarzana.

— Niechaj Dor-ul-Otho objawi ludowi życzenia swego ojca — powiedział.

— Wasze zadanie jest bardzo proste — rzekł człowiek-małpa — o ile zechcecie uczynić to, co znajdzie łaskę w oczach boga. Wasi kapłani, w celu wzmocnienia swej władzy, uczyli was, że Jad-ben-Otho jest okrutnym bogiem, że jego oczy z upodobaniem spoczywają na widoku krwi i cierpień. Fałsz ich nauk poznaliście dzisiaj po zupełnej porażce kapłaństwa. Odbierzcie więc świątynie mężczyznom i oddajcie niewiastom, aby sprawowały nad nimi rządy łagodności, miłosierdzia i miłości. Zmyjcie krew ze wschodniego ołtarza i wysuszcie wodę w zachodnim. — Dałem raz Lu-donowi możliwość uczynienia tych rzeczy, ale wzgardził mym rozkazem i korytarz ofiarny jest znów pełen. Uwolnijcie jeńców po wszystkich świątyniach pal-ul-donu. Składajcie ofiary z takich darów, jakie lubi wasz lud, i umieszczajcie je na ołtarzach swego boga. Pobłogosławi je wówczas, a kapłanki Jad-ben-Otho będą je mogły rozdawać między najbardziej potrzebujących.

Gdy skończył mówić, wśród tłumu rozległ się szmer uznania. Z dawna już uprzykrzyły się chciwość i okrucieństwo kapłanów i wszyscy radzi byli, że ukazano im wykonalny sposób pozbycia się ich, bez wprowadzania zmian w wierze ludu.

— A kapłani — zawołał ktoś — zamordujemy ich na ich własnych ołtarzach, jeśli Dor-ul-Otho zechce wydać rozkaz.

— Nie! — krzyknął Tarzan. — Niechaj nie będzie więcej rozlewu krwi. Dajcie im wolność i prawo do obrania sobie takiego zajęcia, jakie zechcą.

Tej nocy odbyła się wielka uczta w pal-e-don-so i po raz pierwszy w historii pal-ul-donu zasiedli do niej w zgodzie i przyjaźni czarni i biali wojownicy. Ja-don i Om-at zawierali umowę, której mocą Waz-doni i Ho-doni mieli na zawsze pozostać przyjaciółmi i sprzymierzeńcami.

Tu dowiedział się Tarzan, dlaczego Ta-den się nie zjawił w umówionej chwili. Przybył od Ja-dona poseł z poleceniem, by wstrzymać się z atakiem aż do południa. Zbyt późno przekonali się, że poseł był przebrany kapłanem Lu-dona. Zamordowali go, wdrapali się na mury i weszli do

wewnętrzznego podwórca świątyni, gdy już nie było chwili do stracenia.

Następnego dnia do pałacu A-lurskiego przybyły O-lo-a, Pan-at-lee i kobiety Ja-dona. W wielkiej sali tronowej odbyły się zaślubiny O-lo-a z Ta-denem i Pan-at-lee z Om-atem.

Cały tydzień Tarzan, Janina i Korak gościli u Ja-dona, jak również Om-at i jego czarni wojownicy. Wreszcie człowiek-małpa oznajmił, że zamierza opuścić pal-ul-don. Mgliste pojęcie mieli w pal-ul-donie o tym, gdzie się niebo znajduje, jak również o sposobach, jakimi bogowie podróżowali. Nikt więc się nie dziwił, gdy się dowiedziano, że Dor-ul-Otho ze swą małżonką i synem udadzą się poprzez góry na północ. Wyruszyli tedy drogą Kor-ul-ja w towarzystwie wojowników tego plemienia i dużego zastępu Ho-donów pod wodzą Ta-dena. Mnóstwo ludu odprowadzało ich poza granice A-luru, a gdy się z nimi pożegnali i Tarzan wezwał na nich błogosławieństwo Boga, trójka Europejczyków ujrzała swych prostych, wiernych przyjaciół, korzących się w prochu, dopóki kawalkada nie znikła wśród drzew.

Dzień wypoczywali wśród Kor-ul-ja, po czym ruszyli dalej, omijając chropawy grzbiet Pastar-ul-vedu i zdążając ku wielkim trzęsawiskom. Szli wygodnie i bezpiecznie pod opieką Ho-donów i Waz-donów.

Wielu z nich niewątpliwie zadawało sobie pytanie, w jaki sposób ci troje przebędą wielkie trzęsawiska. Najmniej kłopotał się o to Tarzan. Spodziewał się łatwego rozwiązania zagadnienia, zależało ono jednak całkowicie od przypadku.

Rankiem ostatniego dnia, gdy zwijali obóz, by puścić się w dalszą drogę, zagrzmiął głęboki ryk z pobliskiego gaju. Tarzan uśmiechnął się. Zjawiał się przypadek, jak na zawołanie. W odpowiedni sposób odjadą z pal-ul-donu; Dor-ul-Otho, jego małżonka i ich syn.

Nosił zawsze przy sobie włócznię, zrobioną przez Janinę. Powiedział jej z śmiechem, że umieści ją nad ich kominkiem na honorowym miejscu, podobnie jak stara skałkówka jej purytańskiego pradziada wisiła nad kominkiem profesora Portera, jej ojca.

Na odgłos ryku Ho-doni spojrzeli pytająco na człowieka-małpę, Waz-doni zaś zaczęli się rozglądać za drzewami.

— Czekaście — rzekł Tarzan i z włócznią w dłoni posunął się ku gryfowi, wydając dziki okrzyk Tor-o-dona. Ryk ustał, odezwało się niskie huczenie i pojawiło się wielkie zwierzę. Nastąpiło powtórzenie poprzednich doświadczeń człowieka-małpy z tymi olbrzymimi i złośliwymi stworzeniami.

Janina, Korak i Tarzan przejechali przez trzęsawiska, okalające pal-ul-don, na grzbiecie przedhistorycznego triceratopsa. Na przeciwnym brzegu odwrócili się i krzyknęli słowa pożegnania Ta-denowi, Om-atowi i ich dzielnym wojownikom, których nauczyli się podziwiać i szanować, po czym Tarzan skierował swego tytanicznego wierzchowca na północ. Puścił go dopiero wówczas, gdy był pewien, że Ho-doni i Waz-doni zdążyli już dojść do względnie bezpiecznych stromych wąwozów wśród wzgórz.

Zawróciwszy zwierzę głową ku pal-ul-donowi, zsiadli i mocnym uderzeniem po grubej skórze odesłali je do rodzinnych pieleszy. Stali czas jakiś, spoglądając na krainę, którą właśnie opuścili — kraj Tor-o-dona, gryfa, ja i jato, Waz-donów i Ho-donów, pierwotny kraj trwogi i nagłej śmierci, pokoju i piękna — kraj, który nauczyli się kochać.

I znowu zawrócili na północ, z lekkim, mężnym sercem podążając do kraju, ze wszystkich najlepszego — do domu.

---

\* Małpocząłek, wedle nauki — człowiek kopalny, stworzenie, będące — według teorii naukowych — jedna z form ewolucyjnych między małpą a człowiekiem.

\* W tym wypadku — pozostałością po ludach rasy dawno już wygasłej.

\* przyswojenie

\* Enfield, miasto w Anglii, w którym jest fabryka broni, stąd nazwa karabinu.

\* W języku Pal-ul-dońskim liczbę mnogą tworzy się przez podwajanie początkowej litery, a więc k'kor znaczy wężoży, wymawia się zaś kakor, d'don — ludzie. Przep. autora.

\* Zastygła, czarna, szklista lawa.